

Artykuły i korespondencje, przeznaczane dla „Kraju”, powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografie można przysyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie zwraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, „Kraj”. Warszawski Oddział „Kraju”, Marszałkowska 119.

Og. zb. № 1027

Petersburg, 8 (21) marca 1902 r.

Rok XXI. № 10

TREŚĆ N-ru 10 „KRAJU”

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuł wstępny: Nieprzedawnione zasady, p. Rom. B. C.

Artykuły bieżące: Kilka zimnych uwag w pewnej palącej kwestji. (IV. Czy możliwym i czy pożądanym jest bojkot niemieckich wyrobów? Poglądy hurtownika nalewkowskiego. Już po powrocie z Paryża. Opieka celna i nasz przemysł. Nasze szkoły zawodowe), p. *Varsoviensis'a*. Na granicy dwóch potęg. (Wywiady „Now. Wrem.” w Poznańskim). Z powodu konwencji cukrowej, p. G.

Listy korespondentów „Kraju”: (Echa zachodnie): Z Berlina, p. *Gordona*, z nad Warty, p. *Bart.* i t. d. (Z miast i wsi): Z Wilna, p. *A. R. Z.*, z Wołynia, p. *J. K.* i t. d. (Z Królestwa Polskiego): Z nad Wisły, p. *Zastępcę*, z Warszawy, p. *Game* i t. d.

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących. Przegląd prasy. Wiadomości bieżące: Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Tydzień polityczny. Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Różne. Sport. Zasiłki. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologia.

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. Ogłoszenia.

ŻYCIE I SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: Autor „Króla Salomona”. (1834—1902), p. *Cz. Jankowskiego*. Dwie nowe opery. („Urvasi” *Dłuskiego*. „Pan Wołodyjowski” *Skirmuntta*), p. *Janusza*. Akademia Zamojska, p. *Lud. Janowskiego*. Marjonetki w Warszawie, p. *Game*. Nowoczesne cuda, p. *Nie-Maga*. Psychiczne dziwactwa, p. *B.* „Święte niewiasty u drogi krzyżowej”. Z chwili bieżącej: Pomnik Do-mejki. Jan Radyserb - Wjela, p. *Jana-Fr. Megiere*. Notatki: naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. Nowe książki.

Ilustracje: Z wystaw międzynarodowych: „Wieszczka nocy”, obraz *H. Kaulbacha*. Dwie ilustracje do artykułu „Marjonetki w Warszawie”. Reorganizacja wojsk marokańskich. Portrety: Włodzimierz Zagórski, Erazm Dłuski, Henryk Skirmuntt, Marjan Prażmowski. Portrety w „Kronice pośmiertnej”: Władysław Andrychiewicz, Józef Pó-bóg-Dłużowski, Aleksandra z hr. Kossakowskich hr. Broel-Platerowa.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

„Bibliotekarz”, p. *J. Korzeniowskiego*. Z poe-zyj Wł. Zagórskiego. „Rok 1809”. Powieść historyczna, p. *Wacława Gąsiorowskiego*. „Clotunia”, p. *Henryka de Forge’a*. „To i owo”.

KARTA ALBUMOWA:

„Święte niewiasty u drogi krzyżowej”. Obraz *Aloizego Deluge’a*.

Do dzisiejszego N-ru „Kraju” dołączoną jest **Karta Albu-mowa**, odtwarzająca obraz Aloiz-zego Deluge: „Święte niewiasty u krzyżowej drogi”.

NIEPRZEDAWNIONE ZASADY.

„Mówić o Edukacji, jest wspomnieć o najpierwszem narodu szczęśliwym; tej potrze-bę wszystkie szczęśliwe przyświadczać pań-stwom; tej niedostatek nasze i u nas opla-kują czasy...”

(Mowa Imci pana Małachowskiego, pośta poznańskiego, na sesji 42 sej-mu w 1776 r.).

Europa dzisiejsza, mimo pozbycia się wielu dawnych złudzeń, nie straciła wiary w to samo źródło od-rodzenia, w które wierzyły gorąco, w drugiej zwłaszcza połowie wieku XVIII-go, tak naiwne w porówna-niu z nami społeczeństwa ówczesne: w zbawienność dobrej szkoły i rozumnego wychowania. Dziś, na dwu krańcach naszego ładu — we Francji i Rosji—jednocześnie prawie wcielają się nowe prądy w nowe typy szkoły. Za czasów pradziadów naszych nigdzie też nie zajmowano się tyle sprawą wychowania, spra-wą stworzenia „człowieka - oby-watela”, jak w tej samej Francji—i u nas w Polsce. Francja wówczas i pod tym względem, jak i pod wielu in-nymi, główną była naszą inspirator-ką. Bo też, co prawda, i francuzi i my, w przeczuciu blizkich, acz od-miennych wypadków dziejowych, najmniej mieliśmy czasu do stracenia.

Dwuwiekowy system szkolny oo. Jezuitów, słabo nadwierzony przez Pijarów, zbyt długo trzymał nas w swej mocy. To też nikt u nas nie krytykował tak dowcipnie (i tak wcześniej), jak Rabelais, mdlej kary-katury świata klasycznego z pro-gramów szkół zakonnych; nikt nie piętnował tak dosadnie, jak Mon-taigne, ich scholastycznej martwoty. Tembardziej nie mogliśmy się po-szczycić teoretykami w rodzaju póź-niejszych spadkobierców myśli fran-cuzkiej, jak Rousseau, Condillac, Di-derot, Condorcet etc. A jednak w dziedzinie rzeczywistości nie da-

liśmy się prześcignąć nikomu i, prze-jawszy się ich ideami, wcieliliśmy je w ogromny, narodowy czyn. Na-sza „przeświecona” Komisja edukacji narodowej, powstająca z inicjatywy Chreptowicza w październiku 1773 roku, wyprzedzając o lat wiele wszyst-kie inne urzędy oświecenia publicz-nego, daje innym narodom przy-kład nie tylko upaństwowienia oświa-ty, lecz i głęboko obmyślanego, kon-sekwentnie urzeczywistnionego syste-mu szkolnego.

Wprawdzie we Francji na lat trzydzieści już przedtem *l'abbé de St-Pierre* nawoływał rodaków swo-ich do zorganizowania oświaty na-rodowej w jednym organie kierują-cym, ale pomysły jego miały się ziścić tam, i to w formie od-miennej, dopiero w początkach wie-ku XIX-go. Ministerstwo oświaty w Rosji, powstające w r. 1803, no-siło na początku bardzo wyraźne ślady pojęć i planów nieistniejącej już wówczas instytucji polskiej, jak o tem świadczą i najnowsi badacze rosyjscy (Kryżanowski i Pogodin), stwierdzający i tutaj wpływy ks. A. Czartoryskiego.

Rozpatrując się w dobroczynnej tej spuściźnie po naszym wieku XVIII, nie trudno się przekonać, że, pomi-mo przejęcia się ideami francuzkie-mi, inicjatorowie nowego systemu nie byli ślepymi ich apostołami. Znalazłszy się na granicy dwóch światów—łacińskiego i francuzkiego, otworzyli oni po raz pierwszy tak szeroką drogę językowi ojczyste-mu i dziejom, położyli taki nacisk na znaczenie obowiązków względem kraju własnego, że stworzyli istotnie wielkie zastępy nowych oby-wateli, podporządkowujących cele osobiste—celom narodowym. Dość przypomnieć sobie, jakimi stali się polacy za czasów saskich, dość jest uprzytomnić sobie, jakie zadania zwały się na plecy pokoleń współ-czesnych rozbiorem i ich najbliż-szych następcom, żeby ocenić tę stronę działalności Komisji eduka-cyjnej, obok nieprzedawnionego znaczenia jej czysto pedagogiczne-go, a więc—wszechludzkiego.

Dwie źródłowe publikacje warszawskie przypominają nam wymownie wielką reformę szkolną: «Ustawy Komisji edukacji narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły, w krajach Rzeczypospolitej przepisane w Warszawie roku 1783-go» zawierają teorię i zasady reformy; zaś «Raporty szkoły wydziałowej warszawskiej, składane szkole głównej koronnej w latach 1782—1789», (świeżo wydane jako zeszyt pierwszy przez prof. T. Wierzbowskiego), mówią nam o praktyce i zastosowaniu.

Chcąc poznać jednak i ocenić treść i metodę naszej oświaty narodowej, a także ciągłość jej rezultatów, nie należy bynajmniej zatrzymywać się na granicy trwania urzędowego, jeżeli można się tak wyrazić, Komisji, t. j. na okresie lat dwudziestu paru. Wprawdzie przed ostatnim rozbiorem jeszcze, zanim sąsiednie potencje zdecydowały o losie Komisji, tak samo jak o losach całej Rzeczypospolitej, potępiła ją i zrabowała, jak wiadomo, «prześwieta» konfederacja targowicka, ale odradza się ona w nowej postaci bardzo szybko. Zasady, jej metodę i programy dziedziczy w r. 1807 «Izba edukacyjna» niezależnego Księstwa Warszawskiego, a także ministerstwo oświaty, zwłaszcza za Stanisława Potockiego w Królestwie kongresowym. Sfera działania systemu tego wykracza zresztą daleko poza granice niezależnego, czy autonomicznego bytu politycznego. Książkę Adam Czartoryski, za wiedzą i przyzwoleniem monarchy¹⁾, utrzymuje system ten prawie w całej pełni, aż do dymisji swej w r. 1824, w ośmiu guberniach, stanowiących olbrzymi okręg naukowy wileński. Po jego dymisji nawet, zrab główny utrzymuje się jeszcze do r. 1832 na Litwie i Rusi, pomimo reformy Nowosilcowa, tak samo jak w Królestwie, pomimo reakcji za ministerstwa St. Grabowskiego i ekscesów jego pomocnika J. K. Szaniawskiego; o skuteczności tego systemu świadczą gimnazjum krzemienieckie Czackiego (późniejsze liceum), uniwersytet wileński i te setki szkół, rozrzuconych po miasteczkach i wsiach okręgu wileńskiego²⁾, które starał

¹⁾ «Aleksander I» przez jen. Schildera. A. Pogodin: «Wilenskiy uczebnij okrug»; 1803—1831 r.

²⁾ Interesującą tablicę załącza do swej monografii najnowszy historyk okręgu naukowego wileńskiego, tenże A. Pogodin (wyjęta z «Dziennika Wileńskiego» za r. 1822): W okręgu naukowym moskiewskim (naj-

się powoływać do życia książkę kursora. «Nie darmo nazywał on siebie republikaninem — dewizą jego była istotnie nauka dla wszystkich, bez różnicy pochodzenia i majątku» — powiada A. Pogodin. Pomimo jednak przejścia się ks. Adama zasadami Komisji edukacyjnej, on pierwszy może, po dwudziestoletniej prawie wierności im bezwzględnej, krytykuje je tak głęboko i wszechstronnie.

Zanim przejdziemy do rozpatrzenia treści wielkiej reformy szkolnej XVIII wieku, do rozejrzenia się w jej sile i słabościach, musimy rzucić okiem na to, co się działo w dzielnicach austriackiej i pruskiej.

Ziemie, przyłączone do Austrii po pierwszym rozbie, a więc przed powstaniem «Komisji», nie korzystały naturalnie wcale z dobrodziejstw reformy i poddane zostały odrazu systemowi germanizacyjnemu. Temu samemu losowi uległa po trzecim rozbie, wraz ze starym uniwersytetem krakowskim, i nowa prowincja austriacka, otrzymująca nazwę Galicji Zachodniej.

Co się tyczy działu pruskiego (obejmującego, jak wiadomo, od r. 1795 do r. 1807 i Warszawy), to chociaż i tam wytyczano siły w celu zniesienia nowych obywateli i spodziewano się poważnie, że po dwu pokoleniach język polski już zniknie, to jednak uwzględniano częściowo przynajmniej system polski. Warto jest też, dziś zwłaszcza, przypomnieć sobie sąd pruskiej krytyki o szkołach, stworzonych przez Komisję edukacyjną. Oto Fryderyk-Wilhelm II (król «sans foi, ni loi, ni entrailles», jak go nazywa Katarzyna II), poznawszy system nasz ze sprawozdania radcy swego von Strahwitz'a, nie waha się powiedzieć w odezwie urzędowej, wystosowanej do kamery poznańskiej w r. 1794 (bynajmniej nie przeznaczonej do wiadomości poddanych miejscowych), że urządzenia szkolne polskie są istotnie wzorowe. W lat dziesięć później, radca prezydujący w departamencie t. z. «Prus południowych», von Klewitz, w memorjale, ogłoszonym w Berlinie, nazywa instytucje wykształcenia publicznego

obficie zaopatrzonym w zakłady naukowe) w r. 1820 liczono:

szkół 287, uczących się	9,788
w okr. petersburskim . . .	132, „ 6,348
w okr. dorpac kim . . .	184, „ 6,117
w okr. wileńskim . . .	430, „ 21,174

w Polsce z lat 1783—1790 wprost «przedziwnymi». Wiadomo też, że ówczesne nasze szkoły wydziałowe służyły za wzór przy zakładaniu gimnazjów pruskich. Sądy te pochlebne nie przeszkodziły naturalnie obniżaniu programu szkół tych, a także i niższych, jako też niestannemu zamykaniu szkół elementarnych, w obawie, że chłop polski coraz więcej żądać będzie oświaty dla siebie. Była to klęska dotkliwa dla uczestników reformy, dążących tak niedawno jeszcze do rozpowszechnienia oświaty wśród wszystkich stanów. To też jeden z tych uczestników, St. Potocki, w lat kilka potem, kierując Izba edukacyjną w Księstwie Warszawskim, nietylko znowu otworzył zamknięte przez prusaków szkoły, lecz pomógł je dziesięćkrotnie, wysyłał pedagogów zagranicę dla zapoznania się z systemem Pestalozzi'ego i marzył nawet o przymusie szkolnym dla ludu.

Zanim kasata zakonu jezuitckiego, liczącego wówczas w ziemiach polskich 57 kolegiów dla młodzi i około 500 nauczycieli, rozwiązała ręce reformatorem naszym i umożliwiła stworzenie nowej instytucji oświaty powszechnej i nowego ciała pedagogicznego, niemal już było u nas ludzi, rozumiejących niezbędną najrychlejszych reform w tej dziedzinie, mających świadomość *zacołania* we wszystkich gałęziach życia duchowego i materialnego. Ten, który, stojąc na granicy dwóch bytów naszych, sięgał najdalej w koncepcjach swoich społecznych i politycznych, i najkonsekwentniej wcielał je w czyn — Stanisław Staszic, zaczął programowe dzieło swe: «Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego», od myśli nad wychowaniem narodu. «Coś z «Emila», coś z Platona», mówi prof. St. Tarnowski o tej kategorii ideałów Staszica. Tak samo też «coś z «Emila», coś z Platona» daje się widzieć w całej wielkiej pracy Komisji edukacyjnej. To znaczy, że dążeniem podstawowym reformatów było zharmonizowanie indywidualnych właściwości i potrzeb człowieka (na takie szczyty podniesionych przez Rousseau'a), z właściwościami i potrzebami zbiorowej duszy narodowej, z potrzebami Rzeczypospolitej.

«Ustawy», wypracowane przez ks. Piramowicza w lat dziewięć po ustanowieniu Komisji, uzyskujące zaś moc obowiązującą dla szkół wszystkich kategorii w r. 1783, rzucają ciekawe światło na tę ewolucję, która

się dokonała w wyobrażeniach nie ogólnie wprawdzie narodu szlacheckiego, lecz jego inteligencji najwyższej. Nie brak też w niej elementów, analogicznych z usposobieniem znacznej części ludzi dzisiejszych.

Reakcja przeciw klasycyzmowi szkół zakonnych, zabierającemu tyle czasu uczniom i nauczycielom ze szkoda zadań najbliższych, czekających ich w życiu, ujawniła się wyraźnie w programach nowych szkół wydziałowych i podwydziałowych. Reforma pozbawiała nauki klasyczne ich dominującego znaczenia, wyrzucała raz na zawsze tradycyjne *compendia* — alwary i donaty; wymagała, zamiast ćwiczeń pamięciowych i paplaniny łacińsko-kuchennej, zrozumienia ducha pisarzy wzorowych. Językowi ojczystemu zapewniono po raz pierwszy właściwe miejsce w szkole; języki obce, żywe, nabrały też większego znaczenia. Z drugiej strony reakcja przeciw religijno-scholastycznemu kierunkowi nauki objawiła się w szerokim uwzględnieniu nauk ścisłych — matematyki, zwłaszcza fizyki. W przeciwieństwie do programów dawniejszych, dalekich od życia praktycznego, wprowadzono do szkół wszystkich kategorii tendencję utylitarną, nietylko ze względu na istotne potrzeby narodu zacołanego, lecz też powodując się zbyt wielkimi wpływami modnych u nas doktryn merkantylistów i fizjokratów. Tak samo też — modne teorie filozoficzno-polityczne, z Francji zaczerpnięte, w połączeniu z rodzimym zamiłowaniem do jursypendencji i politykowania, zapewniły w programach szkół średnich aż nadto wybitne miejsce naukom prawnym, naturalnie — «na prawie przyrodzonym i najściślejszej sprawiedliwości oparte».

Zmieniając treść nauki, zmieniało też i jej metodę. Czytamy więc w ustawach, że nauczyciel, «podejmujący się tej usługi ojczyźnie swojej», powinien sam uczyć się ciągle, czytywać dzieła dobrych logików, w stosunku do uczni powinien pamiętać ciągle, że «z ludźmi rozumnymi sprawa, chociaż z dziećmi sprawa», powinien poznać charakter, przymioty, grunt każdego z nich. Powinien «okazywać im ojcowską miłość nie czcząc słowy, ale samem postępowaniem». W nauczaniu zawsze powinien postępować od rzeczy prostych do złożonych, od podpadających pod zmysły do odezwanych, od szczegółów do uogólnień. Metoda induktywna wyrugo-

wała stanowczo absolutną przewagę dedukcji.

Praca Komisji musiała też odznaczać się z natury rzeczy wielką wszechstronnością, chodziło bowiem o odrodzenie wszystkich kategorii oświaty narodowej. Nadzwyczaj ważna rola przypadła w udziale obu akademjom — krakowskiej i wileńskiej, zreformowanym w duchu nowożytnym, pierwsza przez Kollataja, druga przez Poczubę, z tą różnicą, że ta ostatnia znacznie dłużej od krakowskiej mogła się rozwijać w duchu narodowym. Obie akademje nosiły charakter trojaki: przede wszystkim były źródłami wyższego wykształcenia dla młodzieży wogóle i dla przyszłych pedagogów; powtórnie spełniały obowiązki dzisiejszych akademii umiejętności, posuwając naprzód wiedzę teoretyczną za pomocą dzieł i wydawnictw naukowych, tworząc osobne sekcje, zwołując posiedzenia czysto-naukowe; po trzecie wreszcie — stanowiły dwa najwyższe organa w administracji szkolnej, koronnej i litewskiej, mając pod swoim zarządem szkoły średnie, pośrednio zaś i niższe i ich personel nauczycielski (ten ostatni brał za to udział w życiu uniwersytetów, np. przy wyborze rektorów, przez swoich delegatów). Kilka dziesiątków szkół sześcioklasowych wydziałowych z kursem siedmioletnim (przez wanych w Ks. Warszawskim szkołami departamentowymi, a w Królestwie kongresowym wojewódzkimi), odpowiadały gimnazjom dzisiejszym, szkoły podwydziałowe — progimnazjom. Liczniejsze od nich szkoły zakonne: pijarskie, dominikańskie, bazylijańskie obowiązane były zastosować programy swoje do wymagań ogólnych, czyniły to jednak niechętnie i powolnie.

Każdy profesor szkoły wydziałowej wykladał godzin 20 tygodniowo (w różnych klasach). O rozciągłości i charakterze programu najdokładniej sędzić możemy z obowiązkowych sprawozdań nauczycieli klas wyższych. W szkole wydziałowej warszawskiej naprzykład około roku 1790 w klasie V z języka łacińskiego uczono się dalszych przepisów o wymowie, mów Cyce-rona, niektórych ód Horacjusza, kończono «*Dzieje Rzymu*» i uczono się *historji wieków średnich*. Z *matematyki* — przechodzono solidometrię i część algebry. Z *fizyki* — (daleko obszerniej pojmowanej, niż obecnie, gdyż obejmowała ona wogóle nauki przyrodnicze), oprócz *fizyki właści-*

wej, uczono się też niektórych działów *mineralogji* i *botaniki*. W klasie VI w *nauce prawa* traktowano o «wzajemnych potrzebach, należytościach i obowiązkach narodów, o handlu zewnętrznym, o wojnie i traktatach». Z *prawa polskiego*: o prawach politycznych i cywilnych (o całości państwa, o stanach, sejmach i sejmikach, o Radzie niestającej, wojsku i t. d.) W *prawie cywilnym*: o lasach, polowaniu, o donacjach i zapisach, o kontraktach i t. d., o sądach i t. d., czytane też były niektóre statuty i konstytucje. W klasie też VI uczono się między innymi i *logiki* (przeważnie podług wyciągów z dzieła Condillac'a, specjalnie zamówionego przez Ignacego Potockiego), a także *historji sztuk* wyzwolonych i mechanicznych. W klasach niższych uczono się także *ogrodnictwa*, *rolnictwa* i poznawano praktykę rzemiosł, odwiedzając w towarzystwie dyrektorów (to jest dozorców prywatnych) zakłady rzemieślnicze i sklepy. W wykładzie *dziewięciu* nauczyciel nie powinien był zapominać o elemencie moralnym, «przeto nigdy nie będzie nazywał polityką, to jest umiejętnością rządu, ani bohaterstwem, co jest chytrością, zdradą, podłością, gwałtem, najazdem i cudzego przywłaszczeniem» — czytamy w ustawach. *Nauka moralna*, jako przedmiot osobny, miała na celu «wprawę młodzi w dobre obyczaje» i w przestrzeganie sprawiedliwości w stosunkach bliższych i dalszych. Zamiast kar cielesnych, uciekano się do przekonywania uczniów i do «umartwień sumienia». Dążąc do «zjednoczenia duszy z ciałem», kładziono ogromny nacisk na edukację fizyczną. Przelozeni doglądać powinni byli, aby mieszkania uczni jaknajzdrowsze i najczęściej przewietrzane były... «aby nie przeciążać umysłów zbytnią pracą... aby każdego dnia szkolnego czasy wyznaczone były na rozrywkę na wolnym powietrzu, a kiedy pora nie dozwoli, w domu na ćwiczenia i gry, do mocy i zręczności ciała, do męstwa i odwagi pomagające».

Poznaliśmy zasady i dążenia Komisji edukacyjnej i instytucji, kierujących się niemi w dalszym ciągu życia naszego porzobiorowego. Pozostaje ważne pytanie: w jakim stopniu zdołano je zrealizować?

Otóż pod tym względem rozróżniać należy parę okresów odmien-nych. Najcięższemu naturalnie było pierwsze dziesięciolecie po wprowa-

dzeniu reformy, odznaczające się nieustanną walką z niechętnym i podejrzanym gminem szlacheckim, podbechtowanym przez Jezuitów i ks. Łuskinę i gotowym wierzyć wraz z hetmanem Sewer. Rzewuskim, że

„Gorzkie łyzy w niebie gdyby miejsce miały,
Wszystkie tam kraje w łyzy się rozlały;
Poszedłby wylew nagły z pod obłoku,
Naksztalt potoku“.

(Z powodu upadku zakonów naturalnie).

Pozycja była tem trudniejsza, że dopóki się nie wykształcili w nowym duchu zastępy świeckich nauczycieli, trzeba było z konieczności korzystać z usług tych samych Jezuitów. Drugą słabą stroną nowego systemu stanowił brak odpowiednich podręczników; zanim świeżo zorganizowane Towarzystwo ksiąg elementarnych wygotowało podręczniki nowe, przeważnie bardzo dobre, musiano uciekać się, po usunięciu przestarzałych ksiąg, do dzieł zagranicznych, zwłaszcza francuskich, a co gorsza, do improwizacji niewykształconych nauczycieli pedagogów. Matematyka odrazu postawiona była bardzo dobrze.

Za to brać szlachecka wyrzekała gwałtownie na upadek łaciny, objawiając się w zaniechaniu rozmowy i ćwiczeń praktycznych, i wyśmiewała, po części słusznie, wykład nauk naturalnych—przez nauczycieli tak mało przygotowanych, że w zoologii np. zabierali czas uczniom pytaniami czysto gospodarskimi: jakiej maści krowy więcej mleka daje, lub który pies, czarny czy biały, lepszy do pilnowania trzody. W pierwszym też dziesięcioleciu najpowszechniej odzywają się w raportach wizytatorów skargi na opozycję konwentów zakonnych względem obowiązujących ustaw i programów, na zmniejszanie się liczby uczniów w szkołach. Słowem, okres ten przejściowy usprawiedliwia w znacznej mierze pesymistyczny pogląd autora cennej monografii: *«Żywioły zachowawcze i Komisja edukacyjna»*, p. W. Smoleńskiego, na rezultaty praktyczne wielkiej reformy szkolnej. O wiele lepiej za to działa się w latach następnych, dzięki wyspecjalizowanym i dobrze płatnym nauczycielom, a także dzięki nowym podręcznikom. Zupełna harmonia jednak pomiędzy zasadami a ich zastosowaniem zapanowała dopiero w gimnazjum krzemienieckim. Nigdzie bowiem nie spotykano takiej spójni pomiędzy przełożonymi a uczniami, pomiędzy władzą szkolną a

społeczeństwem, nigdzie nie szanowano w takim stopniu indywidualności ucznia, nigdzie też nie wdrażano ich tak umiejętnie i z taką miłością do spełniania obowiązków człowieka prywatnego i obywatela. Z drugiej strony w Krzemieńcu też dawały się czuć szczególnie i niedostatki zanadto encyklopedycznego i zbyt efektownego programu.

Coraz surowszym krytykiem tej encyklopedyczności stawał się z czasem kurator okręgu wileńskiego, ks. Czartoryski. Ani nauka sztuki, ani specjalności praktycznych nie mogła przecież być traktowaną w szkołach średnich i niższych ogólnie kształcących, wyczerpująco i gruntownie, przyzwyczajając więc uczniów, zdaniem ks. kuratora, do powierzchniowego traktowania rzeczy i obciążała niepotrzebnie ich umysł. Nauki prawne w zmienionych warunkach bytu politycznego traciły dawne znaczenie i prowadziły, jak zauważył ks. Adam, do niepotrzebnych porównań. Zanim jednak krytyka jego, dość spóźniona zresztą, zdolała się objawić wyraźniej w odpowiednich zarządzeniach, nadeszły katastrofy wileńskie, wywołujące dysmisję księcia; Nowosilcow dopiero usuwa nauki prawne z programów szkolnych. Najświetniejszy okres rozwoju uniwersytetu wileńskiego w dziedzinie nauki—i uczucia dobiega końca. Za to «Akademja» połocka oo. Jezuitów, skutecznie polecana względem Aleksandra I przez de Maistre'a, nabiera większego znaczenia urzędowego. W kołach oświeconych zowie się ona w dalszym ciągu—Akademją *smorgońską*.

Cienie się zgłaszają. Przeczuca autor listów z Ciemnogrodu, St. Potockiego, sprawdzają się coraz oczywiście: chociaż stan ten przejściowy trwa jeszcze lat kilka przed burzą rewolucyjną.

W lat trzydzieści dopiero po wypadkach listopadowych nadeszła chwila taka, kiedy do ruin systemu edukacyjnego mógł zbliżyć się nowy budowniczy, Aleksander Wielopolski. Wydobył z nich, co się dało, i oparł wszystkie pietra swej budowy edukacyjnej na starym, wypróbowanym fundamencie, liczył się jednak przenikliwie z potrzebami czasu i wprowadzał odpowiednie zmiany. Szkoła Główna była tylko uniwersytetem, zarząd szkół średnich nie wchodził w jej atrybucję; program tych ostatnich odznaczał się większą jednolitością w porównaniu z różnorodnym programem

szkół dawnych; szkoły niższe przygotowywały bezpośrednio do wyższych; poziom nauki w szkołach elementarnych nie tylko się nie podniósł, lecz uległ pewnym ograniczeniom. Nowością były naturalnie szkoły realne, a także specjalne—handlowe etc. W urzędzeniach margrabiego powtórzyły się, chociaż w słabym stopniu, wpływy francuskie—powtórzyły się też, ale znacznie wyraźniej, tradycyjne usiłowania do ugruntowania wśród młodzieży poczucia obowiązków obywatelskich. Z młodzieżą tylko i z nauczycielami dumny margrabia potrafił być przystępnym, niemal przyjacielskim.

Niedługo trwały zresztą jego usiłowania: rozpoczynaliśmy bowiem nowy szereg zwycięstw—nad złudzeniami. Budowa margrabiego przetrwała lat kilka po jego upadku.

Niepodobieństwem jest naturalnie w tym pobieżnym szkicu uwypuklić należyte wszystkie zalety i wady omawianego przez nas systemu przez cały czas jego trwania. Zdaje się nam jednak nie ulegać wątpliwości, że wady jego były przejściowymi wynikiem ducha wieku, zalety natomiast były tak trwałe, że nie straciły znaczenia swego aż do dni naszych. I dziś też, wzbogaceni swoim własnym i międzynarodowym doświadczeniem, zgodzić się musimy na zdanie jednego z najtrzeźwiejszych mężów naszych, J. Śniadeckiego, że ostatni akt «nie przestanie być sławnym w dziejach narodów pierwszym przykładem w ustawie i dziełach Komisji edukacyjnej.

Rom. B. C.

KILKA ZIMNYCH UWAG W PEWNEJ PALĄCEJ KWESTJI.

Czy możliwym i czy pożądanym jest
bojkot niemieckich wyrobów?

IV.

W dziennikarskiej ankiecie, prowadzonej z dnia na dzień przez pracownika pióra, który tem jest w gospodarstwie społecznym w pewnej mierze, czem w gospodarstwie prywatnym «służąca do wszystkiego», niesposób wyczerpać przedmiotu, zwłaszcza tak obszernego i różnorodnego, jak sprawa naszych stosunków przemysłowych i handlowych z Niemcami. W ankiecie takiej można daną sprawę poruszyć, wytyczne punkty podkreślić, różne możliwości, niemożliwości i ewentualności wskazać — i ostatecznie kwestję w ten sposób przygotowaną przekazać instytucjom, które przemysłowcy i handlowcy utworzyli dla ba-

dania i popierania zbiorowych swoich interesów, jak np. zgromadzenie kupieckie, komitet giełdowy, albo nasze Muzeum przemysłowe z licznymi swoimi sekcjami. Podając tu wiążące głosów fachowych, szło nam o oświetlenie pełniejsze przedmiotu, o pogłębienie go—i do pewnego stopnia o przeciwdziałanie tym bałamutnym sądom, które, pod wpływem ciężkiej dla nas chwili dziejowej, zyskały w pewnej mierze powagę u naszej, zawsze tak błędnej jeszcze opinii publicznej. O żadne rozwiązanie stanowcze i pozytywne nie kusił się. Uczyni je—życie samo.

To, co podajemy, to niejako «materiały do sprawy stosunków naszych z Niemcami na polu przemysłu i handlu». Aby zaś z materiałów tych utworzył się obraz—nie kompletny, ale o ile możności wyraźny i pouczający — postarałem się przezwyciężyć pewną istotną trudność: zasięgnąć opinii w danej sprawie naszych sfer handlowych nalewkowskich. Rzecz ta nie należała do łatwych, dlatego że—chcąc mieć pogląd najbardziej typowy i normalny, musiałem właśnie skierować się ku ludziom, którzy najmniej uzdolnieni są do zrozumienia moich intencji, zamiarów, pytań. Trzeba było znaleźć hurtownika, poważnego jako kupiec, a zarazem skłonnego do wejścia w bliższą rozmowę z dziennikarzem—rozmowę o interesie, a jednak całkowicie platoniczną.

Przy współudziale jednego z kolegów po fachu, który stosunki żydowskie wziął sobie za specjalność, udało mi się otrzymać dwa takie poglądy, które tu podaję «w opracowaniu krytycznym» do pewnego stopnia. Ponieważ mi chodziło jedynie o opinie i argumenty, starałem się dwa te wywiady oczyścić z pierwotnych charakterystycznych, o ile to tylko nie naruszało rzeczy samej; pozostałe ich jednak dość jeszcze, pomimo tego zaokrąglania kantów.

Poglądy hurtownika nalewkowskiego.

Kupiec, który udzielił mi dłuższej audjencji, «robi w modzie, głównie w kwiatach, piórach, strojach, we wszystkim, co dotyczy kobiecego ubrania».

— Ja rozumiem, o co panu idzie—rzekł mi po wysłuchaniu mojej ekspozycji.—Panu idzie, żebyśmy z Niemcami nie handlowali. To się nie da zrobić. Kupiec targuje z kim potrzeba, z kim się da; on patrzy, z kąd może zarobić, bo on z tego żyje. Ja na przykład targuję z Niemcami, z Francuzami, z Anglikami, z Rosjanami, z Polakami, z naszymi, ze wszystkimi. Z zagranicy to ja sprowadzam tylko to, co potrzeba koniecznie, a co tylko można robić na miejscu, to się robi, bo to najlepiej popłaca. Modele muszę sprowadzać z Paryża, a znowu delikatny batyst do kwiatów z Londynu. Ale zawsze z Niemcami fabrykantami muszę być w stosunkach, bo z nimi interes najpewniejszy.

— Dlaczego pewniejszy, niż z Francuzami?

— Dlatego, że u Francuzów to prędko się zmienia; dziś moda inna, to już nigdzie pan wczorajszego towaru nie dostanie, choćby pan nie wiem jak płacił. Oni na końcu sezonu robią wyprzedaż, to się u nich nazywa *solde*; to oni potrafią sprzedać taką rzecz, co w poniedziałek warta była dwadzieścia franków,

we wtorek za jednego franka. I niech pan nie myśli, że on traci. Nie, on zarabia, bo on przez cały sezon odbił sobie i kapitał, i procent, i zysk; a to, co mu teraz do kieszeni wpłynie, to jest na czysto; on nie czeka, aż mu towar zgnije, woli go się pozbyć choćby za grosz. A taki *solde*, to dla niego wielka reklama: ludzie pamiętają, że oni w tym sklepie kupili za franka to, co gdzieś indziej dwadzieścia franków kosztuje, więc przychodzą i ruch mu robią. Oni są mądrzy ci kupcy francuzcy. Ale to się u nich tak prędko zmienia, że my nie możemy nadażyć. Uderzył zegar na dwunastą—już inna moda, inne wszystko. A u nas i w Rosji—bo ja głównie do Cesarstwa wywożę towar—to kobiety nie mają tyle pieniędzy do wydawania na stroje, więc moda nie tak prędko się zmienia. Więc my musimy brać towary od Niemców, bo oni inaczej robią niż Francuzi: dopóki jakaś rzecz idzie, to znaczy, że jest ona w modzie i oni ciągle robią i mają ją na składzie. Wielki sekret niemieckich fabrykantów to jest ten, że od nich można dostać *zawsze jednakowy towar po jednakowej cenie*.

— Czyż nasi fabrykanci nie przedstawiają tej stałości stosunku?

— Polscy fabrykanci? Widzi pan, oni jeszcze nie przestali być zupełnymi rolnikami, oni jeszcze patrzą na pogodę i na urodzaj. Jest urodzaj—to on zupełnie inaczej głowę trzyma jak wtedy, kiedy niema urodzaju; raz on jest dumny, a raz on jest grzeszny. Jak ja jego potrzebuję, to on jest dumny i każe mi drożej płacić, a jak ja jego nie potrzebuję, to on się kłania grzecznie i uśmiecha jak kobieta. A z niemieckim fabrykantem to ja raz umówiłem się o cenę i o towar, i tylko napiszę do niego: «proszę mi przysłać tego a tego, tyle a tyle»—i ja wiem, że on mi ceny i warunków nie zmieni wtedy, kiedy ja mu obstalunek daję. A im więcej ja jego potrzebuję, to on jest grzeszniejszy. Jak ja mam z niemieckim fabrykantem do czynienia, to ja mogę sobie spokojnie przy stoliku kalkulacje układać, choćby na cały rok, a nawet więcej; a z naszym to nie, bo ja nigdy nie wiem, co on mi jutro zaśpiewa. On wczoraj śpiewał cienko, a jutro to on może grubo zaśpiewa.

Potem mi zwrócił uwagę z własnej już inicjatyw:

— W całym tym interesie niemieckim to dużo znaczą *reisenderowie*; każdy niemiecki fabrykant ma agentów, co jeżdżą po świecie i wypychają towar; a towar trzeba ludziom wypychać. Jak pan będzie siedział z założeniami pod siebie nogami, niby turek, i tylko głową kiwał, to pan prędko milionów nie zrobi. Jak taki wojażer przyjdzie do mnie i zapyta: «Może pan chce mojego towaru?» to ja, choćbym potrzebował, odpowiem mu: «Nie, ja nie chcę pańskiego towaru»—prawda? To on zapyta się: «Dlaczego pan nie chce mojego towaru? ja mam dobry towar». Ja mu odpowiadam: «Bo mnie kto inny dostarcza». To on chce mi dać koniecznie i pyta: «A ile pan innemu płaci?» To ja powiem niską cenę—i my się targujemy — i ja z niego wyciągnę cenę. A wyciągnę cenę dlatego, bo on to mnie przyszedł. A z fabrykantem francuskim albo angielskim—to ja muszę do niego przyjść

i zapytać: «Może mi pan sprzeda towaru?» Rozumie pan—wtedy jest zupełnie inne gadanie.

— Rozumiem. Ale przecież i nasi fabrykanci posługują się agentami?

— Te agenty są nic nie warte.

— Dlaczego, łaskawy panie?

— Ja panu powiem dlaczego. Dlatego, że tutejsi fabrykanci nie umieli wyrobić sobie porządku i solidnych agentów. Jak niemiecki fabrykant otwiera fabrykę, to on zaraz bierze sobie agentów, wybiera ich z porządku ludzi, daje im pensję, daje im prowizję i powiada: «teraz będziemy razem pracowali». On ma cierpliwość, on doloży do agenta trochę pieniędzy rok, dwa; on jego przywiąże do siebie. Był naprzykład agent w Radomiu, a po pewnym czasie przychodzi od jakiego kupca z Radomia bezpośrednie zapotrzebowanie do fabrykanta. To fabrykant wie, że to zrobił agent, co był w Radomiu, choć sam agent nie wie o obstalunku. I fabrykant nie szuka agenta, ale mu sumiennie zapisze prowizję. A znowu agent jak przyjedzie i to zobaczy, to powie sobie: «ja mogę dla niego pracować, bo on jest rzetelny człowiek». I ma wielkie przywiązanie do interesu. Ja panu powiadam, że taki niemiecki agent jest jak dobry nóż, bo nawet żelazo ukrąja. Jak on interes robi, to nie tylko patrzy, aby towar wepchnąć, ale i na to, żeby fabrykant nie upadł; on jest odważny, ale on jest i ostrożny.

— A u nas?

— U nas? Jak u nas fabrykant narobi towaru, to on chce, żeby ten towar szedł na własnych nogach. Kiedy ten towar na własnych nogach nie idzie, to fabrykant powiada: «jest źle», i wtedy bierze agentów. A bierze, kto mu wejdzie pod rękę; zdarzy się porządny człowiek, to on jego weźmie; zdarzy się łobuz, to on jego też weźmie. A jak mu jakiś agent dobry stosunek nawiąże, to on tylko o tem myśli, żeby się już bez niego obejść i prowizji mu nie płacić. To taki agent myśli sobie, jakaby protekcję sobie wyszukać i dostać się na kolej, albo do jakiego biura. Jak agent nie zrobił interesu, nie dostał prowizji, nie ma co jeść, to fabrykant myśli sobie: «niech on zdechnie», a znowu jak fabrykant sprzedać nie może i kręci się jak ten piskorz, to agent myśli sobie także: «niech on zdechnie». I dlatego oni nie mają zdechnąć, kiedy jeden z drugiego żadnej korzyści nie ma, choć niby i ten tego, i ten tego potrzebuje. Więc widzi pan, przez to u nas jest feler.

Dorzucił jeszcze:

— Ja jedno panu powiem także, że tu i język niemiecki ma w tym interesie znaczenie. Nasze kupcy nalewkowskie, to oni wszyscy po niemiecku umieją, choć na tyle, że oni potrafia przeczytać i zrozumieć list po niemiecku pisany; od biedy i odpowiedzi potrafia także. A jakby główny interes szedł z Francuzami, albo Anglikami, to już taki kupiec jest w ręku korespondenta. A taki korespondent to wszystkie sekrety wypatrzy i—naprzeciwko skład otworzy po dwóch latach. Tak—to kupiec wszystko sam w swoim ręku trzyma, a inaczej—to i interes i kupiec sam byłby w ręku obcego człowieka. On się boi zdrady. To on nie chce. I woli prowadzić interes z Niemcami.

Już po powrocie z Paryża.

Dowiedziałem się, że jeden z hurtowników nalewkowskich, zadłużony w Berlinie «powyżej uszu»—zaledwie odczwały się pierwsze hasła bojkotu towarów niemieckich—podążył do Paryża, zawrzeć stosunki z francuskimi kupcami, jako rzetelny polski patriota.

Dostałem się do niego.

— I cóż? zrobiliście pan interes z francuzami?

Pokreślił głową.

— Oni są twardzi bardzo—odrzekł.

— To znaczy, żeś pan wskórał niewiele, albo też zgola nic.

Pokiwał głową.

— Niewiele, niewiele, co prawda, to prawda.

— Cóż oni, nie chcą wcale wchodzić z nami w stosunki?

— Za gotówkę to oniby zaraz weszli w stosunki z nami, na stojący, ale tak, to oni są bardzo ostrożni... I dlatego oni nie mają być ostrożni, kiedy oni nie potrzebują tak pieniędzy, jak Niemcy? Tam wszędzie taka zamożność, taki dobrobyt—aż przyjemnie patrzeć. Cały handel jest w rękach komisjonerów, którzy dają fabrykom zapotrzebowanie: «tyle a tyle tego». I fabryka według obrotów robi. We Francji niema nadprodukcji towaru. Oni nie potrzebują ryzykować i oni nie chcą ryzykować.

— A Niemcy?

— Niemiec jest ryzykant. I on musi być ryzykant, bo on jest biedny, on jest głodny, on narobił masę towaru na skład, on musi go gdzieś wepchnąć. Tam niema tej zamożności, co we Francji. Więc on daje i ustępstwa, i kredyt, i wszystko, czego od niego chce. On wie, że z nami handlować, to nie jest pewny interes. Ale on z góry przygotowany jest na to, że mu kupiec zbankrutuje; i jeżeli mu zbankrutuje po dziesięciu obrotach dopiero, to on jeszcze się cieszy, bo powiada: «cóż z tego, że on zbankrutował, kiedy na nim w sumie całej zarobiłem tyle a tyle». I jak on zarobił na kupcu, to czego on chce więcej? On jest także mądry.

Dodał w końcu:

— Jak ja wracałem z Paryża, tom naumyślnie wstąpił do Berlina, żeby powiedzieć Niemcom: «wy jesteście biedaki! u was niema dobrobytu! wy musicie z nami handlować!» Tak gadałem przez złość.

— Za Wrześnię?...

— Właśnie.

— A oni?

— Oni byli bardzo źli. Ale ja na to nie uważałem. Ja im mówiłem: «Francuzi, to wcale nie chcieli ze mną gadać; oni tylko za gotówkę robią interesy, a wy jesteście ryzykanci, bo choć wyście pobili francuzów, ale u was jest bieda taka, że z każdego kąta patrzy. A jakbyście nie ryzykowali, toby bieda była jeszcze większa. I wy nam łaski nie robicie. Tak, proszę pana, im nagadałem. Oni aż się trzęśli.

Ze względu na datę, zdaje się, że to był pierwszy owoc naszych nawoływań do bojkotu...

Opieka celna i nasz przemysł.

Kilka uwag, atakujących zbyt bezwzględnie nasz przemysł, a nawet posuwających się tak daleko, że niemal nieprzyznających mu racji bytu, ogła-

szam tu oddzielnie,—jako sprawę uboczną w stosunku do zadania, jakie sobie postawiłem, żywotnie jednak z nią związaną. Jakkolwiek te głosy wydać się mogą czytelnikom naszym krańcowe, i nawet szkodliwe, wysłuchać ich należy. Pismo jest trybuną, na której każdy człowiek, zabierający głos w publicznej sprawie, wysłuchany być powinien. Wymaga tego kultura stosunków społecznych.

— Nasz przemysł?—mówił mi pewien kupiec—to jest sztuczna roślina, prowadzona z wielkim nakładem, na co dają pieniądze najuboższe właśnie warstwy ludności, te, którym brak jest pieniędzy na najpierwsze potrzeby życia. Dzięki opiece, jaką otoczono nasze produkty, za wszystko się płaci drogo, drożej, niż gdziekolwiek na świecie, nieraz w dwójnasób drożej. Powiadają nam: «ofiary są tu konieczne; tylko za cenę ofiar stworzymy wytwórnię krajową; a raz ją stworzywszy, otworzymy obfite źródła, z których potoki bogactwa rozlewać się będą po narodzie». Dobrze, składajmy ofiary na ołtarz dobra narodowego. Tylko—jak długo trwać będzie to ofiarnictwo? ileż to potrzeba tych ofiar? Należy przeciw jakiś bilans zrobić od czasu do czasu, pytać się, czy skóra starczy za wyprawę? Przecież to już dziesiątki i dziesiątki lat upłynęły, jak na granicy państwa postawiono komory celne, jak opiekują się przemysłem wewnętrznym, gnębiąc zewnętrzny. I jakież są rezultaty tej opieki? Oprócz przemysłu bawelnianego, wszystkie wielkie gałęzie przemysłowe wyglądają na schorowanych pacjentów, wołających omdlałym głosem: «pomocy». Weźmy przemysł cukrowniczy, dający przez tyle lat olbrzymie zyski, gdzie 40 i więcej procentów dywidendy nie było nadzwyczajną rzadkością. Zamiast obniżyć ceny cukru i uczynić go dostępnym dla najniższych warstw ludności, uczynić go pierwszą potrzebą, nie zaś rzeczą zbytku, szukać olbrzymich zysków tylko na drodze olbrzymich obrotów—cóż uczynił kartel, mający na celu utrzymanie cen, wysokich w stosunku do tanioci naszej ziemi, uprawy i robotnika? I kto wie, jakby skoczyły ceny cukru w górę, gdyby nie interwencja rządu. Ale mniejsza o przemysł cukrowniczy. Ten przynajmniej stanął na mocnych nogach, istnieje, stanowi źródło bogactwa narodowego, choć się ze społecznymi potrzebami i obowiązkami nie liczy. Weźmy przemysł żelazny. Zdaje się, że i w raję lepszych warunków wytwórczych nie znaleźć w tym zakresie, jak u nas. Mamy na miejscu i węgiel i rudę; z jednej strony cło—cło, stanowiące 75 kop. od puda, a więc równające się wartości materiału samego, z drugiej—olbrzymie państwowe obciążenia. Czego chcieć więcej? A patrz pan, producenci żelaznych wyrobów o jednym tylko marża: o kartelu, któryby podniósł jeszcze wyżej ceny wyrobów. A któż to płaci? Rolnik, biedny, przyciśnięty, ledwie dyżący rolnik przedewszystkiem, — a potem my wszyscy, konsumenci, ogół, naród. I pomyśl pan teraz o małym kraiku, Szwajcarii, która musi sprowadzać z obcych krajów i żelazo i węgiel, a która staje odważnie, dzielnie i z powodzeniem w zakresie maszyn i wyrobów żelaznych do konkurencji z Niemcami i Anglią. Niech mi nie mówią, proszę, że

taki przemysł, że takich fabrykantów należy i warto popierać.

Podaję ten głos w imię bezstronności, ze wszystkimi zastrzeżeniami.

Oto inny:

— Patrzymy z podziwem na niesłychany rozwój przemysłu niemieckiego. Ale czy pomyśleliśmy o tem, że my się tak wiele przyczyniliśmy do wzmocnienia go, wyrobienia, postawienia na tych, zda się, niewzruszonych przez czasy podstawach, na jakich dziś stoi? A przyczyniliśmy się do tego, nie otwierając mu szeroko pola zbytu, ale przeciwnie, ściskając go, ograniczając, stawiając w gorzych, wyjątkowych warunkach wskutek cel, opłaty patentów komiwojażerskich i t. d. Wyobraźmy sobie dwóch synów, którzy są nierówno i odmiennie traktowani przez ojca; jeden ma małość łatwą, inny ciężką, jednego ojciec pieści, drugiego karze, jednego trzyma długo w domu, niczego mu nie odmawiając, drugiego wcześniej puszcza w świat o własnych siłach, nieczem mu w pomoc nie przychodzi. Normalnie z pierwszego wyrośnie mazgaj, z drugiego dzielny obywatel; pierwszy wobec przeszkód zginie, drugi je złamie i pójdzie naprzód. Żywcem to da się zastosować w naszej sprawie. «Duch jest, jak woda—im ciśnień, tem wyżej». Niemcy, walcząc twarde z trudnościami, doszli do doskonałej organizacji przemysłowej i wyrobili sobie ludzi na wszystkich szczeblach przemysłowej hierarchii; posiadają niezrównanych kierowników i niezrównanych sprzedawców. Nauczycieli się produkować tanio, tak tanio, że odbili różnicę cel własną dzielnością i zalewają nas ciągle towarami. Czy pan da wiarę, że kolnierz męzki taniej wypadnie sprowadzić z Berlina, niżeli go zrobić w Warszawie? Przy całym kolosalnym rozwoju przemysłu tkackiego u nas? Nie do wiary—a prawdziwe. Niemiecki przemysł wyrobił sobie stalowe muskuły niejako; im dłużej trwać będzie ta, przesadzona, mojem zdaniem, opieka nad naszym anemicznym ciągle przemysłem, tem mocniej niemiecki wzrastać będzie i siłą muskułów zrywać i zwyciężać stawiane mu tamy.

— Cóż więc zrobić, pańskim zdaniem? Przecież otworzyć granicy na oścież, wrócić do dawnego wolnego handlu nie sposób? Dziś zwłaszcza, gdy protekcyjnistyczna maszyna i wywołane przez jej działanie skutki w postaci tysięcy fabryk i setek tysięcy robotników—są w pełnym ruchu?

— Otóż to. Rada nie jest łatwa. Trudno zwłaszcza znaleźć ją narazie. Ale co przychodzi na myśl odrazu, to ograniczenie terminów protekcyjnych, ogłoszenie, iż np. po latach dziesięciu niektóre cła dzisiejsze ulegną redukcji, dajmy na to o dziesięć procentów, po latach dwudziestu o nowe 10 procentów, i tak dalej. Bo co tu jeszcze wchodzi w grę—to niebezpieczna możność używania cel nie tylko w celach racjonalnych, to jest w celach opieki nad rozwojem miejscowego przemysłu, ale i nad używanie ich w celach i widokach fiskalnych. Boć ostatecznie możemy się zgodzić na to, iż pewne rzeczy są droższe u nas niż gdzieindziej, ale nigdy nie możemy uspokoić się na tem, aby rozmaite przedmioty, jak np. narzędzia, maszyny, materje, były stale gorsze u nas aniżeli gdzieindziej. Sprawa

dząć więc potrzeba od obcych to i owo dla własnego interesu naszego, dla celów naszego rozwoju. Tymczasem cła, zwyrodniałe pod wpływem potrzeb państwowych, pod wpływem poglądu, który widzi w nich jedynie źródło dochodów, postawić nas mogą w stanie chronicznej niższości, nieuleczalnego niedołęstwa. Mojem zdaniem więc, należy mieć na oku ustawicznie tę chwilę, w której cła będą można zniżyć, w której należy je zniżyć, aby w pewne rozwinięte już gałęzie przemysłu naszego wlać nieco więcej energii i inicjatywy.

Nasze szkoły zawodowe.

Rozmawiając z pewnym przemysłowcem o przyszłości przemysłu naszego, rzuciłem mu pytanie:

— A politechnika?

Wzruszył na to sceptycznie ramionami. — Panie, nasza politechnika nie może być dobrą, bo nie może mieć wybornych profesorów do specjalnych, technicznych przedmiotów. W państwie powstało teraz parę politechnik i wszystkie na brak ten chorują. Teoretyczne przedmioty łatwiej obsadzić wychowankami uniwersytetów. Ale dla postawienia praktycznych przedmiotów na należytej stopie potrzeba specjalistów, z długoletnią zawodową praktyką. Nasz przemysł, bardzo mało samodzielny jeszcze, takich specjalistów nie wytworzył, a tam nawet, gdzie ich wytworzył, nie zawsze dadzą się oni w celach pedagogicznych w obecnych warunkach użyć. Zresztą ja bym nie powiedział, abyśmy mieli za mało inżynierów. Daje się tu spostrzec pewną nadprodukcję...

— Nadprodukcja zawodowców? Chemików na przykład?

— Niezawodnie—nawet i chemików. Corocznie przybywa ich sporo, wykształconych w dobrych nawet szkołach zagranicznych, i ci trudno, coraz to trudniej znajdują pracę.

Przypomniało mi się w istocie niezwykle zdarzenie z przed dwóch lat: jeden z moich znajomych, po skończeniu kolejowej szkoły technicznej, pracował w pewnej fabryce, gdzie, jako majster, doszedł do płacy 100 rubli miesięcznie. Oszczędziwszy trochę pieniędzy, wyjechał zagranicę, wstąpił na politechnikę i został inżynierem. Po powrocie do kraju, nie mając narazie innego miejsca, przyjął w tejże samej fabryce posadę rysownika za 60 rubli miesięcznie—dawne jego miejsce było oczywiście zajęte.

Ktoś inny zwrócił mi uwagę na wychowawców szkoły Wawelberga i Rotwanda:

— Młodzi ci ludzie nie chcą wstępować do politechniki, uważając, że otrzymali dostateczne wykształcenie, aby wyrobić sobie takie same stanowiska, jakie wyrobić sobie mogą ci, co są obdarzeni patentem inżyniera. I w istocie, dają sobie dzielnie radę. Niedawno powołano dwóch wychowawców tej szkoły na taksatorów przy reformie ubezpieczeń rządowych, które to posady powierzane są z zasady tylko mającym wyższe wykształcenie. W ten sposób mamy aż dwie politechniki w Warszawie i dużo kandydatów na dyrektorów, a brak nam średnich szkół technicznych, nie mówiąc o niższych, które znajdują się dopiero w krainie pobożnych życzeń. Te

żas nam są potrzebne przedewszystkiem.

Kwestja szkół zawodowych tak blisko się wiąże ze sprawą wzmocnienia przemysłu naszego, że te parę uwag nie będą tu, sądzimy, nie na miejscu.

Warszawa.

Varsoviensis.

NA GRANICY DWÓCH POTĘG.

Wywiady «Now. Wrem.» w Poznańskim.

Współpracownik dziennika «Now. Wremia» p. Nestor ogłosił szereg artykułów, charakteryzujących nastroj umysłów w Poznańskim. Dotychczas autor prawie wyłącznie zajmował się polakami, skrętnie notując każdą, choćby najmniejszą aluzję z ich strony do sympatyj względem Rosji, usłyszaną w rozmowie z przedstawicielami tamtejszego społeczeństwa polskiego. W ostatnim, szóstym liście, poruszył sprawę nie zupełnie nową, ale dla Prus bardzo drażliwą. List ten ma nagłówek: «Rozmowy z wojskowymi».

„Wojskowość w formie najostrejszej—zaczyna autor—przepowiednie wojny, naturalnie z Rosją, do tego stopnia tu mię przesładują, że choć jestem człowiekiem zupełnie pokojowo usposobionym, nie uważam za możliwe zamieścić o tem, com tu widział i słyszał. Czytelnik zaś niech sam sąd o tem wyda.

„Jestem w wagonie II klasy, czyli zajmuję niejako honorowe miejsce w pociągu lokalnym na jednej z linii poznańskich. Razem ze mną siedzi rudy Niemiec, szeroki w barach, czerwony na twarzy. Zajął przeciwległą ławkę i nogi swe prawie położył na moich kolanach. Ciągłe zagłada do swej torby podróźnej, smakuje coś z butelek mocno podejrzanych, a ja zasłaniając się numerem «Nowego Wremia» i odpędzam nim dym obrzydliwego cygara pruskiego.

— Paskudny dziennik rosyjski, Herr Doctor?—grzecznie rozpoczyna ze mną rozmowę po rosyjsku Niemiec—wielkie w niem głupstwa piszą o nas.

— Czy pan sądzi, że piszą niesłusznie i że ogłaszają fałsz?

— Djabła tam fałsz! piszą prawdę rzeczywistą, ale mówią o Niemcach w Chinach i w Turcji, a u samych siebie ci *rossische Schweine* nie wiedzą, co mają pod nosem.

— Czy nie mógłby się pan wyrażać przyzwyczaj? Jestem przecież Rosjaninem.

— Tak też i ja myślałem. A ja jestem Niemiec Rzeszy *aus russisch Polen*. Mito mi poznać się: Schwarz, rosyjski nadlesny, pruski porucznik zapasu i informator królewski.

Autor uczuł wstręt do tego człowieka i chciał mu odrzec, że nie podziela jego radości z tego zaznajomienia się, ale ostatnie wyrazy Niemca pobudziły jego ciekawość.

— Cóż to za nowy tytuł *Königlicher Informator*?—zapytałem.

— Jest to bardzo ważne i zaszczytne stanowisko, *lieber Freund*. Informatorem nazywa się każdy poddany niemiecki, oficer lub podoficer, zamieszkały w sąsiednim państwie, blisko granicy, np. w rosyjskiej Polsce.

— Sądząc z nazwy, należałoby mniemać, że jest to rodzaj szpiega?

— *Donner Wetter! Mein Herr!* Informator—to człowiek uczelny i, jak powiedziałem już, bardzo honorowy. Ani myśli też

wcisnąć się w wasze tajemnice, kupować je lub sprzedawać. Jest on poprostu obowiązany, jako wierny poddany i wojskowy, patrzeć we dwa oczy i uważać, co kolo niego się znajduje i dzieje. Każdy informator ma swój rewir. Jego obowiązkiem jest znać warunki miejscowe, drogi...

— Przecież macie szczegółowe mapy kraju, pocóż więc badać jeszcze drogi?

— Mapy, naturalnie, mamy i wszystkie też drogi znamy wybornie. Ale czy mapa powie nam o stanie tych dróg w różnych porach roku? Czy po drogach może przejeżdżać tylko piechota i konnica, czy też także i artylerja, oraz z jaką szybkością mogą posuwać się wojska? Grunt przecież może być piaszczysty, błotnisty lub gliniasty; na wiosnę lub w jesieni nie każda droga jest łatwa do przebycia; trzeba też znać stan mostów, trzeba wiedzieć, jak sobie poradzić w razie zepsucia drogi. Wreszcie i ludność polska w kraju, na wypadek wojny, będzie dla nas usposobiona wrogo i dlatego trzeba koniecznie mieć ścisłe wiadomości, gdzie znaleźli ludzie pewnych, dobrych Niemców, którzy doniosą, gdzie są złożone zapasy, którzy będą szpiegami, przewodnikami i t. d. Wszystko to informator musi wiedzieć najdokładniej i zdać z tego coroku najszerokość egzamin przed naczelnikiem, kiedy go wzywają na ćwiczenia wojskowe.

— To wcale nieźle. Nie jesteście narodem głupim. Dziwnem jest tylko to, że tak mało słyszymy o was. Widocznie rzadko się zdradzacie.

— Cała właśnie sztuka polega na tem, że nigdy się nie zdradzamy, i nawet zdradzić się nie możemy.

— Dlaczegoż to?

— Ponieważ nikt nigdy nie znajdzie u nas ani liter, któreby nas skompromitowały, ani jednego planu. Pisać i rysować najsurowiej nam wzbroniono i jesteśmy obowiązani wszystko mówić z pamięci. Sprawa jest czysta i bać się czego nie mamy.

— Dlatego też prawdopodobnie opowiadacie o swoich czynach pierwszemu spotkanemu dziennikarzowi rosyjskiemu.

— Niech pana djabli porwał! Czyż masz pan na czole napisane, że jesteś dziennikarzem? Zresztą nie mię to nie obchodzi, bo wszystko, co powiedziałem, było kłamstwem...

Podróżny zdjął nogi z ławki i ponuro milczał, zwróciwszy wyłączną uwagę na swe butelki, które ponapoczywał, żeby cła nie zapłacić na granicy rosyjskiej. Autor przyglądał się temu z odrazą. Dalszy ciąg jego opowiadań dotyczy oficerów pruskich polskiej narodowości, którzy z nim byli zupełnie szczerzy.

„Wśród moich nowych przyjaciół—polaków w Poznaniu poznałem kilku pruskich oficerów zapasowych, którzy potwierdzili mi to wszystko, z czem wygadał się w wagonie pół-pijany Niemiec. Okazuje się, że dajemy przytułek całej, prawidłowo zorganizowanej armji „uczelnych szpiegów“, którzy w Kraju Przywiślańskim zajmują najrozmaitsze, dobrze opłacane miejsca. Są tu rządcy majątków, leśnicy, nadzory, nauczyciele, subjekci handlowi, przemysłowcy i kupey. Jeneralny sztab niemiecki widocznie bardzo się stara, aby podobnych ludzi było najwięcej w Polsce rosyjskiej, gdyż inaczej niepodobna wyjaśnić, dlaczego zamieszkał tu poddani rosyjscy korzystają z praw niemieckiego państwowego ubezpieczenia dla robotników, pomimo, że według przepisów ogólnych, prawo to po za granicami państwa nie służy nikomu.

„Zdaniem jednak życziwych polaków poznańskich byłoby łatwo zapobiedz temu: należałoby tylko choć w pewnym stopniu pójść za przykładem pruskim, wypędzając lub nie wpuszczając do granic „niedogodnych cudzoziemców“ (*listige Ausländer*). Za cza-

sów Bismarck z prowincji poznańskiej wypędzono 40 tys. poddanych rosyjskich i odtąd ustanowiono najsurowszą kontrolę nad wszystkimi, którzy tu przybywają. Rosyjsko-polscy robotnicy co do jednego muszą wracać do domów, gdy tylko minie konieczna potrzeba ich trzymania w końcu sezonu. Każdego poddanego rosyjskiego, który przybędzie do Poznania lub do innego miasta polskiego, zaraz wysiedzą i wypędzają piętego lub szóstego dnia, rzadko pozwalając mu zostać na dwa lub trzy tygodnie. Nie nawidzą również kobiet. Niedawno zdarzył się wypadek, że z Warszawy przyjechała do Poznania zdawałoby się zupełnie nie szkodliwa i przyzwyczajona dziewczyna, którą wezwano tu, żeby kierowała szwalnią. Wypędzono ją po upływie niecałego miesiąca. W rezultacie otrzymuje się niezrozumiały kontrast: rosyjsko-polskie ziemie są otwarte dla najścia Niemców; Sosnowiec i Dąbrowa roją się od Niemców, w gub. piotrkowskiej ich liczba wynosi już 10 proc., gdy w pruskiej Polsce niema ani jednego poddanego rosyjskiego! Jeżeli już rosjanie zupełnie bez Niemców żyć nie mogą, w takim razie niechże już nie puszczają do siebie na dłuższy pobyt oficerów i podoficerów pruskich. Niech władze rosyjskie ograniczą ich pobyt do dni kilku i wymagają od konsulów poświadczenia na paszportach nie tylko o wyznaniu przybysza, jak to się teraz robi w celu uniknięcia napaści Żydów, ale także i o wojskowej kwalifikacji, aby zamknąć wstęp informatorom*.

Autor dalej z ust znajomych sobie Polaków zapisuje, że lud w Poznaniu pragnie przybycia wojsk rosyjskich, że po ich wkroczeniu będzie przeszkadzał mobilizacji wojsk niemieckich, burząc koleje żelazne i mosty, że natychmiast robotnicy polscy opanują kopalnie węgla i nie dostarczą opału niemieckim linjom kolejowym, że do wojska rosyjskiego Polacy natychmiast wstąpią zapasowi pruscy żołnierze-polacy, którzy staną się dobrowolnymi instruktorami rosyjskimi, że lud lekceważy wojskowe siły niemieckie, a natomiast żołnierzy rosyjskich uważa za wzór męstwa rycerskiego i wspaniałomyślności...

Oficerowie polscy twierdzili, że armia niemiecka nie jest tak świetna, jak się Niemcom zdaje. Żołnierzy niemieckiemu przypisali trzy zalety: korzysta on z każdej nierówności gruntu, aby się nią zasłonić, jest karny i samodzielny. Natomiast ma za dużo potrzeb i brak mu wytrwałości duchowej.

Wreszcie, co się tyczy planów niemieckich, to Niemcy mają zamiar zajęcia Królestwa Polskiego do Wisły choćby bez Warszawy, ponieważ mieszka tam już pół miliona Niemców i kraj nadaje się do dalszej kolonizacji.

Tyle p. Nestor. «Świat», przytaczając te wywody, żąda w artykule wstępnym, aby do Niemców Rzeszy w Królestwie polskim zastosowano najsurowsze represje.

Z POWODU KONWENCJI CUKROWEJ.

Pierwszorzędnej doniosłości uchwały konferencji brukselskiej w sprawach cukrowniczych wywołały, jak tego by-

ło można oczekiwać, ukazanie się urzędowego komunikatu rosyjskiego ministerstwa skarbu. Po skreśleniu przebiegu obrad i przytoczeniu treści konwencji, organ ministerstwa skarbu «Więści. Finansów» tłumaczy, dlaczego Rosja nie wzięła udziału w układach. Otóż Rosja nie zna żadnych premjów jawnych czy skrytych, normowanie bowiem produkcji, dokonywane przez rząd, ma jedynie ten sam cel, jaki wytknęła właśnie konwencja, t. j. uregulowanie produkcji cukrowniczej w ten sposób, aby skierowaną ona była przedewszystkiem dla zadowolenia wewnętrznych potrzeb danego państwa, występując na rynek powszechny w warunkach normalnej konkurencji. Prawo z r. 1895 skierowane jest właśnie ku zwiększeniu spożycia wewnętrznego przez stopniowe obniżanie ceny, wywóz zaś zagraniczny traktowany jest jako tymczasowe zło konieczne. To też stosunek tych dwóch pozycji przedstawia się w ciągu ostatniego 6-lecia w sposób następujący:

Lata	Spożycie wewnętrzne tys. pud.	Eksport
1895/6	27,871	10,7
1896/7	30,713	7,2
1897/8	32,782	8,7
1898/9	35,126	5,9
1899/1900	37,004	11,5
1900/1	40,114	9,7

Wówczas zatem, kiedy spożycie wzrosło w ciągu tego okresu prawie o półtora raza, eksport zagraniczny nawet się zmniejszył. Jeżeli dalej przyjąć pod uwagę, że wywóz cukru na rynki zachodnio-europejskie daje producentom stratę—od r. 1895 strata ta obliczona została na 32 milj. rb.—to to samo wskazuje już, jakiej drogi trzymać się powinien rosyjski przemysł cukrowniczy, pragnąc zachować swoją niezależność od uchwał konwencji państw zachodnio-europejskich.

Za cel główny uważać zatem należy zwiększenie w szybszym niż dotąd tempie spożycia wewnętrznego, co jest zupełnie możliwe ze względu chociażby na to, że roczne spożycie cukru na jednostkę ludności równa się w Rosji 11 funtom, wówczas gdy np. w Anglii przewyższa 88 funtów. Osiągnąć to można przez zastosowanie szeregu środków, wśród których pierwsze miejsce zajmuje dalsze i bardziej znaczne obniżenie ceny cukru. Do tego zaś celu zmierzają: postępy techniki cukrowniczej, zmniejszające koszt produkcji, uregulowanie stosunku pomiędzy rafineriami cukru a producentami mączki (kryształ), kooperacyjna działalność tych ostatnich, utworzenie wspólnego kredytu dla cukrowników, wreszcie organizacja bezpośredniej detalicznej sprzedaży cukru przez fabrykantów.

G.

ECHA ZACHODNIE.

BERLIN, 16 marca.

[Z parlamentu. Dr. Komierowski *contra* Sattler. P. Kraetke w opalach. P. Dziembowski i Koło polskie. Solidarność członków Koła].

△ Przewidując bliski termin wielkonočných feryj, a może również pragnąc powetować nie wyzyskane dawniej oka-

zje, posłowie polscy wystąpili w ubiegłym tygodniu tak w sejmie pruskim, jak w sejmie Rzeszy, ze zdwojoną energią. Złazcza w sejmie Rzeszy! Dr. Roman Komierowski rozprawił się tam z p. Sattlerem, a uczynił to z takim animuszem i werwą, że wszystkich zadziwił. Poważny i rozważny agrariusz stracił tym razem zwykłą flegmę, niezbędną przy roztrząsaniu kwestyj ekonomiczno-społecznych, i okazał się polemistą ciętym i nienustraszoną. P. Sattler, tego zdolnego i wytrawnego potwara, nie było owego dnia w parlamencie. Zastąpił go p. Hasse, groźąc d-rowi Komierowskiemu, że «p. Sattler mu odpowie», że nie puści posłowi polskiemu płazem obrazy, jaką mu wyrządził, zwąc jego elukubrację o stosunkach galicyjskich «babskimi plotkami». «Gotów jestem stanąć zawsze oko w oko z p. Sattlerem—odparł dr. Komierowski—czy tu, czy na innym gruncie!»

Charakterystyczny to objaw, iż obecnie najspokojniejsi nawet mężowie, ci, którym, podług wyrażenia Kochanowskiego, «wierzech głowy w białego ptaka się mienia», zaprzestają już bezcelowych uprzejmości i prawdę wypowiadają bez ogródek. Osobiście wszakże nie mogą się zgodzić na nazwanie oszczerstw p. Sattlera «plotkami babskimi». Dr. Komierowski bezwiednie obraził piękną, bo nawet «panie Angot» wstydziłyby się powtarzać takich kłamstw, do jakich nawykł p. Sattler.

Dopiero w czwartek czyni godny narodowy liberał odpowiedział d-rowi Komierowskiemu. Krasomówczy talent nie dopisał atoli tym razem p. Sattlerowi: obrona jego była niesłychanie słaba. Zapewnił obecnych, iż nie cofa swoich oskarżeń przeciw społeczności galicyjskiej, i że w najbliższej przyszłości przedstawi odpowiednie argumenty. Mamy tedy obietnicę nowych rozpraw o stosunkach wewnętrznych jednej z prowincji państwa austriackiego w parlamencie niemieckim. Przypomnijmy sobie oburzenie, jakie wywołała w sferach pruskich szowinistów znana deklaracja ks. Czartoryskiego w sejmie galicyjskim, dotycząca zajęć wrzesińskich. — Jakim prawem śmiały oni krytykować postępowanie władz pruskich!—wołali z gniewem junkrowie. Gdy p. Sattler zaczyna w sejmie Rzeszy niemieckiej obrzucać błotem administrację Galicji, która należy do sprzymierzonego mocarstwa — tymże samym junkrom wydaje się to całkiem naturalnem.

W największe jednak opaly ze strony posłów polskich dostał się minister poczty, p. Kraetke, który, jak mówią, jest pochodzenia szlachecko-polskiego i nazywał się kiedyś: Kretke. Z tej samej rodziny pochodził ks. kanonik Kretke w Pelplinie. P. Kraetke pragnie zatrzeć te wspomnienia ślepa uległością względem hakatyizmu. Pod jego rządami zdarzyły się wypadki szczególne: urzędnicy pocztowi z dnia na dzień zapomnieli o istnieniu takich miast, jak Gniezno lub Poznań; znają tylko *Gnesen* i *Posen*. Poczeli również objawiać niezwykłą ciekawość wobec listów, adresowanych po polsku, mimo że prawodawstwo niemieckie w zasadzie nader surowo przestrzega tajemnicy pocztowej.

Ta gospodarka hakatyizmu w administracji pocztowej dała sposobność posłom

Dziembowskiemu i Głębockiemu do doświadczenia napiętnowania środków, których chwytą się heca przeciwpolska. Pierwszy zwłaszcza umiał tak wyszydzić rozporządzenia p. ministra, że w audytorjum budził ciągle wybuchy śmiechu, które niezbyt przyjemnie musiały się objąć o delikatne uszy p. Kraetkego. P. Dziembowski w ciągu jednego dnia po trzy razy głos zabierał, a przemówienia jego grzmiały, jak pobudki do ataku. Wojownicze to usposobienie i rycerski animusz nie dziwiły nikogo. Prędzej czy później musiało nastąpić wyładowanie zapasu tej ochoty zapaśniczej, którą p. Dziembowski przywodził z sobą do Berlina. Pięknie się stało, że owa folga ognistemu temperamentowi miała ujście w parlamencie, w obronie pogwałconych praw ludności polskiej, niż gdyby miała była zakłócić spokojny żywot Koła polskiego.

A zachodziła w tej mierze obawa. Po znanej uchwale Koła i odpowiedzi p. Dz., zanosilo się na burzę. Zwołane w tej sprawie posiedzenie Koła budziło powszechną ciekawość i obawy. Lękano się, czy p. Dz. nie złoży mandatu; wszyscy pojmowali, że ubytek takiego mówcy — najlepszego dziś może w Kole — byłby stratą niepowetowaną. Na szczęście obawy te okazały się płonnymi. Przełożenie i pośrednictwo ks. Ferdynanda Radziwiłła oraz pp. Cegielskiego i Komierowskiego uspokoiły podniecone umysły. P. Dziembowski zdecydował się na małą Kausę: przyznał, że «przedstawienie w sprawach przezeń poruszonych nie było dostatecznie obiektywnem i dokładnem». Koło oświadczyło znowu, że «nie miało zamiaru podniesienia zarzutu niewiarogodności wobec jego osoby». Z obu stron dokonano ustępstw i rzuceno złoty most zgody, po którym pojednani przeciwnicy—pp. Dziembowski i Głębocki—poszli spolem szarżować p. Kraetkego.

Oświadczenie p. Dziembowskiego jeszcze z innego względu dowodzi, że między nim a Kołem zapanowała zupełna solidarność: utrzymywane jest w tym samym tonie, co i uchwała Koła—w tym tajemniczym tonie, którym przemawiała ongi wieszczka helleńska. W ten sposób szeroki ogół, który śledził z żywym zajęciem przebieg sprawy i żywił nadzieję, że dowie się w końcu o co właściwie w tych wszystkich uchwałach i oświadczeniach chodzi — nie dowiedział się niczego.

Burza w szklance wody! Przebieg jej nie był ostry i minęła prędko. Poruszoną w niej została jednak kwestja zasadnicza: niemałej wagi, kwestja: jak daleko sięga obowiązek solidarności wśród posłów polskich? Koło polskie stanowi stronnictwo jednolite tylko pod względem narodowym, pod względem obrony praw narodowych. Natomiast między członkami Koła panują znaczne różnice na polu przekonań społecznych i ekonomicznych. Czy solidarność ma się ograniczać tylko do dyscypliny w obrębie parlamentu, *intra muros*, czy też obowiązuje i po za parlamentem, *extra muros*? Słyszałem opinie mężów kompetentnych, broniące jednej i drugiej zasady. Kwestja jest interesująca i poważna i zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Gordon.

Z NAD WARTY, 15 marca.

[Zjazd w Poznaniu. Walne zebrania. Z teatru].

△ Jest kilka dni w roku, w których Poznań bywa wytrącony ze spokojnej i jednostajnej normy życia prowincjonalnego. Zachodzi to zazwyczaj w epoce walnych zebrań różnych towarzystw, które wywołują liczniejszy zjazd ziemian. W ubiegły poniedziałek niemal jednocześnie odbywały się 4 takie zgromadzenia. Wczesnym rankiem rozpoczęły się narady komitetu, organizującego wiec katolicki; walne zebrania delegatów kółek rolniczo-włościańskich, członków Tow. czytelników i członków Tow. pomocy naukowej im. Marcinkowskiego wypełniły resztę dnia, który dla wielu obywateli wielkopolskich był istotnie pracowitym. Restauracja Bazarowa wrzała podnieconym ruchem i rozgwarem. Obcy przybyli zapominalsi tutaj, iż na Poznaniu niemieczyzna wycisnęła silne piętno; życie, które w tych obszernych salach kipiało, było czyste i specyficznie polskie. Tak serdecznych powitań i uścisków, głośniejszych i ożywionych rozmów, toastów, wypowiedzianych z zamaszystą swadą lub z rozrzuwaniem, które zda się płynąć z głębi duszy, nie spotyka się nigdzie indziej.

Najliczniejszym i najpoważniejszym było doroczne zgromadzenie delegatów kółek rolniczo-włościańskich, któremu przewodniczył patron, p. Józef Chłapowski. W bazarowej sali zebrań—której jednej cnoty niemieckiej można by życzyć: czystości—panował tłok niesłychany. Z górą ośmiuset delegatów wzięło udział w posiedzeniu, przeważnie włościan. Na mównicę również ukazał się włościanin, odczytując przygotowane referaty. Ponieważ w najbliższej przyszłości mam zamiar poświęcić obszerniejszy artykuł organizacji kółek rolniczo-włościańskich—tej instytucji, która stanowi słuszną dumę społeczności wielkopolskiej, i która imię swego głównego twórcy, patrona Maksymiljana Jackowskiego, złotem głoskami zapisze w dziejach kulturalnego rozwoju Księstwa—dziś ograniczę się tylko na tej suchej wzmiance. Dodam jedynie, iż między dwoma patronami: dożywotnim, p. Jackowskim i teraźniejszym czynnym, p. Chłapowskim, znalazł się miły gość z Warszawy, prof. Ignacy Baranowski, którego obecność p. Chłapowski uczcił we wstępnym zagajeniu kilku gorącymi słowy. Znakomity gość przysłuchiwał się z wytężoną uwagą rozprawom. I kiedy z mównicy lub z sali odzywały się głosy włościan, świadczące o ich dojrzałości obywatelskiej, o uświadomieniu narodowemu i o żywiołowej miłości ojczystej ziemi, w oczach siwowłosego profesora widziałem łzy...

Podczas bankietu, urządzonego przez prezesów i wice-prezesów dla sędziwego patrona Jackowskiego, przy stole biesiadnym znalazła się również siemięga chłopska. A gdy wzniesiono toast na cześć stanu włościańskiego, gospodarz wstał i odpowiedział prostymi, lecz pięknymi słowy, dziękując w imieniu swoich braci tym panom, którzy przez zakładanie kółek przyczynili się do podniesienia duchowego i ekonomicznego włościan. Pamiętne słowa wielkiego poety: «z polską szlachcią polski lud!» były często i gorąco parafrazowane. Kto widział walne lub powiatowe zebrania kółek rolniczo-włościańskich w Wielkopolsce, mo-

że odpowiedzieć słowami innego pieśniarza: — Niech żywi nie tracą nadziei!...

Walne zebranie czytelników ludowych zajął prezes Towarzystwa, ks. Zdzisław Czartoryski, poczem na przewodniczącego powołano ks. palatę d-ra Lewickiego, który ze swej strony do pióra zaprosił p. Walerego Lebińskiego, redaktora «Wielkopolanina». Dochód Towarzystwa w roku sprawozdawczym wyniósł 12,545 marek, rozchód — 12,053 marek. Na zakup książek wydatkowano 5,841 m., na oprawę—2,862 m. Majątek Tow. wynosi 10,700 mar.

Ogólne zebranie Tow. pomocy naukowej zajął prezes głównej dyrekcji, hr. Mieczysław Kwilecki, proponując na przewodniczącego p. Kazimierza Chłapowskiego. Wybór dokonany został przez akklamację. Ze sprawozdania odczytanego przez d-ra Zielewicza, sekretarza Tow., okazuje się, iż w ubiegłym roku udzielono stypendjów akademikom w kwocie 21,845 marek, technikom handlowym i t. d.—24,045 mar., gimnazjastom—21,851 mar. Dochody wynosiły ogółem 81,621 m. Jeśli wziąć pod uwagę niepomysłne warunki finansowe ostatnich czasów, oraz duże ciężary, jakie społeczność wielkopolska musi dźwigać dla walki z wrogiem—to suma ta musi wydać się bardzo okazałą i pięknie świadczyć o ofiarności ogółu.

Wieczorne przedstawienie «Wieńca grochowego» nie ściągnęło tego dnia do teatru polskiego tej liczby osób, jakiej można było się spodziewać. Po nużącej pracy większość obywateli rozjechała się przed nocą do domów, zaś włościanin wielkopolski, mimo całej swej kultury, do teatru uczęszcza niechętnie, uważając najmniejszy nawet wydatek na bilet za niepotrzebne marnotrawstwo. Namawiałem jednego z gospodarzy, by poszedł przyjrzeć się konkurom imci pana Paska. On na to:—«Kiedy, proszę pana, wszystko to nieprawda! Wani w teatrze tylko tak udają, a jeszcze chcą, żeby im płacić!...» Zbyt trudno byłoby wytłumaczyć zacnemu gospodarzowi, iż tylko w teatrze życiowym widowisko jest zawsze bezpłatne. Gotów byłby może odpowiedzieć, że skoro najlepsi artyści—ci z życia—grają komedję za darmo, to pocóż płacić za widowisko tym, co dla wywołania złudzenia potrzebują sceny, dekoracji, kostjumów i szminki?...

Natomiast wieczór Chopina, urządzonego następnego dnia przez świeżo powstałe w Poznaniu Tow. muzyczne, wypełnił salę teatru po brzegi. Na program złożyły się: wyjątek z dramatu «Ostatnie chwile Chopina», w którym, gwoli zrobienia przyjemności widzom, biedny Chopin umiera przez pół godziny—deklamacja i część muzycznawokalna. W tej ostatniej wzięli udział: wytrawna śpiewaczka—amatorka pani Czarlińska, oraz pp. Eichstaedt, młody, dobre rokujący nadzieje pianista.

Był to pierwszy publiczny objaw życia nowego Tow. muzycznego. W instytucji tej, mającej pielęgnować harmonję tonów, okazała się wszakże na wstępie nieszczególna harmonja między członkami. Wskutek tego zapowiedziany odczyt o Chopinie i wystawa sztychów i obrazów, tyjących się wielkiego muzyka, nie doszły do skutku. Głównem zadaniem Towarzystwa ma być stworzenie

orkiestry polskiej. Czyż może istnieć orkiestra—nawet polska—bez zgodności? Trzeba mieć nadzieję, iż podobne poswarki więcej się nie powtórzą.

Bart.

△ **Poznań.** W dniu 14 b. m.—jak donosi „Goniec Wielkopolski” odbyła się rewizja policyjna w poznańskim seminarjum duchownym, skutkiem której klerik Gierladyk musiał niezwłocznie, na skutek rozkazu ks. arcybiskupa, opuścić seminarjum. Równocześnie wyszedł zakaz czytania „Gonia Wielkopolskiego” pod groźbą natychmiastowego wydalenia.

△ **Gdańsk.** Do słynnego określenia hr. Bülowa, iż „polacy mogą mówić, jak im dzień urości”, „Gazeta Gdańska” daje następujący faktyczny komentarz: W Przetożynie nauczyciel niemiec nie pozwolił brać służącej swego kolegi, nauczyciela p. Wróblewskiego, wody ze swej studni i wypędził ją brutalnie z obory, ponieważ mówiła z inną dziewczyną po polsku. P. Wróblewski wniósł z tego powodu skargę. Wówczas wyszła na jaw zbrodnia dziewczyny, iż rozmawiała z inną przy studni po polsku. I na karę 30 marek skazany został... p. Wróblewski, jako winny następujących „przestępstw”: 1) że nie skarcił swej służącej za rozmowę polską, 2) że w obcowaniu z rodziną i z polakami używa mowy polskiej. Panie hrabio Bülow! Może pańskie słowa w parlamencie są tylko hamletowskimi „słowami”, które zgola nie godzą się z czynami?...

△ **Kraków.** W teatrze miejskim, przy szczerze wypełnionej sali, odbył się wieczorek ku czci Szewczeni, urządzony staraniem ruskiej młodzieży akademickiej. Słowo wstępne wygłosił prof. Hruszewski ze Lwowa. Śpiewała następnie artystka sceny lwowskiej p. Lopatyńska, gorąco oklaskiwana; oklaskami również nagrodzono chór ruskiej młodzieży. „Głos Narodu” z okazji tego wieczorku pisze: „Wszystkie bez wyjątku dzienniki ruskie stale przepełnione są niegodziwymi narzekaniami na uciśk ruskiego języka i brak tolerancji u polaków i t. p. Ciekawą jest rzeczą, w której gminie ruskiej byłby możliwy wieczorek ku czci Mickiewicza i jakby go publiczność ruska przyjęła?”.

Z MIAST I WSI.

WILNO, 3 marca.

[Kto jest właścicielem cmentarza? Reforma szosowa. Rozszerzenie sieci dróg szosowych. Stowarzyszenie krawców-rydów. Kuratorowie sanitarni].

□ W praktyce samorządu miejskiego przypadło Wilnu w udziale rozwiązać zasadnicze zagadnienie: kto jest prawnym właścicielem gruntów, oddanych przez gminy lub osoby prywatne pod cmentarz? Dla grzebania zmarłych w wileńskim szpitalu wojskowym miasto udzieliło około 10 dzies. starego lasu, przy czym ówczesna zwierzchnia nad magistratem władza, rząd gub. wileński, nakazała magistratowi uprzątać z cmentarza drzewa uschłe i powalone. Porządek ten zachowywano do niedawna, i dopiero przed czterema laty, gdy oficjalista miejski, rewizując lasy, należące do magistratu, zauważył także na cmentarzu, władze wojskowe i duchowne, zawiadujący cmentarzem, zaprotestowali przeciwko prawom miasta do używalności lasu cmentarnego, który może być wart z 50 tys. rb.; dla miasta przeto strata tej realności miałaby pewne znaczenie. W trakcie wynikłych zjazdów debatów zaszła nowa komplikacja: zarząd duchow-

ny cerkwi szpitalnej (b. kościół trynitarzski), zawiadujący cmentarzem, uważał się za właściciela lasu na mocy pewnych ustaw, naczelnik zaś szpitala wojskowego uznawał, iż las powinien być oddany w jego ręce, nie przesądzając komu szpital powierzy prawo używalności. Rada miejska, po gruntownym zbadaniu kwestji, doszła do wniosku, że legalnym właścicielem gruntu cmentarnego, a zatem i zadrzewienia na nim się znajdującego, jest ten zarząd miejski lub gmina wiejska, w których posiadaniu pozostały owe ziemie przed przeznaczeniem ich na cmentarz. Sprawa ta, którą obecnie rozpatruje gub. urząd do spraw miejskich, być może przejdzie do instancji najwyższych.

Na mocy ustawy o wzmocnionej obronie wydano przepisy, podnoszące niejako stróża kamienicznego do znaczenia funkcjonariusza policyjnego. Tym sposobem stróż nabiera teraz pewnej powagi w stosunku do gospodarza i mieszkańców kamienicy, obowiązany jest nieoddalać się z „stanowiska” dla zarobków na mieście i z tego powodu pensja jego znacznie podniesiona być musi; na to utyskują mocno właściciele domów, którzy nie raz trzymali stróżów bez pensji—za mieszkanie jedynie. Jednocześnie poruszono sprawę bardziej żywotną, zwrócono bowiem uwagę na sanitarny stan mieszkani stróżowskich. Uznano że strony sekcji sanitarnej Towarzystwa lekarskiego za rzecz pilną wyprowadzić stróżów z ich zabójczych dla zdrowia loków do mieszkań ludzkich, dostępnych dla światła i powietrza. Wypadnie w większej części kamienie stracić nieco z dochodu, zamieniając na lokal stróżowski jakiś pokój, urwany od lokatora, co razem z powiększoną pensją stanowi już może poważną różnicę w budżecie domowym. Casy zaś dla właścicieli istotnie są ciężkie, bo dużo lokali stoi pustką, a w przyszłości czekają: kanalizacja i wodociągi... Na chwilę błysła nadzieja posiadania w murach Wilna zarządu nowobudującej się drogi żel. Siedlce—Bologoje, ale pogłoski się nie sprawdziły. Jeden oddział zarządu będzie w Baranowiczach, które z zapadłej wioseczki przekształcają się na miasto ze szkołami, licznymi sklepami i t. d.

Na poprawę stosunków ekonomicznych kraju niewątpliwie wpłynie zamierzona budowa dróg szosowych: od Białego-stoku przez Wyłkowysk i Slonim do Baranowicz 224 wiorsty; od osady Rużany do Slonima 40 wiorst; od Bielska do Prużan 91 wiorst; od Grodna przez Skidel do Lidy 111 wiorst; od Skidla przez Wolkowysk i Prużany do osady Zaprudy 157 wiorst i do osady Rotnicy przez Druskieniki do Grodna 36 wiorst. Do postępów zaliczyć też należy zapowiedziane połączenie wodnej komunikacji dźwińsko-duieprrowskiej, oraz pogłębienie koryta Dźwiny.

Donosiliśmy o zawiązującym się w Wilnie stowarzyszeniu krawców męskich stowarzyszeniu; obecnie już je otwarto pod firmą „Ezra”. Zaledwie instytut kuratorów sanitarnych został zorganizowany i miasto z uczuciem ulgi uspokoiło się w przekonaniu, że wszystko zrobiono, co można dla zdrowotności publicznej, aż oto pp. kuratorowie, jeszcze nie zaczawszy swych funkcji, zmęczeni się pracą oczekiwaną i żądają już subalternów

płatnych dla wyręczania się nimi przy rewizji kamienie.

A. R. Z.

Z WOŁYNIA, w marcu.
(Kredyt rolniczy).

□ Towarzystwa rolnicze, zawiązujące się w każdym powiecie, pracujące z wielką energią, są pięknym objawem życia społecznego i rokuja nadzieję, że kraj szybko się dźwignie w kulturze i dobrobycie. Równocześnie tworzą się banki dla ułatwienia kredytu; jest to fakt nader pocieszający, bo oparty na zaufaniu do produkcyjnej działalności towarzystw rolniczych. Może na czasie będzie kilka uwag co do kredytu dla rolników, uwag, opartych na własnym i innych doświadczeniu.

Towarzystwa rolnicze wywołują zawsze pożądaną emulację, która jednakże jest czasem większym bodźcem, niż dobro własne i kraju i może być szkodliwa, bo chęć i zapal przechodzi siły i możliwość. Siłę i możliwość może rolnik powiększyć przez kredyt, ale ten kredyt musi być tani i zastosowany do warunków rolnictwa. Kupiec i przemysłowiec może się zadowolić kredytem trzymiesięcznym, bo obraca towarami szybko i obrót ten opiera się na kalkulacji; inna rzecz w rolnictwie, gdzie obrót jest co najmniej roczny, z wyjątkiem wypasu (tłaczona inwentarza) i w gospodarstwach przemysłowych. Kto dla rolnictwa nie wa kredytu, musi z wytężeniem pracować olówkiem, aby go kredyt nie gubił. Posiadamy dużo imaginacji, często jeszcze dodajemy sobie otuchy tem nieszczęsnem: „jakoś to będzie”, wierzymy w szczęście i jakąś szczególną opiekę Opatrzności, więc w braku własnej możliwości uciekamy się do kredytu, pocieszając się, że nasz obrachunek zawiśnie, ale robimy ten rachunek po kapeku, nie obliczamy wszystkich warunków, na które rolnik zawsze narażony, chociażby tylko przez anormalne zmiany powietrza—więc często próba nie wypada. Termin wypłaty trzeba prolongować, na opłacenie procentu trzeba znowu pożytyć i najczęściej mamy do czynienia... z początkiem końca.

Nam szczególnie, w wyjątkowych okolicznościach żyjącym, nie wolno w eksperymenty, na drogim kredycie oparte, się bawić. Podniesienie zrujnowanych naszych gospodarstw i polepszenie ich inwentarzy są konieczne, ale nakłady w tym kierunku mogą być robione: z oszczędzonych dochodów, ze sprzedaży lasów, z rozkolonizowania odległych gruntów i karczowisk na dzierżawę, przynajmniej dziesięcioletnie, albo też w końcu przez amortyzacyjne pożyczki hipoteczne. W tym ostatnim razie musi rolnik dobrze obliczyć, z czego zapłaci raty bankowe w pierwszych dwóch latach, zanim polepszone gospodarstwo zwiększe, na opłacenie banku wystarczającą, dawać będzie dochody, bo jak z kapitału płacić ma procenta, to, czy wcześniej czy później, zawsze przepadnie. Zapastrykując się na stosunki rolnicze na Zachód od naszych granic, nie wolno nam, bo tam, przy gęstym zaludnieniu, a silnie rozwiniętym przemysłem fabrycznym i protekcyjnych traktatach handlowych a nader niskiej stopie procentowej, rolnik jest zawsze pewnym zbytu swoich produktów z wielkim zyskiem. U na-

natomiast wszystkie surowe produkty są bez popytu, a skazane jedynie na słabą konsumpcję wewnątrz kraju, kiedy stopa procentowa jest w razach najkorzystniejszych o 100 proc. wyższa, niż na Zachodzie, a ludność przeciętna szuka tylko tanich artykułów spożywczych, chociażby były najgorszego gatunku.

Ceny naszego zboża są mało co wyższe nad kosztą produkcji, bydlę sprzedaje się niżej kosztów hodowli, więc tylko gospodarstwa, oparte na gorzelni i cukrowni, dają rzeczywisty dochód, a inne egzystują dotychczas ratunkowo, to jest spieniężają sianożęcią, wypasą, niszcząc lasy i krótkoterminowe dzierżawy włóscianom. Ziemia, tak wyzyskiwana, jest wyssana, wyczerpana, potrzebuje dużo dobrego nawozu i starannej uprawy; może tylko stopniowo przychodzić do sił i dawać plony, opłacające pracę i nakłady, a produkować paszę, potrzebną na racjonalne utrzymanie inwentarza pościągowego i produkcyjnego. Mam na myśli głównie Litwę i Wołyń, gdzie ziemia, przeważnie uboga, potrzebuje intensywniej pracy i wielkich melioracji.

W takich warunkach może być kredyt, zwłaszcza krótkoterminowy i na wysoki procent, wprost zabójczy, a pamiętać musimy, że straciwszy raz ziemię, nie możemy jej już nabyć. Gospodarz-rolnik, wykształcony zawodowo, wie dokładnie, czem majątek może podnieść i dochody znacznie powiększyć, a nawet nowe stworzyć, wiedza i energia pchają go do pracy twórczej, a zapal zapędza go często dalej po nad możliwość, ludzi się, że tylko jeszcze pół roku, rok, a będzie miał rezultaty swej pracy mozolnej; te rezultaty będą świetne, muszą być, ale na wykończenie zabrakło funduszu, trzeba więc bądź co bądź pożytyć, a odda się z pewnością ze zbiorów następnych. Tymczasem klęska przez posuchę, albo ulewę lub też anormalną zimę, niewyższe wszelkie obliczenia. Staną w drodze uciążliwej, a tak dobrze obmyślanej pracy, to cofanie się wstecz, trzeba więc znowu użyć kredytu, i to już trudniejszego, a więc droższego; rok lepszy, ale nie może już pokryć dwurazowego kredytu i zagraża ruina, której chcąc uniknąć, rujnuje się podniesione już gospodarstwo na opłacenie wysokich procentów. Deficyt z każdym rokiem większy, w końcu wywłaszczenie, a owoc ciężkiej pracy i upokorzeń moralnych zbiera nabywca majątku. Smutne przykłady tego rodzaju widziałem w Poznańskim, a tam pod każdym względem korzystniejsze warunki gospodarcze, niż u nas i zagrożony majątek może kupić rodzina.

Daleki jestem od wstrzymywania moich ziomków w meliorowaniu majątków i polepszaniu gospodarstw, bo to przecież jedyny nasz ratunek, ale zwracam uwagę, że kredyt dla rolnika, to brzytwa, potrzebna dla ochłodźstwa, ale może być i narzędziem śmierci—więc rozważnie, bez iluzji, obliczać ściśle, zanim się na kredyt zdecydujemy.

Największym dobrodziejstwem, najsukcesowniej pomocą dla naszych stosunków rolniczych byłby bank melioracyjny, któryby udzielał pożyczek jedynie na osuszanie zatopionych łąk i pól, na wykupno nieszczęsnym młynów wodnych, które np. na Litwie przynoszą właścicielom zaledwie kilkaset rubli, a zatapiają tysiące morgów łąk i pól. Takie melioracje

przechodzą możność przeciętnych rolników. Bank może tworzyć spółki z sobą graniczących rolników i dawać fundusze po przystępnym procencie włącznie z amortyzacją wyłożonego kapitału. Czy takie banki powstaną przez finanse państwowe, czy przez akcje samych rolników, to już rzecz podrzędna, najważniejsza, aby bank był zabezpieczony dostatecznie przed stratami, a rolnicy nie byli wyzyskiwani. Zagranicą oddają takie banki wielkie usługi rolnikom i kulturze krajowej.

J. K.

□ **Wilno.** Korespondent „Now. Wr.” skarży się na to, że jubileusz Gogola w Wilnie przeszedł bez żadnych uroczystości, jak gdyby Wilno nie znało lub nie ceniło twórcy „Duszy martwych”. Jubileusz obchodzony był tylko w szkołach publicznych.—D. 3 (16) marca—według doniesienia „Now. Wr.”—na członków honorowych wileńskiego Tow. rolniczego wybrani zostali: dowódca wojskami okręgu gen. Hureżyn, gubernator wileński gen. von Wahl, kurator okręgu naukowego Popow, prezydent miasta Berthold i zarządzający dochodami akcyzy Djanin. Do zarządu, na miejsce ustępujących członków, weszli: ks. Golcyn i zarządzający oddziałem Banku państwowego, Pokrowski.

□ **Z Szawel** piszą do nas: Uzupełniając sprawozdanie z walnego zgromadzenia Tow. mleczarskiego „Biruta”, które się odbyło w Szawelach d. 18 lutego, zawiadamiamy zainteresowanych niem czytelników, że Towarzystwo składa się obecnie z 42 członków i że zarząd stanowi pięciu członków, a mianowicie pp.: hr. Włodz. Zubow, bar. Eng. von Römer, Józef Pluszczewski, Bron. Gruźewski i Edw. Swiechowski, oraz kandydaci: pp. Kar. Kościółkowski, Winc. Parczewski, Fr. Kończak i Czesław Korybut-Daszkiewicz, po jednym członku z każdego powiatu gub. kowieńskiej. Na dyrektora zarządu wybrano bar. von Römęra, a na pomocnika p. Pluszczewskiego. Ustanowiono termin dwumiesięczny do opłaty wpisowego. Na udział w tegorocznej wystawie rolniczej w Wilnie walne zgromadzenie wyasygnowało 300 rb. Zgromadzenie zleciło też zarządowi Tow. wypracować program działalności Towarzystwa. W końcu wyrażono podziękowanie dawnym członkom zarządu kółka „Biruty” oraz p. Kaz. Janczewskiemu za pracę przy redagowaniu ustawy Towarzystwa. Zarząd Tow., według ustawy, ma rezydować w Kielmach, walne zaś zgromadzenie może być zwoływane, gdzie łatwiej się zebrać. Każdy początek jest połączony z trudnościami, lecz spodziewać się należy, że Towarzystwo mleczarskie „Biruta” rozwinię działalność korzystną dla społeczeństwa. *Gosdausa.*

□ **Z Mińska** piszą do nas: W Nr. 51 „Kraju” z r. z., w korespondencji z Wilna powiedziano, że Towarzystwo dobroczynności w Mińsku założyło szkołę, mającą na celu kształcenie bon, nianiek, szwaczek, kucharek. Przy szkole miały powstać wykłady ogrodnictwa, sadownictwa i rolnictwa, na rzecz Towarzystwa zebrano 4 tys. rb. i t. d. Wszystkie te szczegóły grzeszą przesadą. Towarzystwo ogranicza się do rozdawania pomocy pieniężnej i posyłania biednych do osób litosliwych. Kapitał, o którym mowa w korespondencji, nie istnieje, i wynosi tylko 200 rb., z których 150 ofiarował hr. J. Czapski. Dobrzeby było zaprowadzić tu naukę rzemiosł, ale te, o których mowa w korespondencji, nie bardzo nam się nadają. Wedle korespondenta, przy szkole miała być założona pralnia, tymczasem mamy prawo trzymać dziewczęta do lat 15, z takimi zaś robotnicami nie wiele chyba zrobić można. Szwalni nie założono, tylko starsze dziewczynki zajmują się szyciem bielizny i ubrania, dla siebie, dla chłopców i dla szpitala. Prawdopodobnie

będzie wprowadzona nauka przedzenia i tkactwa, lecz tylko środkami niejako domowymi. Może kiedyś powstaną z tego warsztaty, ale dzisiaj przesądzać o tem trudno. O nauczaniu ogrodnictwa i sadownictwa trudno myśleć na miejskim bruku, lecz w lecie jedna z pań-opiekunek zabiera do siebie na wieś około 40 biednych dzieci, które pomagają ogrodnikowi, lecz to nie jest nauka systematyczna. Naturalnie, pragnąłby należało, żeby słowa korespondenta sprawdziły się w całej rozciągłości, ale do tego potrzeba zjednoczonej i solidarnej pracy i ofiarności wielu osób, czego właśnie nam brakuje. W.

□ **Z Bobrujska** piszą do nas: Oczekujemy otwarcia pożytecznej instytucji, mianowicie lecznicy okulistycznej, którą zakłada osiadły tutaj od lat kilku lekarz, dr. Haliński. Lecznicza posiadać będzie sześć łóżek dla przyjezdnych chorych, z których dwa bezpłatne. Jak bardzo potrzebna jest taka lecznica, świadczy najlepiej statystyka chorych, korzystających z porad bezpłatnych. Przybywający z dalekich stron chorzy, zmuszeni prowadzić dłuższą kurację, z braku środków materialnych stają w brudnych zajazdach żydowskich, w których pobyt nie może wywarzyć dodatniego wpływu na przebieg choroby, i oczywiście przedłuża ją do nieskończoności.—Podobno zamianowano już do naszej parafji księdza, którego przeszedł dziesięć tysięcy parafjan dawno z upragnieniem oczekuje, łudząc się nadzieją, że stan obecny nie może trwać długo. W tym wypadku nadzieja oddaje wielkie usługi, stanowiąc jedyną dźwignię podniesienia ducha; ona teraz też, chociaż zdaje się, iż pogłoska owa nie jest zupełnie wiarogodną, podtrzymuje wytrwałość naszego oczekiwan... Oby nareszcie pragnienia nasze się spotniały, bo dzieje nam się ogromna krzywda, o której naprawieniu należy corychlej pomyśleć. *Z. P.*

□ **Moskwa.** Tutejsze Tow. słowiańskie—jak donosi „Now. Wr.”—pragnąc ułatwić wywóz książek rosyjskich do krajów słowiańskich, stara się w sferach rządowych o zawarcie specjalnych konwencji między Rosją a Austro-Węgrami, Rumunją, Bułgarią i Serbią. Przedmiotem konwencji byłoby obniżenie taryfy na przewóz książek. Jeżeli ta wiadomość okazała się prawdziwą, w takim razie Austria zapewne zażądałaby zniesienia cła na książki polskie, drukowane po za granicami Rosji.

□ **Z Kazania** piszą do nas: Odbył się tutaj teatr amatorski w języku polskim na rzecz miejscowego katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Amatorowie z werwą odegrali komedje: „Consilium facitatis”, „Złoty cieciek” i „O Józie”. Po przedstawieniu tańczono z ożywieniem, gdyż towarzystwo polskie prawie w komplecie stawiło się na wieczór. Czysty zysk, po odciążeniu niezbędnych wydatków, wyniósł 300 rb., sumę, jak na warunki miejscowe, bardzo pokaźną. *J. K. S.*

□ **Odesa.** P. o. naczelnika miasta Odesy w miejscowych „Wiedom. Gradonaczalstwa” ogłosił, co następuje: „D. 23 lutego o godz. 1 po południu niewielka grupa osób na rogu ul. Jekateryńskiej i Derybasowskiej urządziła w celu demonstracji zbiegowisko, szybko przez policję rozproszone. Zatrzymane przytem osoby—które przekroczyły wydane na zasadzie ustawy o obronie wzmocnionej i mające moc w granicach, podległych władzy naczelnika miasta, przepisy z d. 21 stycznia r. 1884, wzbraniające zbiegowisk przy zaburzeniach ulicznych—zostały skazane na areszt policyjny 3-miesięczny (32 osoby), 2-miesięczny (14 osób) i miesięczny (7 osób), niezależnie od odpowiedzialności, do której osoby te mogą być pociągnięte na zasadzie postanowień ogólnych”.

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z NAD WISŁY, 17 marca.

[Powszechna wystawa krajowa. O kasie pogrzebowej. S. p. Władysław Andrychiewicz.]

+ Projekt wystawy krajowej zmartwychwstał. A zmartwychwstał w tej samej formie, w jakiej, lat temu dwa, do grobu się położył: w formie projektu, o którym się mówi trochę w prasie. Historia śmierci jego jest naprawdę pouczającą i w pewnej mierze nawet typową, jako wyraz stosunku prasy do życia. Projekt wystawy krajowej powszechnej rzucony został przez jeden z warszawskich dzienników („Gazetę Polską”); kilkudziesięciu przemysłowców, zapytanych o zdanie, oświadczyło się za wystawą; pisma niemal jednomyślnie wypowiedziały się również za wystawą; mianowicie: osiemnaście, w tej liczbie „Kraj” — za, dwa — przeciwko, jedno — za odłożeniem projektu do pomyślniejszych czasów; wreszcie rada warszawskiego Muzeum przemysłowego, na specjalnym zebraniu uchwaliła dwa ważne wnioski, mianowicie, że wystawa powszechna krajowa jest potrzebna, i że Towarzystwo jest właściwym organem do podjęcia tej roboty.

Zdawało się po tem wszystkim, że los wystawy został zapewniony. Tymczasem właśnie na tem się wszystko skończyło. Fala czasu przepłynęła przez projekt, o który jakoś nikt się na serio nie zatroszczył i projekt skończył cichutko, jak westchnienie rozżalone we mgle powietrznej, skończył bez bólu, skurczów i jęków — tak dyskretnie, że nie wiadomo nawet kiedy. Feljetonista, szukający błyskotliwych porównań, mógłby zastąpić całą tę historję ze stanem fałszywej ciężarności, będącej tylko grą nerwów; jeden z takich wypadków był niedawno tyle głośnym...

Jednak korzyść i potrzeba powszechnej wystawy krajowej została bardzo dobitnie zadokumentowana. Czy projekt był nie na czasie? Sprawa krajowego przemysłu zawsze jest aktualna, a od ostatniej wystawy krajowej upłynęło przecież lat tak wiele. Czemuż przypisać niepowodzenie? Mnie się zdaje, że poprostu przypadkowi. Projekt on, na podobieństwo biblijnych ziaren, padł i na opokę, gdzie usechł, i na drogę, gdzie go ptacy niebiescy rozdziobali, a tylko nie trafił jakoś na żyzny grunt — indywidualnej energii i dobrej woli. Wszystkie wielkie i powszechne dzieła, gdyby się dobrze przypatrzyć procesowi ich powstania w fazach początkowych, zawdzięczają swoje istnienie zazwyczaj jednemu, w każdym razie bardzo małemu gronu ludzi, którzy daną sprawę „wzięli do serca”. Projekt powszechnej wystawy krajowej upadł właśnie dlatego, że „nikt go nie wziął do serca”. Gdyby się znalazł chociaż jeden człowiek wytrwały, albo choćby uparty, któryby począł się ruszać, przypominać, z pomyślną dyspozycją jednostek i instytucji korzystać, byłby on, jak to pierwsze ziarno w *boule de neige*, które tocząc się, zamienia się w olbrzymią bryłę. Czyby nim kierowała dobra wola, czy ambicja, czy jakieś wyrachowanie osobiste, czy też możliwe kombinacje psychologiczne tych elementów — dla sprawy jest to rzecz obojętna. Trzeba było, aby ktoś — nie do dziennikarza i

nie na posiedzeniu Towarzystwa do pobierania handlu i przemysłu, ale w głębi swojego ja powiedział: „musi być wystawa”. Wystawy nie było, ponieważ nikt sobie tak tego nie powiedział.

Sprawa ta wróciła na porządek dzienny. Może teraz będzie szczęśliwszą i znajdzie męża czynu i woli *prawdziwego inicjatora*.

W oczekiwaniu, póki uczeni bakterjologowie, zajęci obecnie, jak wiadomo, studjami nad bakcyliusem starości, rozpoczną polowanie na bakcyliusa śmierci, przeczorni ludzie zapisują się do *kasy pogrzebowej*. Instytucja taka istnieje u nas i zakres jej działalności obejmuje powiat warszawski. To ograniczenie nie tylko nie wydaje się członkom uciążliwym, ale nawet bardzo pożądanym i na pierwszym ogólnym zebraniu, jakie się odbyło wczoraj, były projekty utworzenia w samem Towarzystwie grup po 500 osób, funkcjonujących niejako oddzielnie. „W mniejszej grupie wypadki śmierci będą rzadsze, a więc i składki częstsze”. Ale ten projekt się nie utrzymał. „Składki będą mniej częste, ale za to większe” — odpowiedziała opozycja — i zwyciężyła przy głosowaniu. W tym duchu zmienionym ma być odpowiedni paragraf ustawy, na co jednak potrzebnym będzie wyjednanie pozwolenia p. ministra. Rozwój tego skromnego stowarzyszenia jest poważnym znakiem kulturalnego rozwoju pewnych średnich warstw naszego społeczeństwa; śmierć ojca rodziny nie mającej majątku, to wielka katastrofa, na którą jednak trzeba się przygotować za życia. Tylko ludzie lekkomyślni o tem nie myślą. Kasa pogrzebowa, która pozostaje wdowie wręcza fundusz „na pierwsze potrzeby” propaguje w społeczeństwie cnotę przeczności i przewidywania. Pożądaną byłoby rzeczą utworzenie kasy pogrzebowej w każdym bez wyjątku powiecie, co wobec istnienia gotowej już ustawy nie będzie przedstawiać żadnej poważniejszej trudności. Byłe się tylko w każdym powiecie znalazł człowiek dobrej woli, któryby starania podjął. *Memento mori!* — wy co macie obowiązki rodzinne.

Umarł dyrektor jednego polskiego Towarzystwa ubezpieczeń na życie w Warszawie, „Przeźrości”, Władysław Andrychiewicz. Był to człowiek wielkiej prawości i uczony prawnik. Niektóre dzieła z zakresu prawa handlowego, jak np. „O firmie”, bardzo są cenione przez specjalistów. Przez czas pewien sędzia handlowy, parokrotnie stał w obronie instytucji sądu handlowego, mającego przeciwników w pewnych sferach wyższych sądowych. Artykuły jego w tej sprawie, pełne powagi i argumentów, drukowane w naszym „Kraju”, zapewne nie wyszły z pamięci czytelników. Poświęciwszy się prowadzeniu „Przeźrości”, nie dorównał on może innym kierownikom towarzystw konkurencyjnych w przedsiębiorczości i ruchliwości, umiał wszakże instytucję tę oprzeć na poważnej podstawie finansowej i wzbudzić dla niej szacunek i zaufanie.

Zastępca.

WARSZAWA, 16 marca.

[Odczyty w Tow. higienicznem. Kolonja zdrowotna dla słabowitych dzieci. Sklepiki spożywcze. Ubiory ludowe. Jubileusz Marcela Trapszy. Benefis Chodakowskiego. Opera polska. Sada Yaccol.]

+ Ożywiły się zimowe posiedzenia

w rozmaitych wydziałach Tow. higienicznego; co tydzień jakiś nowy i zajmujący temat daje powód do rozpraw, a prelegenci z fachową znajomością przedmiotu wygłaszają wyniki swoich badań i spostrzeżeń, mających na celu poprawę warunków zdrowotnych jednostki i ogółu. Z ważniejszych i bardziej żywotnych kwestyj godzi się zanotować odczyt dr. Henryka Dobrzyckiego o kolonji dla słabowitych dzieci, zakładanej w Brzegach nad Świdrem pod Warszawą, w b. majetności Andriollego. Potrzeba takiej ośady dla słabowitych (nie chorych) dzieciaków dawała się od dawna odczuwać — obecnie z inicjatywy kilku lekarzy, a między nimi dr. Kosinińskiego i Przybrowskiego, sprawa założenia i urzędzenia takiej kolonji weszła na drogę praktycznego urzeczywistnienia.

Dzieci rodziców nieco zamożniejszych, którzy mogą opłacić kurację i pobyt w zakładzie podmiejskim, będą mogły odzyskiwać zdrowie i siły wśród lasów otwoczkich, na świeżem powietrzu, pod troskliwą opieką lekarską, nie przerywając nauki, nie rozłączając się ze swymi najbliższymi. Kto miał w domu chore dziecko i pragnął wyliczyć je radykalnie, ten wie, ile smutku i kłopotów przysparzał mu brak odpowiednich warunków i środków do poprawienia i wzmocnienia wiatłego organizmu swojej pociechy, i po przebytej lub w początkach rozwijającej się choroby, wywozić zagranicę, szukać pomieszczenia odpowiedniego pod każdym względem na wsi, troskać się o opiekę umiętną a odpowiednią, bywało i zbyt kosztownem, i często zupełnie niemożliwem. Otóż powstanie takiej kolonji zdrowotnej tuż pod Warszawą, ze specjalnem urządzeniem dla nieletnich pacjentów, w korzystnych warunkach klimatycznych i dyjetetycznych, zaradzi temu brakowi i niejednej matce oszczędzi wylanych łez a ojcu strapienia, że nie miał gdzie ratować w porę swojego dziecka.

Następne dwa tematy, godne uwagi, opracował nader sumiennie a niezwykle zajmująco dr. Tchórzniński i w dwóch odczytach, dzień po dniu, nakreślił *Isidre* Hogartowski obraz naszych „sklepików spożywczych”, a następnie wykazywał szkody higieniczne i moralne z powodu rugowania przez miejską tandetę tradycyjnych „ubiorów ludowych” wśród włościan.

Nieczystość, posunięta aż do niechlujstwa, w owych składzikach pieczywa, masła, mleka, wiktuałów i przedmiotów codziennego użytku, sąsiedztwo tylko przez ścianę a często przez przepierzenia z przywatem mieszkaniem sklepikarzy, wpływa na zaniedbanie kardynalnych warunków higienicznych i sanitarnych, przyczynia się do zaszczepiania i rozszerzania wielu chorób zakaźnych. Prelegent w interesie zdrowia i dobra publicznego domagał się, aby na początek przynajmniej władze nakazały odseparowanie sklepików od mieszkań prywatnych, jak to się dzieje z aptekami!

Co do ubiorów ludowych, dr. Tchórzniński wykazywał, że po za względami piękną, estetyki i tradycji, odpowiadają one najzupełniej wskazówkom i wymaganiom higieny, gdyż urobiły się z biegiem czasu odpowiednio do warunków klimatu, pracy i uzdolnienia ludu, jako strój wygodny, trwały i zdrowy, a

zwłaszcza praktyczny i tańszy od onych kubraków, spencerów, „palitów” i surdutów, przerabianych z miejskiej tandety, niedezyntfekowanej, galgalskiej, lichej pod każdym względem. Nadto, co gorzej, strój taki, niby cywilizowany, rozbudza w skromnym stanie włościańskim zarodek demoralizacji, bo zaszczepia pokusę do strojów, a w następstwie do życia anormalnego.

Oba tematy, poruszone przez znanego higienistę, zasługują na głębszą rozważkę i poparcie starań jego w celu ukrócenia złego.

W teatrze ludowym, zeszłej niedzieli, na przedstawieniu popołudniowem odbyła się w skromnej, ale ujmującej formie owacja na uczczenie jubileuszu p. Marcela Trapszy, artysty i od półtora roku reżysera tej sceny. Lat dwadzieścia pięć przepracował w usługach dla sztuki młody jeszcze jubilat, obdarzony dziecinnym talentem, aktor z bardzo szerokim repertuarem, w którym umieścił się role od płytkiej farsy do wysokiej komedji i dramatu.

Syn byłego dyrektora trupy prowincjonalnej i kierownika szkoły dramatycznej, s. p. Anastazego Trapszy, bardzo wcześnie, wprost z ławy szkolnej wyrwał się na scenę; ciągnął go na deski talent i zamiłowanie, podobnie jak resztę jego rodzeństwa, brata nieboszczyka, wybornego niegdyś amanta i dwie siostry, zajmujące dziś wybitne stanowisko w warszawskim teatrze Rozmaitości, panie: Irenę Trapszo-Chodowiecką i Teklę Trapszo-Krywultową. Koczujący żywot polskiego aktora, któremu los niedozwolił, pomimo wszelkich danych, dociągnąć aż do wielkiego ołtarza Melpomey w Warszawie, Lwowie, Krakowie lub Poznaniu — był i jego udziałem; musiał wędrować po prowincji, grywać gdzie się zdarzyło, odbywać dalekie podróże po Cesarstwie dla miłości sztuki i dla kawałka chleba. W tych wszystkich opalach, w złej i dobrej doli jednak uratował naturę artystyczną i talent niezamierowany, wybił się i wyróżnił, jako jeden z niewielu, którzy na scenach polskich zdobyli sobie dobrą firmę.

W teatrze ludowym należy też Trapszo dzisiaj do sił pierwszorzędnych, jako artysta i jako pracowity, pożyteczny reżyser.

W dniu jubileuszu obdarzono go wienkami od komisji teatralnej, od kolegów i publiczności, złożono cenne podarki i oklaskiwano gorąco w roli Janka z „Chaty za wsią”, tak, jak to wrażliwa i wdzięczna publiczność tej widowni oklaskiwać umie swych faworytów.

W teatrze Wielkim podobną owację urządzono na benefisowym poranku p. Chodakowskiemu tego samego dnia; śpiewano „Hrabinę” z p. Kruszelnicą w roli tytułowej. Benefisant, jako barytonista, w rolach kontuszkowych szczególnie cieszył się znacznym powodzeniem, jako reżyser przez ostatnich lat dziesięć wystawił umiejętnie i starannie wiele oper włoskich i polskich, pomiędzy którymi „Widma” Moniuszki, wznowienie „Haliki” w nowej inscenizacji, „Mazepy” Münchheimera, „Verbum nobile” i inne zyskały mu uznanie.

Obecnie miejsce jego zajął p. Florjański, o którym wspominałem w ostatnim liście i z dyr. Młynarskim zabrał się rzeźwo do pracy.

Nie szczędząc gorzkich słów prawdy publiczności, która nie tak, jakby się po niej spodziewać należało popiera operę polską, muszę z kolei *verba veritatis* powiedzieć także i wykonawcom oraz kierownikom nowej reformy. Przywrócenie polskiego języka w operach, śpiewanych w ostatnich czasach po włosku, powinno zobowiązywać najpierw samych artystów, a zatem mamy prawo wymagać od nich, by pracowali gorliwie nad dykcją, starali się wymawiać tekst zrozumiale i poprawnie; następnie od reżyserji mamy prawo spodziewać się, że nie tylko ograne i osłuchane opery pozwoili publiczności podziwiać po raz setny w tekście zrozumiałym, ale że tę inowację zastosuje także do repertuaru bardziej zajmującego, bo co prawda, trudno się dziwić, gdy w nieszczerzeliwej obsadzie śpiewane dotąd po polsku opery, które słyszało się wykonywane przez znakomitych gości na scenie warszawskiej, nie będą zapełniały sali. Dla samego języka najgorzalszy meloman nie pójdzie słuchać po raz dziesiąty tego samego utworu, który zna już dobrze na pamięć, a pamięta niekiedy w świetnej obsadzie; trzeba go zaciękać i zachęcić jeszcze i nowością, i prawdziwie artystycznym wykonaniem, i wystawą odpowiednią.

Wszystkie te względy, mamy nadzieję, rozważą dobrze i zechcą mieć na pamięci nowi kierownicy opery warszawskiej w osobach pp. Młynarskiego i Florjańskiego.

O występach japońskiej trupy ze słynną parą małżonków na czele, panią Sadą Yacco i panem Kawakami, nie chcę się rozpisywać, gdyż podczas pobytu ich w Petersburgu znajdziecie sposobność ocenienia naocznie tych egzotycznych popisów talentu i literatury azjatyckiej.

U nas trzy przedstawienia japończyków zapełniły teatr Letni, a impresarjowie wywołali około 8 tys. rb. gotówki. Gdyby nie ceny zanażo wyśrubowane i przesadna reklama, wrażenie i krytyczne sądy o „japońskiej Duse” byłyby o wiele korzystniejsze; zawsze to było coś niepospolitego w swoim rodzaju i godnego poznania.

Gama.

+ Zmarł prezes warszawskiej Izby sądowej, W. A. Aristow, na paraliż serca.

+ Praga ma pozyskać trzeci kościół katolicki. W obrębie parafji prazkiej i licznych wsi okolicznych zamieszkuje kilkadziesiąt tysięcy katolików. W miarę powstawania wielu nowych fabryk liczba wiernych wciąga wzrasta i potrzeba nowej świątyni na Pradze staje się nagłą. Wobec tego grono obywateli prazkich rozwinęło starania, jak donosi „Kur. Por.” o pozwolenie na budowę trzeciego kościoła na Pradze. Zdaniem projektodawców najodpowiedniejszym miejscem pod nową świątynię byłby plac przy cmentarzu na Kamionku.

+ Ważna dla Warszawy kwestja wyboru miejsca pod rzeźnię centralną (rzeźnię ta są świadectwem cywilizacyjnej dojrzałości wielkich miast) wkrótce będzie rozstrzygnięta. „Warsz. Dniem.” pisze, że magistrat zdecydował ostatecznie, iż najodpowiedniejszym placem pod budowę rzeźni jest plac za byłym fortem Śliwickim.

+ Stolica nadwiślańska będzie mieć podziemne telefony. Zarząd Tow. telefonów „Sedergren” złożył już magistratowi warszawskiemu do zatwierdzenia całkowity projekt urządzenia linii telefonowych pod zie-

mią na głębokości 30 cent., oraz wykaz ulic, na których mają być ułożone kable telefoniczne.

+ Ciekawe dane o Niemcach w Warszawie, wskazujące, że kolonia niemiecka w tem mieście, a bodaj w całym Królestwie, posiada wyborną łączność i organizację, ogłasza dziennik „Kölnische Volkszeitung”, dziwiący się, że Niemcy warszawscy nie założyli dotąd ani własnego teatru, ani dziennika własnego. Są oni bowiem naogół bardzo zamożni, gdyż wielu z nich należy do wielkich kupców, finansistów, fabrykantów, a inżynierom, średnim kupcom, drobnym przemysłowcom i rzemieślnikom też dobrze się powodzi; są wśród nich i bardzo biedni. Jedną tylko gub. warszawska liczy 8 tys. Niemców z Rzeszy, przeważnie protestantów, i 1—2 tys. Niemców austriackich, przeważnie katolików. Mają oni cztery stowarzyszenia: „Stow. niemieckich obywateli Rzeszy”, celem niesienia pomocy niezamożnym rodakom w Warszawie, „Niemiecki związek śpiewaczy”, „Jacht-klub” i „Tow. cyklistów Union”. Wszystkie mieszczą się przy ul. Miodowej. Otrzymują stałą zapomogę roczną od rządu Rzeszy w kwocie 3 tys. marek; prócz tego stale podtrzymywani są przez różne miasta niemieckie, jak: Berlin, Wrocław, Hamburg i t. d.

++ Lublin. „Przed 30 laty — pisał „Lub. Gub. Wied.” — było w Lublinie 37 mężczyzn prawosławnych i 40 kobiet. Do garści tej należy wliczyć 153 osoby rodzin urzędniczych, przybyłych wtedy do Lublina na urzędowanie, tak że ogólna liczba prawosławnych w Lublinie wynosiła 228 osób. W chwili obecnej liczy Lublin prawosławnych 3,743, a w tem 1,889 mężczyzn oraz 1,854 kobiet, czyli że liczba prawosławnych powiększyła się 17 razy. Liczba katolików i żydów wzrosła zaledwie 2 1/2 razy. Nie w tym stosunku powiększyła się ludność w guberni, należy jednak zaznaczyć, że i tutaj przerosła inne wyznania. „Są jednakże powiaty — pisał „Gub. Wied.” — szersze pod tym względem od Lublina”. W pow. nowo-aleksandryjskim np. było prawosławnych 57, obecnie zaś 1,115, t. j. 20 razy więcej.

++ Częstochowa. Ministerstwo rolnictwa, wobec stwierdzonej dezorganizacji istniejącej w Częstochowie szkoły ogrodniczej p. Karola Zawady, uznało za konieczne szkołę tę zamknąć.

SZUBRAWCY.

Jest u nas jedna, dosadna i krótka etykieta: szubrawiec!... Co drugi człowiek, co druga dusza nosi na sobie to rdzawe piętno... Kto to? Szubrawiec!... Po zliczeniu sprawiedliwych, zostanie popiół zgłiszcz. Lekkomysłne, popędliwe sądy, fabrykowanie demonów nikczemności, rzucanie błotem i kopanie, powtarzanie na wiarę legend o ludziach, oplwanie ich — to kronika codzienna, chleb nasz każdej godziny, nieledwie minuty. Wyroki nasze są przeważnie gorączką, maligną, majaczeniem na jawie, słowem z mózgu — nie z serca. I z pasją, godną lepszej i mądrzejszej rzeczy, szarpie się cześć, ustala poglądy i fałszywą wytwarza o jednostkach opinię — nie z przekonania, nie z wiary, nie z dowodów i surowości sumienia, tylko z lekkomyślności, nie lubiącej badać, dochodzić, moziolić

się, wolącej pełzać po wybojach nienawiści i poizomości. Ta karygodna i zabójcza atmosfera wyrosła, rozbijała się i rozchylała na fali emigracyjnej — w wirze wzajemnych ambicji, prywat, zazdrości i pęcherzowatych zachcianek, gdy urojone zdrady namnożyły się, a różne komitety skalpowały ze siebie skórę na patryjotycznej licytacji... Do kraju, poszarpanego niezdolnością i skłonnością do porywczystych sądów, wniesiono tego Baala, zatrującego powietrze i rujnującego moralność... Przy usposobieniu dynamitem społeczeństwa, nowy bożek wżerał się i wżera w uczucia setek, gnębi je, napędza melancholię i odcina od szerokiego życia, od zbiorowej duszy narodu... Niema zmiłowania ani miłosierdzia, niema samarytaństwa, niema świadomości wspólnego żywiołowego «ja», niema litości, — jest szkalowanie. Im więcej i tężej pod jednostkami dolgi wybieramy, tem pewniej dogrzebiemy się przepaści dla wszystkich... Wystarczy działać, chcieć, mieć własne oblicze i nerw, aby stanąć na czarnej liście — na szubrawym szyldzie... Klawiszem głuchym bądź, bez struny życia, a pójdziesz w aureoli, w poważaniu, w czci. Gdy z piersi wyrwie się głos — następuje potępienie, warczenie i gromy... Bierności podaje się rękę na Olimp — siłę i mądrość pecha się, jak skarłale, chorowite dziecię, na Tarpeję...

Bogdajże raz już społeczeństwo nie marnowało tego, co ma dobrego, jedrnego, uczciwego i pełnego zapalu... Symfonia najharmonijniejszych tonów musza być sądy, tęcza na niebie pojednania — nie chmura, zapowiadająca grom. Krzywdą rodzi krzywdę, nienawiść — nienawiść! Najwyższą instancję w ocenach ludzi stanowi prawda, rzeczywistość, pobudki działania, nie temperament i mądractwo językowe... Iluż my biedaków podeptali, iluż poniciowali, zgryźli zębami i wystudzili im dusze, wystudzili myśli, wystudzili ambicje! Nie szanujemy pracy, bo przeważnie próżnujemy, żółcią plujemy, bo nas trawi zazdrość, mamy ręce nie do pomagania — ale do spychania. Stoimy, jak wrogi u własnych progów i zalewamy wszystko asafetą. Niech niszczej! niech ginie!

Ci, co mają serce przepełnione zalem, i ci, co idą samotni, a odpychani, i ci, co biegną do ludzi, a spotykają głązy, — niosą ofiary za grzeszność społeczeństwa... Historycy kultury nie będą sobie umieli wytłómaczyć dzikości, jaka u nas w ferowaniu opinii panuje, i pociągą krzywdzicieli przed swój trybunał, który zaiste ciężką będzie miał robotę. Lekkość, zazdrość, brak zrozumienia wielkich idea-

łów narodowych, oddychanie życiem od rogatki do rogatki, obskurantyzm, anarchja myśli i anarchja społeczna, ta sama, co dawniej sejm rozbił, a potem gardła rozpił, wreszcie szła kupczyć sumieniem Rzeczypospolitej, — przybrała dziś inną postać, choć ma tę samą treść... Utrąca się mianem szubrawców wybitnych ludzi, utracą dzieńników, literatów, inicjatorów, — a iluż ich mamy? Partijna zjadłość prowadzi niekiedy do zdziwienia i ostatniego zwyrodnienia... Niema perspektywy, ani miary krytycznej! Urodzić się polakiem — to już nieszczęście — ale dlaczego być gryzionym i bitym najbezsadniej przez swoich?... Znam potężnego muzyka, chwale nasza, którego młodzik nazwał... szubrawcem za szczera recenzję, a dzienniki młodzikowi użyczyły miejsca do napaści; znam niepospolitych zasług literata, którego sprofanowano bezzasadnie; znam wybitnego polityka, którego pomawiano o zdefraudowanie publicznych pieniędzy, znam... ach, iluż ich znam szubrawców, przed którymi trzeba czoła uchylić do kolan... Gdyby nas chciało z własnej opinii sądzić zagranicą, — nie byłoby miejsca dla tego narodu na świecie. Niedostatek prawdziwej oświaty przyczynia się do epidemii choroby, tej nieszczęsnej szubrawomanji, którą się stempluje ludzi... Już nasz swojski Laroche-Foucauld, Maksymilian Fredro zauważył, że «którzy polacy drugich gania, tacy Polskę najprędzej zgubią». A jakżeż nieśmiertelnym był ów złotousty kaznodzieja, gdy prawil w kazaniach sejmowych, że «miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może». — Rozwódzać się zaś szeroko o zgodzie domowej, święte wyrzekł słowa: «Jako możemy mieć odpuszczenie grzechów naszych, gdy braci naszej nie odpuszczamy, a waśni i nienawiści z nimi nie odładowaliśmy i z braterskiej się miłości wyzrywamy?... Umiarkowania, dobrej wiary potrzeba nam w ocenach ludzi — nie ust od ucha do ucha — a przede wszystkim sumienia, tysiąc razy sumienia. «Sprawiedliwość wynosi naród, a mizerne ludzkie grzech czyni»... mówi Pismo Święte... Sprawiedliwości jaknajwięcej, wspinania się do światła, do ideałów, a nie polowania wszędzie na brudy. Nie wolno nikogo zabijać, nie wolno nikogo niesłusznie spotwarzać.

Ernest Łumiński.

Lwów.

U W A G I.

Petersburg, 7 (20) marca.

Coraz częściej ukazują w Galicji i Poznaniu swe oblicze „stronnictwo wszechpolskie“. Gdy wyobrażnia się rozpala, a normalne uczucie narodowe przetwarza się w chorobliwy szowinizm, wtedy u wszystkich narodów występuje w charakterze magicznego cementu rozkiełzanych myśli wyraz „wszech“. Wiemy, czem są: pangermanizm, panslawizm, francuzki wszechnacjonalizm, włoski irredentyzm, panbułgaryzm i t. d. Objawy te jakby skazane są na to, aby rządowi rodzimym przysparzać jaknajwięcej kłopotów politycznych, rządowi zaś obcym — dawać broń do ostrzejszej polityki. Zanim „stronnictwo wszechpolskie“ przybrało jakieś kształty papierowe, słyszeliśmy już z ust ministrów pruskich systematyczne powoływanie się na agitację „wszechpolską“, jako na uzasadnienie wszystkich rozporządzeń drakońskich przeciwko polakom. Posłowie polscy w parlamencie wytrwale przeczyli istnieniu tego ruchu wszechpolskiego. Dziś jednak ministrom pruskim przychodzi z pomocą samo stronnictwo wszechpolskie. Lwowski „Wiek XX“ pośpieszył się już z ogłoszeniem swego „wszechpolskiego“ programu, zapewniając, że jest on całkiem realny:

„Cała nasza działalność ma na celu postawienie polityki narodowej na gruncie realnym. Ideały i tradycje narodowe dlatego właśnie i dlatego jedynie w naszej działalności uwzględniamy, że mają one istotną, realną wartość polityczną. Zaznaczaliśmy nieraz, że zarówno w programie, jak w działalności praktycznej, nie uznajemy żadnych dogmatów, nie rzadzimy się żadną doktryną, nie potępiamy żadnego kierunku, który zmierza do urzeczywistnienia najwyższego celu dążeń i interesów narodowych. *Wszystkie środki*, które nas do tego celu najłatwiej, najskuteczniej prowadzą, są politycznie *uprawnione*. Uгода może być w pewnych warunkach równie uprawnioną, jak opór. Zwalczamy politykę ugodową nie dlatego, że głosi zasadę kompromisu, ale dlatego, że w istniejących warunkach ten kompromis nie ma żadnej realnej podstawy; zwalczamy ją dlatego, że jest szkodliwym doktrynerstwem. Nie propagujemy nienawiści, ale rozumiemy jej znaczenie w walce narodowościowej. To fałsz jednak, że nienawidzimy żydów lub rusinów. Co się tyczy żydów, żądamy jedynie, żeby byli politycznie polakami, rusinom zaś nie odmawiamy prawa do samodzielnego rozwoju swej narodowości; nie chcemy tylko, żeby ten rozwój odbywał się ze szkodą narodowości naszej. Nasz interes narodowy przede wszystkim i nade wszystko. To jest zasada naczelna naszego programu“.

Narodowość w oświeceniu „Wieku XX“ stała się rodzajem nadnarodowości, której służyć mają zarówno polityka trzeźwa, mająca

dobro ogółu na celu, jak i polityka krzykactwa, naruszająca spokój i byt rodzin. Wszelkie środki polityczne są *uprawnione*, byle dobrze działały się bożkowi „wszechpolskiego“ szowinizmu. Programowi temu można odmówić... szczerości.

Od dwu lat z górą zajmują uwagę świata cywilizowanego boerowie. Nikt im nie niesie pomocy, ale ponieważ świat podzielił się na boerofilów i anglofilów, wszyscy toczą spór o nich i wypowiadają zdania. Paryżki „Journal“ wpadł na pomysł urządzenia ankiety wśród ludzi znakomych. Zapytał ich, co myślą o przyszłych losach boerów i otrzymał odpowiedzi różnorodne. Autor „Krzyżaków“, który już przed dwoma laty w słynnym liście do baronowej Suttnerowej objawił poniekąd sympatie angielskie, został im wierny i dziś. I został wierny także swej niechęci dla prusaków. Oto treść jego odpowiedzi, wydrukowanej w „Journal“u:

„Boerowie są bardzo mało liczni, a liczba ich zmniejszała się jeszcze przez wojnę; grozi im więc podwójne niebezpieczeństwo. W razie zwycięstwa nad anglikami, zostaną zalani przez fale emigracji ze wszystkich krajów europejskich, i staną się wkrótce nieznaczniejszością. Jeśli zostaną zwyciężeni, wejdą w skład olbrzymiego państwa wielko-brytańskiego. Lecz w tym ostatnim wypadku, co za szczęście w nieszczęściu, że zostaną zwyciężeni przez anglo-saksonów, a nie, na przykład, przez prusaków. Pod panowaniem angielskim otrzymają samorząd, prawa i ich język będą uszanowane, ziemia nie będzie im wydzierana przez żadne komisje, rozporządzające milionami, na które w Prusach musza się składać wszyscy poddani państwa, a zatem i ci, przeciw którym owe miliony mają być użyte. Wreszcie, jeśli Edward VII lub ktokolwiek z jego następców, stawiając w zakład honoru narodu i dynastji, poręczy boerom słowem królewskim ich prawa, to nie do pomyślenia jest, aby znalazł się w Anglii minister dość bezwstydnym, któryby miał odwagę powiedzieć, jak Bismark w pełnym parlamencie: „Słowo królewskie groza nie warte“. Nie znajduje się także żaden anglik, któryby nie rozumiał, iż złamanie słowa królewskiego jest hańbą dla dynastji i państwa“.

Rozumowanie naszego znakomitego pisarza jest zupełnie logiczne i historycznie (jeżeli o najnowszą historję chodzi) usprawiedliwione. Zachodzi tylko pytanie, czy Anglija, pod wpływem klęsk w Transwaalu, nie wejdzie, torem państw kontynentalnych, na drogę militarizmu, ażeby zabezpieczyć się od podobnych do boerskiej niespodzianek? Czy wówczas nie zajdą zmiany w jej poglądach na t. zw. „wymagania państwowe“? Są niektóre objawy, świadczące, że *bacillus* szowinizmu państwowego zaczyna się szerzyć i w Anglii.

Dwa koła posłów polskich w Berlinie stoją na straży spraw narodowych. Są to polityczni wybrańcy polaków w państwie pruskim, rzecznicy ich praw w parlamencie wobec całej Rzeczy niemieckiej i w sejmie pruskim — wobec prusaków. Od tych kilkunastu ludzi społeczeństwo domaga się i ma prawo się domagać, aby stali na straży wytrwale i czujnie. Jak z rogu obfitości syją się antypolskie projekty, brzmiały mowy antypolskie. I nic dziwnego, że społeczeństwo pyta, jak go wybrańcy bronią? Udzieliliśmy głosu wybitnemu działaczowi wielkopolskiemu, który zarzucił posłom obu kół — opieszałość. To zarzut ciężki. Nie myśmy go uczynili, lecz ów polityk wielkopolski. Jeżeli taki zarzut pada z ust przedstawicieli wyższych kół ziemiańskich, to czyż można się dziwić, że prasa demokratyczna przemawia tonem o wiele ostrzejszym? Ona woła, że w kołach poselskich wystąpić winni „nowi ludzie“. Demokratyczna prasa polska twierdzi, że „nowi ludzie“ winni być krwią z krwi swoich wyborców, kością ludu. I dopóki tych nowych ludzi nie będzie, reforma kół poselskich jest niemożliwa, bo „starzy ludzie“ na radykalne zmiany przystać nie są zdolni. My jednak wiemy, że nowi ludzie nie spadają z nieba, wiemy także, że obecni posłowie polscy, których patriotyzm jest nieposzlakowany, umieją bronić praw swego narodu.

Szukajmy nowych ludzi, ale nie lekceważmy i weteranów. W chwili obecnej trzeba wszystkie siły skupić na wyłomie.

Wyzysk publiczności, przedewszystkiem warstw jej uboższych i ciemniejszych, przez rozmaitego rodzaju doradców, nie należących do liczby adwokatów przysięgłych lub obrońców prywatnych, uznanych przez sądy, niejednokrotnie już był omawiany w prasie i literaturze sądowej. Niejedną ciężko zapracowaną krwawicą utonęła w kieszeni podobnych „adwokatów“, niejedną słuszną proces został przegrany dzięki ignorancji lub nieuczciwości pośrednika, a ilość rujnujących procesów, wytoczonych bezpodstawnie, jest olbrzymia... Dawniejsza arena działania tych panów — szynk, gdzie „adwokat“ udzielał posłuchania, koncypował podania i skargi, w ostatnich czasach stała się dla nich zaciąsna. Zmienione warunki bytu w miastach wymagały pewnych zmian w systemie wyzysku. Ulice miasta w Królestwie zaczęły się pstrzyć od sztyldów rozmaitych „biur porady prawnej“, „kantorów

do prowadzenia spraw“ i t. p., a na lep tej reklamy szli ludzie nawet tacy, którzyby nie padli w sidła dawnego „hadwokata“ z szynku. Treść zaś pozostawała ta sama. Temu stanowi rzeczy kres kładzie Najwyższej zatwierdzone uchwała komitetu ministrów z d. 18 (31) stycznia r. b., zastosowująca do Królestwa zakaz zakładania wszelkich biur do prowadzenia spraw, obowiązujący w Cesarstwie od r. 1843. Zakaz ten niezawodnie przyniesie korzyść ludności, zabezpieczając ją od wyzysku. Zaznaczyć należy, iż zakaz ten nie dotyka biur, zakładanych przez adwokatów, przysięgłych w celu ułatwienia obrony prawnej niezamożnej ludności, albowiem pozostając pod ścisłą kontrolą korporacji lub sądu, biura te przynoszą istotny pożytek i mają na celu walkę z doradztwem pokątnem.

Na wniosek p. L. Grendyszyńskiego, przy sekcji handlowej warszawskiego oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu, ma powstać delegacja asekuracyjna. Powzięcie tego projektu wydaje się nam ze wszech miar zasługującym na uznanie. Rozwój spraw ubezpieczeniowych w czasach ostatnich stwarzał coraz częściej odczuwaną potrzebę instytucji, która, jednocząc pracowników na polu ubezpieczeń, dawała możność pracy nad urabianiem pojęć i doskonaleniem techniki ubezpieczeń, a zarazem była pośrednikiem pomiędzy fachowcami a szeroką publicznością. W sprawie bowiem ubezpieczeń panują u nas dotąd pojęcia dość chaotyczne. Świeży tego przykład widzieliśmy w komentowaniu przez ogół postanowień ostatniego „zjazdu przedstawicieli towarzystw ubezpieczeń w Petersburgu. Podniesienie premji od niektórych rodzajów ubezpieczeń, zmniejszenie prowizji agentom, wzbronienie wszelkich tajemnych ustępstw na rzecz ubezpieczonego, wreszcie utrudnienie przeprowadzenia ubezpieczeń z jednego towarzystwa do drugiego przyjęte zostało przez ogół nietylko z niezadowolaniem, poniekąd jeszcze zrozumiałem, ale wywołało oburzenie, jako nadużycie i bezprawie. Tymczasem na szereg skarg, wystosowanych w tej mierze do władz, z ministerstwa spraw wewnętrznych przyszła odpowiedź, uchylająca te skargi, „gdyż zarządzenia towarzystw ubezpieczeń miały na celu nie wyzysk ubezpieczonych, a wyłącznie naprawę nienormalnych dziś stosunków asekuracyjnych“. To jedno dowodzi, jak dalece poglądy nasze na prawa i obowiązki towarzystw ubez-

pieczeń są niedokładne. Motywowanie wyjaśnienie powziętych przez konwencję uchwał dał p. L. Grendyszyński w obszernym referacie, odczytanym w sekcji handlowej, a jednocześnie tej samej sprawie poświęcił wstępny artykuł organ ministerstwa skarbu „Torg.-Prom. Gaz.“ Z obu tych prac wypada jasno, że do powzięcia kroków w celu zwiększenia zyskowności operacji ubezpieczeniowych towarzystwa zostały zmuszone zarówno przez wieloletnie straty, jak i pod wpływem presji zagranicznych przedsiębiorstw reasekuracyjnych, grożących cofnięciem reasekuracji, jako nieopłacającej się w obecnych warunkach.

Obok tego jednak nie ulega wątpliwości, że nie brak także faktów, kiedy wina nieporozumień leży po stronie przedsiębiorstw ubezpieczeniowych. Otóż ta właśnie możliwość wyjaśnienia podobnych spraw na gruncie instytucji, w której mają sposobność zetknięcia się obie strony, stanowi, naszym zdaniem, główny warunek, usprawniający potrzebę i zapewniający powodzenie projektowanej delegacji.

Sprawa Wawelu przewleka się i budzi łatwo zrozumiałą niecierpliwość wśród tych, którzy pragnęliby widzieć tę narodową pamiątkę odnowioną i oddaną krajowi w jednej niemal chwili. Wiadomo, że w Wiedniu sankcjonowano już ustawę, na mocy której Wawel zostanie opróżniony przez wojska austriackie, gdy kraj wspólnie z rządem zbuduje dla nich odpowiednie koszarzy i szpitale. Ale widocznie wojsku austriackiemu równie trudno jest ustąpić z Wawelu, jak z Bośni. Ministerstwo wojny zawiadomiło Wydział krajowy, że nie można myśleć o opróżnieniu Wawelu, dopóki gmina miasta Krakowa nie zakupi gruntów pofortyfikacyjnych. Kraj musiał już przystać na wypłacenie ministerstwu wojny przeszło 3 milj. koron jako okupu za Wawel; nowe żądania wojskowości zwiększają kosztą jeszcze bardziej. Kronikarz „Now. Ref.“ czyni z tego powodu ciępką uwagę: „Kto kocha Wawel, powinien dziękować niebiosom za łaski rządu, który za tak skromne z naszej strony ofiary, robi nam podarek z własności niegdyś królów polskich. Restauracja królewskiego zamku będzie już potem drobnostką. Cóż ona może kosztować? Marnych kilkadziesiąt milionów“. Sprawa Wawelu niewątpliwie byłaby rozstrzygnięta o wiele prędzej, gdyby była łatwiejsza. Ale jeśli szybkości działania niema, zastąpić ją winna wytrwałość. Kronikarz „Nowej Reformy“ niech podziękuję niebiosom, że na Wawelu stoi żołnierz austriacki, a nie pruski; inaczej przy katedrze wawelskiej ujrzałby pomnik Bismarka, wzniesiony może nawet kosztem tego samego kraju, któremu dziś tak ciężko jest wykupić Wawel.

„Deutsche Ztg“ zamieszcza telegram z Poznania, głoszący, że rząd powiadomił wszystkie polityczne stowarzyszenia w W. Księstwie Poznańskim, iż od 1 kwietnia r. b. obrady na zebraniach toczyć się mogą tylko w języku niemieckim!

W uwagach zeszłego N-ru „Kraju“ omawialiśmy kwestję prawdopodobnego wydalania Polaków z uniwersytetów niemieckich. Dzisiejszy „Kurier Poznański“ donosi, że w tych dniach wydano z Politechniki Charlottenburskiej wszystkich akademików-Polaków obcych podanych, w liczbie około czterdziestu, bez względu na to, czy byli skompromitowani lub nie.

KOMUNIKAT RZĄDOWY.

W N-rze 53 dziennika „Prawit. Wiest.“ z d. 7 b. m. ogłoszono komunikat w sprawie zawartego w styczniu przez Anglię i Japonię traktatu. W komunikacie tym powiedziano: „Rząd Cesarski, oceniając przyjazne zawiadomienie o tem Rosji zarówno przez rząd japoński, jako też i angielski, zapatruje się zupełnie spokojnie na zawarcie tego traktatu. Rosja domaga się niezależności i nienaruszalności sąsiednich zaprzyjaźnionych Chin, oraz Korei. Rosja pragnie zachować teraźniejszy stan rzeczy i zabezpieczyć stały pokój na Dalekim Wschodzie. Ztąd też dążenia Anglii i Japonii do tego samego celu mogły tylko wywołać w Rosji współczucie, wbrew twierdzeniom niektórych sfer politycznych i organów prasy zagranicznej.“

Ze względu na ciągłą agitację z powodu traktatu anglo-japońskiego, rządy Rosji i Francji postanowiły ogłosić swe poglądy w następującej jednobrzmiącej deklaracji: *Jednobrzmiąca deklaracja z d. 3 (16) marca 1902 r., jednocześnie wręczona przez przedstawicieli Rosji i Francji rządowi: austro-węgierskiemu, belgijskiemu, wielkobrańskiemu, niemieckiemu, hiszpańskiemu, włoskiemu, holenderskiemu, północno-amerykańskiemu i japońskiemu.*

„Sprzymierzone rządy Rosji i Francji, otrzymawszy zawiadomienie o traktacie anglo-japońskim z d. 17 (30) stycznia 1902 r., zawartym w celu utrzymania status quo i pokoju powszechnego na Dalekim Wschodzie, jak również w celu zabezpieczenia niezależności Chin i Korei, które powinny pozostać otwarte dla handlu i przemysłu państw wszystkich—z zupełnym zadowoleniem upatrują w tym traktacie potwierdzenie zasad istniejących, które, zgodnie z oświadczeniami państw obu, stanowiły i stanowią podstawę ich polityki.“

„Oba rządy sądzą, że zachowanie tych zasad jest zarazem zabezpieczeniem ich własnych interesów na Dalekim Wschodzie.“

„Zmuszone jednak ze swej strony do niezapominania o możliwości wrogiego wystąpienia państw innych, albo też powtórzenia się zaburzeń w Chinach, które mogą naruszyć całość i rozwój swobodny państwa niebieskiego z uszczerbkiem ich interesów wzajemnych—oba rządy sprzymierzone pozostawiają sobie, na wypadek tego, możliwość przedsię-

wzięcia środków, potrzebnych do obrony tych interesów.“

Petersburg, 3 (16) marca 1902 r.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dworskie.

× D. 4 (17) marca została otwarta w pałacu Taurydzkim, pozostająca pod opieką Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorowny, wszechrosyjska wystawa rękodzielniczo-przemysłowa. W dniu tym Ich Cesarskie Mości raczyli zwiedzić wystawę i spędzić na niej trzy godziny.

Urzędowe.

× W urzędowych „Wied. S. Piet. Gradonaczalstwa“ czytamy następujący rozkaz naczelnika miasta:

„Dnia 3 b. m. o godz. 12 i pół po południu na Newskim prospekcie między ul. Sadową i Kazańską, wśród zebranej w większej liczbie publiczności, aniżeli to bywa zwykle w dni świąteczne w tej miejscowości, grupa młodzieży, przeważnie studentów, próbowała trzykrotnie wywołać zaburzenia uliczne, przy czem niektóre osoby rozwinęły flagi czerwone z napisami występami. Próbom tym odrazu zapobiegły kroki policyjne, wszystkie flagi odebrano i niosące je osoby, zarówno jak i większość uczestników aresztowano.“

„Ze względu na to, że wszystkie osoby aresztowane w każdym razie winne są obrazę obowiązujących przepisów, przez naczelnika miasta Petersburga wydanych 8 marca i 9 grudnia r. 1901, przeto, niezależnie od pociągnięcia głównych winowajców do śledztwa, stosownie do ustawy karnej, skazuję osoby te na areszt, na zasadzie wzmiankowanych przepisów obowiązujących.“

Skazani zostali na 3 miesiące aresztu: studenci uniwersytetu—21 osób; Instytutu górniczego—7; Instytutu inżynierów cywilnych—2; Instytutu technologicznego—4; Instytutu komunikacji—4; Akademii wojskowo-medycznej—2; słuchaczki wyższych kursów żeńskich—2; Instytutu medycznego—2, oraz 1 lekarz, 1 pomocnik adwokata, 1 dentysta i 43 osoby różnego stanu, czyli razem 88 osób. Między niemi znajdujemy nazwiska polskie: Szutkowski Władysław (stud. uniw.); Dzierżanowski Władysław (stud. inst. gór.); Wańkowicz Witold (stud. inst. inż. cyw.) i Zakrzewski Jan (stud. technolog.).

× Ogłoszono przepisy o egzaminach przejściowych w gimnazjach: uczniowie posiadający trójkę ze wszystkich przedmiotów, przechodzą do klasy wyższej bez egzaminów; ci, którzy posiadają jedną lub dwie dwójki, zdają egzamin: pierwsi przed wakacjami, drudzy po wakacjach. Posiadający trzy lub więcej dwójek, zostają na drugi rok w tejże klasie. Rady pedagogiczne mogą dopuszczać do egzaminu po wakacjach także tych, którzy mają trzy dwójki.

× Pólurowa „Torg.-Prom. Gaz.“ ogłasza z najlepszego źródła, że rozpowszechniane w ostatnich czasach pogłoski o zamiarze podwyższenia opłaty za paszporty zagraniczne, pozbawione są wszelkiej podstawy.

× Wobec zbliżającego się otwarcia ruchu na kolei Wschodnio-Chińskiej w obrębie Mandżurji, Najwyżej zatwierdzone zostały przepisy, dotyczące przejazdu cudzoziemców tą koleją. Wszystkim obcym poddanym wolno nią przejeżdżać. Na żądanie rosyjskich władz administracyjnych cudzoziemiec może być zatrzymany i odtawiony do tych władz. W razie podejrzenia o przestępstwo, spełnienie na terytorjum kolejowym, cudzoziemiec ma być odtawiony do Rosji, do najbliższego urzędu prokuratury rosyjskiej, dla zbadania winy, poczem ma być odesłany do swego konsula. Przepisy powyższe zawarte są w rozkazie do wojsk okręgu nadamurskiego.

× Organ ministerstwa skarbu „Torg. Prom. Gaz.“ oznajmia, że syndykat domów bankierskich niemieckich, holenderskich i rosyjskich przyjął zobowiązanie pożyczki, zaciągniętej dla zrealizowania przypadającego Rosji od Chin wynagrodzenia za straty, poniesione podczas ostatnich zaburzeń w Chinach, w sumie 181,959 tys. rb., równiej 393 milj. marek niem. Zarówno termin umorzenia pożyczki—39 lat, jakoteż roczne wypłaty odpowiadają w zupełności warunkom, na jakich miało być uiszczone Rosji owo odszkodowanie. Z kwoty powyższej 139,900 tys. rb., czyli 300 milj. marek będzie zrealizowane w drodze zapisów publicznych, dokonanych w Petersburgu, we Frankfurcie nad M. i w Amsterdamie, reszta zaś pożyczki ma być przyłączona do funduszu kas oszczędnościowych. Pożyczka ta ma być użyta na odszkodowanie osób prywatnych i instytucji za straty, poniesione podczas ruchów chińskich, oraz na zapomogi prywatnym przedsiębiorstwom kolejowym.

× Ogłoszono ukaz Najwyższy z d. 28 lutego (13 marca), treści następującej: „Gubernatora wojennego okręgu amurskiego, dowódcę wojsk i atamana kozaków amurskich, jen.-lejt. Gribskiego, zwalniamy z powyższych obowiązków i nakazujemy mu pozostawać w rozporządzeniu naczelnika głównego sztabu.“

W Petersburgu.

× Jen.-adj. Czertkow, generał-gubernator warszawski i główny dowódca wojsk warszawskiego okręgu wojennego, przybył do Petersburga. Równocześnie przybył kamerjunker Jaczewski, urzędnik do szczególnych poruczeń.

× Osobiste. Bawia w Petersburgu: szambelan hr. August Potocki; łowczy Dworu hr. Władysław Wielopolski; radca komitetu T. K. Z. P. Stan. Skarżyński; dyrektor warszawskiego Tow. wazjennego kredytu p. Al. Czajewski i radca prawny tegoż Tow. mec. Art. Bardzki.

× Z Tow. słowiańskiego. D. 14 (27) lutego petersburskie słowiańskie Tow. dobroczynności zebrało się celem rozstrzygnięcia kilku zagadnień. Prezes, członek Rady państwa hr. N. P. Ignatjew oświadczył, że wiceprezes Tow. jen. A. A. Kiriejew usunął się z tego stanowiska, wobec czego członkowie wybrali na jego miejsce członka rady ministra oświaty. Zgromadzenie uchwaliło przez powstanie pamięć zmarłego w d. 8 (21) lutego w Wilnie W. M. Płoszczańskiego, „który pracował nad stworze-

niem jedności między Rosją galicyjską a Rosją“.

× Z „Lutni“. W sobotę 2 b. m. odbyło się ogólne zgromadzenie członków „Petersburskiego Koła miłośników muzyki“. Na przewodniczącego zebrania powołano p. Fr. Olszewskiego, na sekretarza—p. K. Zabiełkę. Po wysłuchaniu sprawozdania za rok ubiegły, z którego wypada, że członków „Lutni“ miała 232, dochodu wpłynęło 5,428 rb., wydatków zaś było 5,187, oraz protokołu komisji rewizyjnej—wywiązała się ożywiona dyskusja na temat wyszukiwania środków, mogących wpłynąć na ożywienie „Lutni“, na chętniejsze przystępowanie do grona członków, na polepszenie jej bytu materialnego. Po zatwierdzeniu sprawozdania, zebranie wysłuchało listu Henryka Sienkiewicza, przysłałego w odpowiedzi na mianowanie go członkiem honorowym „Lutni“, a powitanego przez zebranie gorącymi oklaskami, następnie uchwaliło wystosować podziękę firmie Bekkera, od lat wielu ofiarującej bezinteresownie fortepian na wszystkie koncerty „Lutni“, wreszcie postanowiło urządzać ogólne zgromadzenia członków częściej niż dotąd. Ogólne zainteresowanie wywołała sprawa wyszukiwania nowego lokalu, co wobec kilku propozycji, pozostawiono do uznania komitetu. W końcu dokonano wyborów, przy czem na miejsce ustępujących z kolei 4 członków, powołano do komitetu pp.: St. Kłockiego, Fr. Olszewskiego, J. Dietricha i Stanisławskiego; do komisji zaś rewizyjnej: pp. Żarnowskiego, Zabiełkę, Piekarskiego, Krejbicha i Kobylidzkiego.

× Z „Lutni“. W sobotę, 9 b. m., odbędzie się siódmy z rzędu koncert amatorski, na którym utwory fortepianowe wykona p. Michniewicz, skrzypcowe p. Kossowski i śpiew p. Fr. *.; prócz utworów solowych grono miłośników muzyki wykona kwintet smyczkowy.

× „Urvasi“, opera znanego kompozytora naszego, p. Erazma Dłuskiego, wystawiona z ogromnym powodzeniem we Lwowie, oraz pantomina „Le coeur de la Marquise“, zostaną wystawione w teatrze Maryjskim d. 12 (25) marca na rzecz Domu wychowawczego, pozostającego pod opieką Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa. Bilety sprzedają się w kasie teatru Maryjskiego.

× Trupa polska p. Bolesławskiego, występująca w sali Pawłowej, zyskała gorącą sympatię polskiej publiczności, która zapeliła salę po brzegi na pierwszych dwóch przedstawieniach. Wszystkie dzienniki rosyjskie z wielką życzliwością odzwierciedlają o występach trupy. W środę trupa wystawiła „Dom otwarty“ Bałuckiego, wczoraj zaś, we czwartek „Karykatury“ Kisielewskiego; dziś, w piątek 8 marca, wystawione będą dwie komedje: „Leosia Puciłowna“ (Panie Kochanku) Kraszewskiego i słynna jednoaktówka Sienkiewicza „Zagłoba swatem“. W sobotę 9 marca wystawiony zostanie dramat Słowackiego „Mazepa“; w poniedziałek 11 marca—„Pani Wołodyjowska“; we wtorek 12 marca—„Ta trzecia“ (obie sztuki przerobione z powieści Sienkiewicza); w środę 13 marca—„Wielki człowiek do małych interesów“ Fredry-Jocja; we czwartek 14 marca—komedja „Odrodzenie“ Schöntana i Koppel-Elfelda; wreszcie w piątek 15 marca, na zakończenie występów, dane będzie „Złote runo“ Przybyszewskiego, które obudziło duże zaciekawienie i polemikę w Warszawie i Lwowie. Bilety zawczasu nabywać można w księgarni Grendyszyńskiego (ulica Jekateryńska 2).

× Trupa artystycznego teatru z Moskwy pod kierunkiem p. K. S. Stanisławskiego rozpoczęła szereg widowisk gościnnych w teatrze Panajewa. Aby ująć w dwóch słowach charakterystykę trupy, cieszącej się zasłużonym rozgłosem i uznaniem, wystarczy powiedzieć, że niema dziś w Europie sceny, odtwarzającej z tak skończoną wier-

nością utworów scenicznych, harmonizującej z takim artystem, opracowaną do najdrobniejszych szczegółów, *mise en scène* z uwzględnieniem nastroju sztuki. Metodę mejnungeńską posunęli artyści moskiewscy o szczebel dalej, powiedzielibyśmy: o szczebel wyżej. Postaramy się niebawem dać dokładniejsze, niż w krótkiej notatce wyobrażenie o tem, co zdołali stworzyć na widowni teatralnej znany beletrysta Niemirowicz-Danczenko, jako kierownik literacki trupy, i p. Stanisławski jako reżyser. Obecnie zaznaczamy tylko, że widowiska trwać będą do d. 5 kwietnia, i że repertuar obejmuje następujące utwory sceniczne: A. Czechowa „Trzy siostry“, W. Niemirowicza-Danczenki „Wśród marzeń“, M. Gorkiego „Mieszczanie“, Hauptmanna „Michael Kramer“, Ibsena „Doktor Stockman“ i „Dzika kaczka“.

× Na kolonje letnie. D. 25 marca w godzinach południowych w sali Nowego teatru (Kononowa) na rzecz kolonij letnich kółka pań przy kat. Tow. dobroczynności odbędzie się amatorskie przedstawienie teatralne, wykonane przez dzieci. Sympatyczny cel, oraz dogodna pora dnia, wybrana na przedstawienie, będą niewątpliwie sprzyjały zebraniu się licznej rzeszy młodocianej publiczności na zabawę.

× Biuro wycinków. Założone niedawno w Petersburgu biuro wycinków z gazet znacznie rozwinęło swoje czynności. Abonentom wysyłane są wszelkie wycinki z rosyjskich i zagranicznych dzienników i tygodników. Prócz tego biuro zawiązało stosunki z podobnymi zagranicznymi instytucjami. W biurze pracuje około 15 ludzi. Abonentów jest przeszło 300.

TEATR POLSKI W PETERSBURGU.

Pierwsze przedstawienie d. 4 (17) marca zadzierzgnęło odrazu węzeł sympatyczny pomiędzy trupą p. Bolesławskiego a polską publicznością. „Zaczarowane koło“ Rydla jest utkaną barwnie na kanwie podań ludowych baśnią o tem, jak diabeł Boruta skaptował zręcznie dla piekła duszę pysznego wojewody, dążącego *per fas et nefas* do buławy hetmańskiej. Dobra sztuka, świadcząca o nerwie dramatycznym utalentowanego poety, prawdziwie piękna *mise en scène*—umiejętnie dobrany skład trupy—stworzyły całość niezwykle zajmującą. P. Bolesławski dał obrazową postać leśnego dziada, kryjącego się przed ludźmi, a jeszcze im przyjaznego. Złe siły, nagrażające się z ludzi, znalazły wyborne uosobienie w diable-szlachcicu Borucie, odtworzonym w chmurnej grozie i z animuszem przez p. Szczurkiewicza, oraz w niemieckim „diablu Kusym“, którego malownicze susy i gładka postać, dzięki grze p. Orlińskiego, wryły się w pamięć widza. W trudnej roli Maryny, traktowanej bardzo szlachetnie, zdobyła się p. Nowicka podczas sceny oblania na akcenty silnie dramatyczne; umiejętnym jej partnerem w scenach miłosnych okazał się p. Dąbrowski, jako Janek młynarczyk. Kontuszową postać wojewody z wprawą odtworzył p. Szymborski; miłą wojewodzianką była p. M. Szrage; chwytal za serce grą poetyczną w roli głupego Maciusia p. Pawłowski. Charakterystyczne postacie klucznika i organisty trafnie odtworzyli pp.: Oranowski i Górski. W rolę drwala niewinnie skazanego na śmierć, tchnął wiele uczucia p. Konarski. W epizodycznych rolach swoich pp.: Zaremba (młynarz), Kecki (kasztelan), Rawicz (kat), Szymanowicz (miecznik) i Bogusławski (dworzani) dostrzegli się należycie do całości, która niewątpliwie obudziła zajęcie dla dalszych przedstawień.

Odtwarzając na drugim przedstawieniu w jednoaktówce „Bracco“ postać Pietro Caruso, nędzara-pijaka, który na dnie zdeprawowanej duszy zachował cudem brylant godności własnej, p. Bolesławski podjął

trudne zadanie, wypadło mu bowiem konkurować z niezapomnianym przez petersburszczyznę wrażliwym genialnej gry Zaccagniego w tej roli. Ale zdolny artysta potrafił przyciągnąć uwagę widza, podkreślając umiejętnie kontrastowe rysy złożonej i głęboko wrzaskającej roli. Wrażenie ze sztuki Braccagniego podniosła inteligentna gra p. Nowickiej w roli córki Caruso. Tęż wieczór dawał jeszcze „Jarmark małżeński“, zabawną farsę, do której zręcznym autor przystąpił nieco żywiołu satyrycznego. Karykaturne modnych prądów współczesnej poezji, noszonych przez „nadpoczętą Przyciszewską“ (p. Orliński) wywoływała wybuchy szczerzej wesołości na sali. Po rozwiązaniu szczególnego powikłań gwarnej jarmarku małżeńskiego, urządzonego przez ojca aż pięciu córek, publiczność nagrodziła artystów hucznymi oklaskami.

L. B.—t.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Z TYGODNIA.

Coś święci się pod Bałkanami. Coraz serdeczniej brzmią toasty serbsko-czarnogórskie, i coraz wyraźniej zarysowuje się łączność pomiędzy Belgradem a Cetynią. Przybyłego do stolicy księcia Mikołaja posła serbskiego Wasica przyjmowano nader uroczysto. W pałacu książęcym spożyto obiad galowy, w czasie którego ks. Mikołaj wniósł w gorących wyrazach toast na cześć panującego w Serbii domu. Obecni powitali wyrazy księcia frenetycznymi okrzykami «żiwio!» Prasa wiedeńska i peszteńska stroiła sobie z początku lekkie z tego wszystkiego żarty, w końcu zaś, na polecenie sobie, «Pest. Lloyd» oświadczył, iż pobyt ministra czarnogórskiego Wukowicia w Belgradzie miał być małą demonstracją anty-rosyjską. Gorąco protestuje przeciw temu «Glas Crnogorca», zapewniając, iż ks. Mikołaj zawsze wierności Rosji dochowa.

Belgrad stał się poniekąd «point de mire» rządów bałkańskich. Po p. Wukowiciu przybył tam poseł ks. Ferdynanda bułgarskiego, p. Weliczow, którego przyjmowano, jak przedstawiciela kraju niezawisłego. Na audjencji uroczystej przy wręczeniu królowi Aleksandrowi swych listów uwierzytelniających, poseł ze wzruszeniem w głosie mówił o stałej, lojalnej, nierozdzielnej przyjaźni pomiędzy sąsiednimi i pokrewnymi narodami. Placąc pięknym za nadobne, król Aleksander zapewnił przedstawiciela Bułgarii, że znajdzie w nim i w jego rządzie szczerych współpracowników w sprawie wzmocnienia owej przyjaźni, potem zaś w ciszy gabinetu rozmawiał z p. Weliczowem poufnie i długo. Coś się święci—mówią pisma zagraniczne—ale nie przecie nadzwyczajnego stać się na półwyspie Bałkańskim nie może, ponieważ trwałości stanu obecnego strzeże porozumienie rosyjsko-austriackie. Chyba ta Macedonja brudzić zacznie na serjo.

Dobrze być jeńcem u boerów. Pozna się się bliżej zwycięzców, i po spożyciu

z nimi skromnego obiadu, idzie się lub jedzie do domu. Co prawda, nie mają wodzowie boerscy miejsca, gdzieby mogli jeńców wojennych do końca wojny ulokować. Sami stalego schroniska nie mają i uwiązują się wciąż po kraju, unikając ze zdumiewającą zręcznością kolumn angielskich lub zadając im klęski. Nie chciał jen. Delarey wozić za swoją główną kwaterą nawet takiej grubej ryby, jak lord Methuen, i pozwolił mu odjechać do domu. Wspaniałomyślność wodza boerów umieli ocenić anglicy, i cała prasa londyńska podnosi z uznaniem rycerskość postępowania jen. Delareya. Przypomnieć należy, że jeńiec angielski zasłużył sobie na względy boerów, on to bowiem, zniósłszy przed półtora rokiem oddział boerski Villebors-Mareuila, uczcił poległego ich wodza pogrzebem uroczystym i postawił pomnik na jego grobie. Tymczasem wojna trwa dalej. Urządzone w Oranji nowa naganka na oddziały boerskie nie dała zbyt świetnych skutków. Ujęto zaledwie kilkunastu wojowników, cały zaś prawie oddział wodza Menza zdołał przedrzeć się przez linie angielskie, pędząc przed sobą rozjuszone trzody. Jenerał Bruce Hamilton otoczył i zdobył mały obóz boerski, zabrawszy do niewoli kilkunastu wojowników, i w ich liczbie zięcia jen. Bothy, Harry-Emmetha.

Dzienniki włoskie podniosły z niezadowolaniem fakt przejazdu przez Rzym arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, który nie uważał za stosowne przypomnieć sobie przy tej sposobności, że w pałacu kwirynalskim mieszkają królestwo Włoch zjednoczonych. Prasa iredentystyczna już przystąpiła z tego powodu do ostatecznego pogrzebienia trójprzymierza śród-europejskiego, które, jak wiadomo, zarysowuje się i pęka wzdłuż i wszerz, gdy oto nagle gruchnęła wiadomość, że traktat przymierza odnowiono już na dalszych lat sześć. Trzeba przeto czekać długo jeszcze z pogrzebaniem tej budowy politycznej.

W Hiszpanji—przesilenie ministerjalne. Gabinet p. Sagasty podał się do dymisji, ażeby... p. Sagasta mógł utworzyć znowu gabinet, bo po za p. Sagastą niema w Hiszpanji nikogo. Powieździeli to królowej-regentce tak jego zwolennicy, jak przeciwnicy polityczni. Będzie przeto trwał p. Sagasta co najmniej do czasu koronacji króla Alfonsa, czyli do 17 maja.

Emanypacja kobiet chińskich zaczyna się u góry. Aż pięć księżniczek krwi szlachetnej dynastji dzieci nieba naraz wyruszyło z wizytami do poselstw europejskich. Ubawili się doskonale i nie przestawały szczebiotać o tem, jak to dobrze, że Chiny pozostają w przyjaźni z mocarstwami zachodnimi, i jak cesarzowa Tsu-Hsi kocha Europejczyków i ich cywilizację.

J. M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niemcy. Cesarz niemiecki podziękował telegraficznie prezydentowi Stanów Zjednoczonych za gościnność, okazaną ks. Henrykowi, i za to, że wyciągnięta dłoń cesarską Roosevelt uściśnął serdecznie, po mekku. Niechaj nieba błogosławią pokojem wzajemne stosunki. Roosevelt odpowiedział: «Wizyta brata cesarskiego pozwoliła na wyrażenie serdecznego uczucia przyjaźni. Amerykanie witali w księciu Henryku jego własną osobę, a przedewszystkiem przedstawiciela narodu niemieckiego».

Anglja. Z powodu wyzywającego zachowania się posłów irlandzkich w Izbie gmin wobec odczytania przez ministra wojny depeszy Kitchenera o klęsce Methuena i wobec licznych objawów wrzenia rewolucyjnego w Irlandji, król Edward zaniechał projektowanej w roku obecnym podróży na wyspę. Lord-namietnik Irlandji urzędowo ogłosił o odroczeniu podróży królewskiej. Większość prasy angielskiej i europejskiej wyraziła życzenie, żeby rząd angielski w odpowiedni sposób wynagrodził boerów za wspaniałomyślny czyn wypuszczenia lorda Methuena na wolność.—Dzienniki podają pogłoskę o projektach małżeńskich pomiędzy niemieckim następcą tronu i jedną z księżniczek angielskich.

Austria. Minister wojny wygłosił w Izbie deputowanych mowę, w której oświadczył się przeciwko wprowadzeniu dwuletniej służby wojskowej, gdyż w teraźniejszych okolicznościach mowy być nie może o zmniejszeniu lub osłabieniu siły zbrojnej państwa. Niesłusznym jest zarzut, jakoby rozwielenie siły armji przynosiło uszczerbek handlowi. Jeżeli co paraliżuje handel, to waśń narodowościowa, wrząca pomiędzy ludami Austrii. Armja austriacko-węgierska otacza opieką swojego ramienia wszystkie narodowości bez różnicy i spełni w danej chwili wiernie swój obowiązek.

Włochy. Prezes ministrów, Zanardelli oświadczył w parlamencie, że gabinet na życzenie króla pozostaje przy władzy. Izba deputowanych uchwaliła wotum zaufania dla rządu. Minister spraw zagranicznych, Prinetti, oświadczył: Tak szczególnie przywrócone stosunki przyjacielskie z Francją nie przeszkadzają utrzymaniu tradycyjnej przyjaźni pomiędzy Anglią a Włochami. Stosunki włosko-angielskie nie były nigdy serdeczniejszymi, niż w obecnej chwili. Dzienniki włoskie donoszą, że pomiędzy rządami Niemiec, Włoch i Austrii toczyły się w ostatnich czasach poufne rokowania w sprawie odnowienia traktatów handlowych, tudzież trójprzymierza. Co do najważniejszych punktów osiągnięto zgodę. «Corriere della Sera» donosi: «Nie ulega wątpliwości, że trójprzymierze odnowiono na lat sześć. Traktat ma wszelkie charakter wyłączenie obronny i uwzględnia pokojowe intencje rządów sprzymierzonych».

Serbja. Prasa zagraniczna zajęła się żywo małżeństwem ks. Mirka czarnogórskiego z Natalją Konstantynowicz, krewną króla Aleksandra. Przepowiadają, że związek ten ma na celu przesadzenie dynastji czarnogórskiej na tron serbski. «Neue Freie Presse» nazywa te przypuszczenia przesadnymi. Rozstrzygnięcie sprawy następstwa tronu w Serbji zależy przeważnie od Rosji i Austrii. Serbskie kółła rządowe oświadczyły, że zamierzone małżeństwo nie ma żadnego znaczenia politycznego.

KORESPONDENCJA REDAKCJI.

OD REDAKCJI.

Upraszamy sz. naszych współpracowników i korespondentów, aby nie przysyłali nam rękopisów i fo-

tografij w przesyłkach pocztowych (colis postaux), bo odbiór takich przesyłek jest połączony z długimi i uciążliwymi formalnościami celnymi. Rękopisy i fotografie najlepiej posyłać pod opaską (banderola) rekomendowaną, wycinki z gazet—w kopertach.

W. Marja B. Omyliła się sz. pani. Zamieszczony na karcie albumowej przeszłotygodniowy (Nr. 9) numer „Kraju“ pejzaż kolorowy M. Wywińskiego oddwarza malowaną z natury aleję parku Pawłowickiego (rezydencja hr. Maksa Mielżyńskiego).

SKOROWIDZ ADRESÓW.

DR. MED. KAZIMIERZ NOISZEWSKI powrócił już na Pohulanę i przyjmuje codziennie chorych na oczu: na Pohulanie od 11 r. do 2 pop., w Dźwińsku od 4 1/2 pop. do 7 w.

LEKARZ - DENTYSTA - ALEKSANDER ZAWADZKI w Warszawie, Jerozolimka № 49, róg Marszałkowskiej.

LEON PAPIESKI, Adwokat przysięgły (h. wice-prokurator Odeskiego Sądu Okręgowego), otworzył kancelarję w Warszawie na Włodzimierskiej № 6.

KRONIKA.

Kościół i duchowienstwo.

* Pod tytułem „Papieżstwo a polacy“, „Koeln. Ztg.“ zamieszcza zjadliwy artykuł, nacechowany niechęcią z powodu obchodu jubileuszu papieżkiego w Poznaniu. Twierdzi, że pruscy polacy usiłowali w niedzielę wywieszać białe-czerwone chorągwie. Władze zabroniły tego. „Wprawdzie — pisze Koeln. Ztg.“ — usiłowano to zestawienie polskich barw „niewinnie“ wytłumaczyć tem, iż Papież nosi białe szaty z czerwonym brzegiem (!), lecz władze nie zapuszczały się w tłumaczenie i dozwalały tylko na chorągwie pruskie i niemieckie oraz papieżkie. Ani pisma poznańskie, ani żaden zresztą inny dziennik niemiecki nie wspomina o zażegnaniu z powodu chorągwi polskich i o „przebiegłości“, z jaką je usiłowano przemycić.

* Charakteryzując rząd Papieża Leona XIII, „Nowosti“ piszą: „Rozpoczynając 25-ty rok swej różnorodnej i sławnej działalności, Jego Świątobliwość Leon XIII może ze spokojnem sumieniem być zadowolonym z osiągniętych przez się wyników. W granicach możliwości dokonał wszystkiego, co tylko było w jego mocy, ku pożytkowi Kościoła i katolików wszystkich narodowości. Papież-filozof, Papież-polityk i dyplomata jednocześnie był i jest Papieżem pokoju w najlepszym znaczeniu tego słowa“.

* Doroczne świętopietrze przyniosło w roku zeszłym 1,840 tys. franków dochodu. Z tego największa suma: 248 tys. franków przypada na Włochy; w Austrii zebrano 212 tys., w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej 199 tys., w Niemczech 176 tys., w Hiszpanji 161 tys., w innych państwach europejskich razem 534 tys. Z Francji nadpłynęła do Rzymu zaledwie nieznaczna kwota. Względnie w roku ubiegłym dochód ze świętopietrza był w porównaniu z innymi latami niezmiernie niski.

* Z okazji 25-letnich rządów Leona XIII ofiarował książę arcybiskup olomuński, ks. dr. Kohn, 360 tys. kor. na różne cele humanitarne, między innymi 200 tys. kor. na założenie ochrony dla sierot w Broznicach, miejscowości urodzenia ks. arcybiskupa.

* Według słów paryżskiego dziennika „Journal“, Papież zamierza pójść za przykładem Austrii i zawiązać napowrót stosunki dyplomatyczne z Meksykiem, przerwane po śmierci nieszczyśliwego cesarza Maksymiljana. Pierwszy odnośny krok został już uczyniony, i to w ten sposób, że Leon XIII wysłał do jenerała Porfirio Diaz, prezydenta meksykańskiej republiki, własnoręcznie napisany list.

* Zmiany duchowieństwa w archidiecezji mohylowskiej w r. 1902: Przeniesieni proboszczowie parafij: ks. Janukowicz — z Kamienica do Penzy; ks. Lewgowski — z Witebska do Symbirski; ks. Medziński — z Helsingforsu do Zamosz (gub. wit.); ks. Przemocinski — z Bychowa do Witebska (kość. św. Barbary); ks. Mackiewicz — z Symbirski do Bychowa (gub. moh.); ks. Bandzo — z Ufy do Łohojoska (gub. mińska); ks. Cybuliewicz — z Mściśławia do Ufy; ks. Missiuna — z Galan do Rykowa (gub. wit.); ks. Wirkietis — z Prezmy do Sternian (gub. wit.); ks. Siemnicki — ze Sternian do Prezmy; ks. Graszys — z Babinowicz do Słucka (gub. mińska). Wikariusze mianowani proboszczami: ks. Wańkowicz od św. Stanisława w Petersburgu — proboszczem w Lenbinie (gub. mińska); ks. Symonowicz z cmentarza Wyborskiego w Petersburgu — proboszczem w Mściśławiu (gub. moh.); ks. Matulanis z Warklan — proboszczem w Bykowie (gub. wit.); ks. Szwegdo z Wielon — proboszczem w Galanach (gub. witebska); ks. Rodziejewicz, czasowo zamieszkały w Petersburgu przy kościele św. Katarzyny — proboszczem w Helsingforsie. Mianowani dziekanami: ks. Mackiewicz — rohaczewo-bychowskim, i ks. Symonowicz — mściśławskim (oba w gub. mohylowskiej). Przeniesiony wikariusz z Krasławia ks. Tirilis — na taką samą posadę do Petersburga, do kościoła Panny Marji na cmentarzu.

* W poniedziałek, wtorek i środę Wielkiego tygodnia odbędą się rekolekcje dla młodzieży w kościele św. Katarzyny w Petersburgu.

Prawo i sądy.

** Ogłoszonem zostało dopełnienie do ustawy paszport., mocą którego kobiety zamężne, których mężowie są uwięzieni, mogą otrzymywać paszporty z właściwych urzędów bez bezzwolnienia mężów; paszporty takie mają ważność aż do czasu odbycia przez mężów kary.

** Senat niedawno wyjaśnił, iż kolej żelazna, na zasadzie 156 art. przep. o ruchu kolei, jest odpowiedzialną za szkody, wyrządzone przez przejeżdżanie przez pociąg bydlę, pomimo to, że właściciel bydlę, który pozostawił je na linii kolei bez dozoru, może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej na mocy art. 76¹ ust. sędz. pok.

** Izba sądowa wileńska uchyliła wyrok sądu okręgowego mińskiego, skazujący lekarzy Offengendena i Schultza na 2 miesiące aresztu za odmówienie pomocy lekarskiej niebezpiecznie choremu; wyrokiem Izby oskarżeni zostali skazani na 10 rb. grzywny za to, iż na wezwanie nie udali się do chorego, wskazując bez świadomości o tem, iż stan jego był groźny.

** Według doniesienia „Lifl. Gub. Wiedom.“ — włościanin R. Dzenne został ukarany pieniężnie za to, że bez pozwolenia władz d. 27 stycznia odbyło się w domu zarządzanym przez niego, w Rydze, zebranie różnych osób w liczbie 64.

** W Syromiatnikach pod Moskwą 19-letni mieszczanin, Wasil Kurenkow, w celach grabieży zamordował gospodynię, u której mieszkał na stacji, niejaką Loginową, porabiał toporem biegnącą na pomoc matkę 13-letnią dziewczynkę i powiesił po obu stronach łóżka dwoje młodszych dzieci. Ponieważ zabójca z udanym krzykiem rozpacz sam doniósł policji o zbrodni w mieszkaniu Loginowych, potrafił on na pewien czas odwrócić od siebie podejrzenia. Obec-

nie dzienniki donoszą, że pod ciężarem ujawnionych przez policję poszlak, przyznać się musiał do zbrodni.

** W tych dniach przed sądem przysięgłych w Petersburgu stanęła żona farmaceuty Krajewskiego (francuzka) i kochanek jej Wedernikow pod zarzutem podpalenia domu w Oziarkach w celu otrzymania asekuracji, przyczem w płomieniach zginął mąż oskarżonej, Krajewski. Bohaterowie procesu, to szansonista ogródkowa i rycerz zielonego stolika, gracz, szczęśliwy w hazardzie, z którego dochody szły na zbyt niewygodne utrzymanie kochanki i pobłażliwego małżonka. Krajewska nie była stałą w uczuciach i niebawem nad Wedernikowa zaczęła przenosić swojego stangreta. Powodowany zazdrością, nieszczyśliwy kochanek zeznał przed sądem, że to on w porozumieniu z Krajewską i z jej namowy podpalił mieszkanie — i oboje zostali uwięzieni. Śledztwo sądowe osłabiło dowody oskarżenia; pożar nie mógł być aferą korzystną, sprzęty Krajewskich były kosztowne, wartość więcej, niż premjum; wykryła się tylko nieudolność organizacji straży ogniowej ochotniczej. Sędziowie przysięgli nie uznali za dowiedziony samego faktu podpalenia i oboje oskarżeni zostali uwolnieni od odpowiedzialności.

** Najwyższy trybunał w Wiedniu na tajnej rozprawie potwierdził wyrok sądu lwowskiego, uwalniającego Stillera, oskarżonego swego czasu o kradzież planów twierdzy krakowskiej. Akta całej sprawy nie zostały jednak odesłane sądowi lwowskiemu, lecz odstąpione wprost ministerstwu wojny, w którym toczą się obecnie rokowania co do wysokości odszkodowania dla Stillera. Ministerstwo wojny sumę odszkodowania oznaczyć chce na 30 tysięcy koron.

** W tych dniach Senat wyjaśnił, że oskarżony o występki, za który grozi kara pieniężna lub areszt, w razie niełożenia wymaganej przez sędziego pokuty kaucji, nie może być uwięziony.

** W głośnej sprawie b. komisarza włościańskiego w pow. arensburskim (wyspa Esel) J. Kosackiego, Senat odrzucił skargę apelacyjną oskarżonego.

Szkoły i młodzież.

** Uniwersytety w Niemczech liczą razem 35,518 studentów, 8,492 wolnych słuchaczy i 1,216 studentek i słuchaczek. Najwyższe cyfry wykazuje uniwersytet berliński: 6,857 studentów, 6,235 wolnych słuchaczy i 611 kobiet; po nim najliczniejsze są wszechszkoły: w Monachjum z 4,203 studentami, 256 wolnymi słuchaczami, a nadto 29 kobietami, i w Lipsku z 3,748 studentami, 471 wolnymi słuchaczami i 73 kobietami. Uniwersytety w Bonnji, Wrocławiu, Hali i Tubingen mają po 2 tys. przeszło studentów: w Getyndze, Fryburgu, Würzburgu, Strassburgu, Marburgu, Erlandze, Giessen i Królewc — po 1,000—2,000, wreszcie w Kolonji, Monasterze, Gryfji, Jenie i Rostoku po mniej, niż tysiąc. Razem jest w Niemczech 21 uniwersytetów.

* Redaktor „Grażdanina“ ks. Mieszczerzski, rzuca taką myśl: „Dlaczego nie przystąpić zaraz do założenia gdzieś w bliskości linii kolejowej, np. wydziału prawniczego dla 1,000 studentów, na zasadach uniwersytetów w Cambridge lub Oksfordzie, ale tylko z podziałem studentów na stypendystów i utrzymujących się swoim kosztem oraz z zastosowaniem przepisów jednakoowej swobody i karności? Przewidując zarzut, że nie można będzie znaleźć profesorów, ale jest to zarzut podrzędny i względny, gdyż oczywiście cała sprawa polega na uposażeniu. Gdyby rektorowi wydziału dać pensji 12 tys., profesorom po 10 tys., a docentom po 8 tys. rb. rocznie, to niewątpliwie można by dobrać skład osobisty pedagogów bardzo dobry“. Według ks. M. młodzież wtedy rozwijałaby się w pomyślnych warunkach fizycz-

ných i odsunięta została od demoralizujących wpływów stolicy.

* Od lat paru władza uniwersytecka w Warszawie ogłasza publicznie, komu udzielane są stypendia z funduszu im. Kopernika, zgodnie z § 6 i 8 przepisów tegoż funduszu. Na bieżący rok przyznano je studentom wydziału matematycznego: Stan. Muszkatowi z 3 kursu i Franc. Drozdowiczowi z 2 kursu po 300 rb. Prócz tego przyznano zapomogi jednorazowe studentom tegoż wydziału: Józ. Adamskiemu z 4 kursu 150 rb. i Kaz. Sacharce z 2 kursu 100 rubli.

* Ze Stanisławowa donoszą do piśm lwowskich, że na przedstawienie „Mężczyzna” Zapołskiej dyrektorowi gimnazjum Stanisławowskiemu i tarnopolskiego zabronili chodzić uczniom.

* Senat uniwersytetu lipskiego rozesał do wszystkich wyższych zakładów naukowych w Niemczech cyrkularz, w którym projektowanemu jest wspólne zwrócenie się z prośbą do rządu, aby zakazane było przyjmowanie do tych zakładów młodych ludzi z dyplomami gimnazjów rosyjskich. „Birz. Wied.” widząc w tem akcję przeciw słowiaństwu, robią taką uwagę: „Rosjanie winni to sobie zapisać i w sposób odpowiedni postępować z Niemcami. Czyż nie powinniśmy z Niemcami czynić w Rosji to, co oni z rosjanami czynią w Niemczech?”

* Zarząd Tow. czytelników polskiej w Ilmenau prosi nas o ogłoszenie następującego oświadczenia: „Rodakom naszym, przybywającym do Ilmenau na studia, udziela bliższych piśmiennych wiadomości lub też pierwszej pomocy na miejscu grono polaków w Ilmenau”. Adres: Polnisches Lesezimmer Ilmenau, Thüringen, Neuhaus.

Osobiste.

o Józef Pobóg-Dłużewski, radca dyrekcji głównej Tow. kred. ziemskiego, obywatel gub. warszawskiej, zmarł w Warszawie 12 lutego, przeżywszy lat 59. Sanatorium dla niezdolnych suchotników, budowane w Mrozach, otrzymało hojną po nim ofiarę. Karol i Jan Dłużewscy, spełniając życzenie ojca, złożyli na ten cel 1,000 rb.

o Konsulem Stanów Zjednoczonych amerykańskich w Warszawie, po ś. p. Rawiczu, mianowany został p. Angus Campbell, ożeniony z warszawianką, panną Neprosówną. Nowy konsul, obecnie obywatel amerykański, przedtem nosił nazwisko Finkelsztajna, urodził się w osadzie Lipsko, w gub. suwalskiej.

o Ostatnie wiadomości z Jalty na Krymie o stanie zdrowia hr. Lwa Tołstoja brzmią bardzo pomyślnie. Zapalenie opłucnej już ustąpiło i puls się wzmocił.

o We czwartek d. 13 b. m. wiecz. członkowie kieleckiego Towarzystwa rolniczego dali w Kielcach biesiadę na cześć swego prezesa, p. Eastachego Dobieckiego.

o Redaktor „Kurjera Polskiego”, p. Ludwik Straszewicz, wyjechał zagranicę na miesiąc dla poratowania zdrowia.

Różne.

W odpowiedzi na protest posła Głębockiego, dotyczący systemu germanizacyjnego w Poznańskim, minister spraw wewnętrznych, bar. Hammerstein, wyraził się w sejmie pruskim między innymi, że Napoleon I. kokietował się polakami, a głównie z polkami. Nie wchodząc w ocenę tego, iście pruskiego dowcipu, godzi się przypomnieć kto kokietował Napoleona I. W liście do żony swojej, Józefiny, datowanym w Tyliczu d. 8 lipca 1807 r., pisze między innymi: „Królowa pruska jest istotnie urocza; kokietuje mnie niestannie, ale nie bądź zazdrosną; podobny jestem do ceraty, po której wszystko spływa. Zresztą zbyt kosztowna byłaby dla mnie w tym razie rola galanta”. Inne jeszcze wspomnienie z pobytu armii Napoleońskiej w Prusach pozostawił Aleksander Picard, żołnierz

„wielkiej armii”, w pamiętniku swoim, spiswanym w Saratowie, gdzie był jeńcem podczas kampanji rosyjskiej: „Kto w Prusach pozostanie choćby dzień jeden, ma już kochankę. Prusy są domem rozpusty Europy. Wirtemberki, niemki—ale na czele stoją prusaczki; te są najkochliwsze”. Odwieczna historia żółtą i belki.

o Czasopisma wspomnieliśmy temi dniami o dwóch niepowszednich pamiątkach. Jedną z nich pozyskało właśnie paryżskie Muzeum wojskowe. Jest to karabin, którego postrzałem raniłony był—jeden raz w życiu—Napoleon w roku 1809 w Raciborzu. Drugą pamiątkę pokazywali amerykańskie księciu Henrykowi pruskiemu w Albany. Była to szabla Waszyngtona, której nikt po śmierci wielkiego męża nie dobył z pochwy, bo umierając Waszyngton był przykasz, aby jedynie dla obrony ojczyzny z pochwy ją dobyto. Ale książę pruski skoro tylko szablę za rękojeść ujął—nuż dobywać. Nie śmiano go powstrzymać, ale zgorszono się wielce tym brakiem pietyzmu.

o Dziennik wiedeński „Reichswehr” donosi: Na bankiecie prasy w New-Yorku odczytano żartobliwy list, który wysłał później ks. Henryk do cesarza Wilhelma. „Dziś—pisał książę—jadłem obiad z redaktorami amerykańskimi. Przedemną nikt z Hohenzollernów tego nie zrobił, aczkolwiek rodzina nasza dość często żywi dziennikarzy, co prawda... w areszcie”.

o Miss Stone—jak donosi „Daily Tel.”—zrobiła na swem uwieszeniu znakomity interes, mianowicie otrzymała od pewnego amerykańskiego nakładcy 10 tys. dolarów (20 tys. rubli) za opowieść o swem uwieszeniu i losach. Miss Stone ma następnie odbyć podróż po Stanach Zjednoczonych, za którą ofiarują jej 30 tys. dolarów. Zyski z tej podróży zamierza ona obrócić na cel dobroczynny, a mianowicie na zakładanie na Wschodzie szkół przemysłowych. Według doniesienia „Now. Wremieni”, miss Stone ostatnie chwile swej niewoli spędziła na terytorjum bułgarskim. Trzymali ją w niewoli prawosławni bułgarzy, prawdopodobnie członkowie komitetu macedońskiego, ludzie dość wykształceni, mówiący po angielsku, zaopatrzeni w książki rosyjskie i inne.

Sport.

o Ministerstwo spraw wewnętrznych rozesał okólnik do pp. gubernatorów Królestwa Polskiego względem ustanowienia bardziej ścisłego nadzoru nad wykonywaniem przepisów myśliwskich i niedopuszczaniem polowania bez ustanowionych świadectw.

o Międzynarodowy turniej szachowy w Monte-Carlo ukończony został we środę. Z pomiędzy 20 uczestników nagrodę pierwszą 5 tys. fr. zdobył Maroczy, drugą—3 tys. fr.—Pillsbury, trzecią—2 tys. fr.—Janowski, czwartą—1,500 fr.—Teichman. Piątą, szóstą i siódmą nagrody, razem 2,250 franków, podzielili między sobą mający równą ilość wygranych partyj: Wolf, Schlechter i Tarasch.

o Uczestnik konkursu międzynarodowego fechtunkowego, odbytego d. 1 b. m. w Pesczcie, p. Bolesław Korab (pseudonym), warszawianin, uczeń p. Juliana Michaux, został odznaczony medalem złotym.

o Zapowiedziana na maj i czerwiec wystawa sportowa w Petersburgu, w maniezu Michajłowskim i na przyległym do niego placu, składać się będzie z 10 oddziałów: 1) automobilizm (motory, automobile, łódki z motorami); 2) welocypedy; 3) aeronautyka (balony, przybory, pocztą gołębia); 4) wioślarstwo; 5) sport koński (wroby siodlarskie, sanie i amerykański wyścigowy); 6 i 7) lekka i ciężka atletyka; 8) myślistwo; 9) żeglarswo; 10) fotografia amatorów, zdjęcia przeważnie treści sportowej. Tymczasowy adres komitetu wystawy: Kowieński pierzeulok. 29.

W Rydze w r. b. odbędzie się 16 dni wyścigowych od 26 maja (8 czerwca) do 8 (21) sierpnia. W roku zeszłym Tow. wyścigowe w Rydze rozegrało 53 nagrody na sumę 34 tys. rb.

BIURO INFORMACYJNE

PRZY REDAKCJI „KRAJU”

udziela odpowiedzi na zapytania czytelników, mające charakter ogólniejszy i dotyczące stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p.

1096. (W. Br. Podg. w Ol.). Przepisy o nagrodach za pracę nad sztuczną kulturą lasów zostały ogłoszone w Nr. 35 „Sobr. Uzak.” z r. z. Nagrody ustanowione zostały 4 klas i składają się z medali złotych i srebrnych, cennych przedmiotów sztuki i nagród pieniężnych do 300 rb. O nagrody mogą starać się właściciele i dzierżawcy posiadłości ziemskich, drobni posiadacze ziemscy, gromady włościańskie i oddzielni włościanie. Medale złote i przedmioty sztuki mogą być udzielane osobom, które zaleściły sztucznie nie mniej jak 50 dzies. gruntu, zaś srebrne medale i nagrody pieniężne mogą być wydawane drobnym posiadaczom ziemskim, którzy zaleśli 5 dziesięcin gruntu, gromadom włościańskim za 10 dzies., oddzielnym zaś włościanom za 1/4 dzies. ziemi, albo za wysadzenie drzewami owocowymi lub leśnymi pół i dróg publicznych, w ilości najmniej 5 tys. drzew dla drobnych posiadaczy i gromad wiejskich, a dla gospodarstw włościańskich 500 drzew. Niższe nagrody są też wydawane za wzmocnienie brzegów parowów i unieruchomienie piaszków przez zasadzenie drzew i krzewów. Przepisy te mają moc obowiązującą we wszystkich miejscowościach, gdzie działa ustawa o ochronie lasów z r. 1893. Do planacji leśnych, dających prawo do uzyskania nagrody, nie są zaliczane te grunty, które na mocy ust. o ochronie lasów podlegają przymusowemu załesieniu (pp. 2 i 7 art. 803 i art. 807 ust. leśn.). Podania o nagrody należy wnieść do zarządu dóbr państwa; ten deleguje dla sprawdzenia nadleśnego lub rewizora lasów rządowych i sporządzone przez nich akt odsyła do komitetu leśnego, który opinię swoją, dokładnie umotywowaną, odsyła do departamentu leśnego. Za drobnymi właścicielami ziemskimi, w myśl tych przepisów, są uznawani posiadacze 65 dzies. w Królestwie Polskim, z wyjątkiem gub. łomżyńskiej i suwalskiej, w gub. kijowskiej (z wyjątkiem pow. radomyskiego) i podolskiej, 80 dzies. w gub. łomżyńskiej i suwalskiej, Kraju nadbałtyckim i w gub. wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, witebskiej i wołyńskiej, z wyjątkiem 3 powiatów; 100 dziesięcin w 3 pow. wołyńskiej gub.: kowelskim, owruckim i rowieńskim, w radomyskim gub. kijowskiej i w gub. mińskiej i mohylewskiej.

1100. W. H. Kwiatk. w Niemc. Podług naszych informacji, podana w niektórych pismach wiadomość o zamierzeniu utworzenia posad inspektorów górniczych i ich pomocników w każdej kopalni—jest pozbawiona podstawy.

ZAŚLUBINY I ZARĘCZINY.

W dniu 11 marca r. b. w Warszawie odbyły się zaręcziny p. Ireny Wężyk-Rudzikiej, córki Jana i Marii z Gedrus-Ejdzioł-wiczów, z p. Teodorem Mielżyńskim, synem ś. p. Antoniego Mielżyńskiego i Felicji z baronów Herbesthal, właścicielką Majejowa w gub. łomżyńskiej.

Dnia 15 marca odbył się w Nizy ślub hr. Władysława Pusłowskiego z księżniczką Krystyną Pignatelli.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT FERDYNANDA HOSIOKA, wydawcy „Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży” w Warszawie, przy ul. Senatorskiej Nr. 496, posiada zawsze na składzie wszelkie nowości literackie we wszystkich językach. Przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma w kraju i zagranicą, wychodzące. Główny skład Globusów, Tellurji i Planetarji.

Warszawski Zakład Ginekologiczny

Marszałkowska 45.

D-rów Boryssowicza, Brühla, Gromadzkiego, Iaskłowskiego, Kuniewicza, Natansona, Thiemego, Tyrchowskiego i Winawera, przyjmuje osoby, dotknięte chorobami kobiecymi, jako też spodziewające się słabości. Opłata dzienna od 1.50 do 5 rb.

Potrzebna służąca

polka, dobrze gotująca, na wyjazd do Królestwa. Dobre świadectwa i rekomendacje są niezbędne. Zgłaszać się: Petersburg, ul. Furzacka 25, mieszk. 2.

PIESKOWA SKAŁA.

Dowiadujemy się, że w celu zakończenia interesów rodzinnych, majątek Pieskowa Skała, pod Ojcem (gub. kielecka, powiat olkuskim, od stacji dr. żel. Olkusz 15 wiorst, a 3 i pół mili od Krakowa)

jest do sprzedania

za cenę okazanie niską. W Pieskowej Skałce znajduje się słynny zamek historyczny, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego. Pierwotnie siedziba wojewody krakowskiego Piotra Szafrana, zamek kolejną losów przechodził w ręce Zebrzydowskich i Wielepolskich, a ostatni pan tego zamku, ordynat Sobiesław hr. Mierosowski, znacznym nakładem doprowadził do zupełnie dobrego stanu tę wspaniałą naszą pamiątkę dziejową.

Zamek składa się: a) z budynku głównego 2-piętrowego: kilkanaście pokoi, kilka sal, kaplica, ogród na skałce za kaplicą. Z wieży zamkowej wspaniały widok na słynną Maczugę Herkulesa i dolinę Prądnika. Na parterze mieszczą się kuchnia, piekarnia, spiżarnia, stajnie, piwnice, składy, mieszkania dla służby; b) z budynku bocznego, także 2-piętrowego: kilkanaście pokoi, w baszcie ogródek, weranda. Na parterze kuchnia, składy, magle. W dolinie pod zamkiem mieszczą się 4 wille oraz 2 hotele dla letników, ogółem 40 pokoiów, kuchnie, stajnie, składy i t. d. Dobra Pieskowa Skała zajmująca przeszło 400 morgów obszaru, w tem 35-letniego lasu sosnowego 280 morgów, reszta łąki i grunt orny.

Bliższych informacji zasięgnąć można w domu bankowym „Pilawitz, Wilczyński i S-ka” w Warszawie, Erywańska Nr. 6, lub u wice-konsula hiszpańskiego p. Wacława Wilczyńskiego, Al. Jerozolimskie 37.

W Warszawie, Miodowa 2, można się dobrze tanio ubrać. (618)

NEKROLOGJA.

W Krakowie d. 11 lutego 1902 r. zmarła, przeżywszy lat 68,

ś. p. Teofila z Górskich Pietraszkiewiczowa.

Wzorną żoną i matką, dzielna obywatelką kraju, z sercem, wrażliwym na cudzą niedolę, zostawiła po sobie w kołach bliskich i znajomych uczucie głębokiego i szczerzego żalu.

LISTA ZMARŁYCH.

† Andrychiewicz Władysław, dyrektor Tow. ubezpieczeń „Przeźorność”, redaktor „Gazety Sądowej”, lat 54 — w Warszawie. Blaha Erhard, technik, l. 56 — w Warszawie. Pobóg-Dłużewski Józef, radca Dyrekcji gł. Tow. kred. ziemskiego, l. 59 — w Warszawie. Podbielski Edward, urzędnik kanalizacji, l. 62 — w Warszawie. Rzączyński Władysław, współwłaściciel zakł. fotogr. pod firmą „Pusch”, l. 38 — w Warszawie. Smoliński Jan-Paulin, obyw. gub. płockiej, l. 72 — w Warszawie.

† Bogdaszewski Józef, adv. przys. — w Kaliszu. Kostkiewicz August, l. 63 — w Kursku. Łabęcki Józef, obyw. ziemski, l. 57 — w Lublinie. Prozor Konstanty — w Wilnie.

† Konopkova Maria z bar. Horochów, l. 66 — w Krakowie. Łubieński hr. Ewelina z Kirwanów — w Londynie. Odrowąż-Waligorska Filipina z Mayzłów, l. 58 — w Krakowie. Poświkowa Bronisława z Bieżyńskich, artystka-malarka, lat 46 — we Lwowie. Załęska Teofila — w Nowym-Sączu.

EKONOMISTA.

STOSUNKI HANDLOWE Z AUSTRIĄ.

Projekt rozszerzenia stosunków handlowych z Austrią, komentowany w ostatnich czasach dość często w prasie naszej, wchodzi już na tory realne. Za zgodą ministra spraw zagranicznych Austro-Węgier, hr. Goluchowskiego, urzędnik jeneralnego austriackiego konsulatu w Warszawie, p. Kazimierz Pohl, przybył do Wiednia, celem zaznajomienia miejscowych handlowo-przemysłowych sfer z warunkami handlu z Rosją wogóle, a z Królestwem Polskim w szczególności. W tym celu p. Pohl wygłosił dwa odczyty, jeden w lokalu niedawno zawiązanego austriacko-rosyjskiego związku handlowego, a drugi w gmachu dolno-austriackiego związku przemysłowego, w których przedstawił braki dzisiejszej organizacji handlowej austriacko-rosyjskiej, wskutek czego import Niemiec do Rosji przenosi 8-krotnie wartość przywozu towarów z Austrii. Do braków tych należy: nieznanostwo rynków polskich i rosyjskich, brak doświadczonych komiwojażerów, nieczynienie żadnych kroków w celu zaznajomienia kupców rosyjskich i polskich z próbkami towarów i t. p.

Ponieważ chwila obecna nadaje się wyjątkowo do zawiązania stosunków bliższych z Rosją wogóle, a zwłaszcza z Królestwem, z powodu wznawiania układów celnych i pewnego zwrotu opinii przeciwko wyrobom niemieckim, preto p. Pohl radzi skorzystać ze sposobności, a jako środek, ułatwiający nawiązanie stosunków, proponuje utworzenie w Warszawie austriackiej agentury handlowej, pozostającej pod kontrolą austro-węgierskiego jeneralnego konsulatu. Agentura miałaby za zadanie dostarczać kupcom z Cesarstwa i Królestwa wiadomości o stanie przemysłu Austro-Węgier oraz informować eksporterów austriackich o potrzebach rynków polskich

i rosyjskich. Obok tego agentura mogłaby okazać wielką pomoc, następującą firmom austriackim pewnych agentów i przedstawicieli, rozstrzygając spory i nieporozumienia i t. d.

Referaty p. Pohla przyjęte zostały przez liczne zgromadzone audytorjum bardzo przychylnie, i projekt utworzenia agentury handlowej w Warszawie został jednomyślnie zaaprobowany. Ponieważ sama misja p. Pohla do Wiednia miała charakter poniekąd urzędowy, a na zebraniach, obok przemysłowców i kupców, byli urzędowi delegaci austriackich ministerstw: spraw zagranicznych p. Herwelt i spraw wewnętrznych—p. Zaleski, jeneralny konsul rosyjski p. Kudriawcew, wreszcie wielu posłów i członków Izby panów, przeto uchwały te nabierają znaczenia realnego i urzędowego. Ich można oczekiwać w prędkim już czasie.

J.

WYSTAWA W PAŁACU TAURYZDKIM.

Wyjątkowe poparcie i wyróżnienie przypadło w udziale pierwszej wszechrosyjskiej wystawie przemysłu i rękodzielnicstwa domowego oraz ludowego. Ministerstwo rolnictwa, za pośrednictwem specjalnych wezwań lub delegatów, zachęcało lub zapraszało do wzięcia w niej udziału; asygnowano kilkadziesiąt tysięcy rb. na urządzenie wystawy; wyznaczono dla niej ogromny pałac Tauryzdki; zniszczono dla wystawców wszelką opłatę za miejsce; protektorat nad wystawą raczyła przyjąć Najjaśniejsza Pań Aleksandra Teodorowna.

Przemysł i rękodzieła domowe, t. zw. „kustarne”, zatrudniają w państwie od 7 do 8 milionów ludzi, zapewniając im, zwłaszcza podczas długich zim, dach nad głową i chleb powszedni; przemysł ów i rękodzieła, uprawiane już od setek lat, dają dziś ludności około 500 milionów rubli czystego zysku. Wystawa w pałacu Tauryzdki daje tym cyfrowi poglądowy komentarz. Ow „kustarny” przemysł państwa rosyjskiego—to istotnie w pełnem rozumieniu słowa potężny czynnik ekonomiczny, zasługujący ze wszech miar na próby systematycznego popierania, które zaczynają przypadać mu w udziale, a niewystarczające są jeszcze dla tej wszechstronnej i imponującej wytwórczości. Stojąc w pośrodku tej wystawy Tauryzdkiego pałacu, rozumiemy dopiero, jak, w stosunku do takich wysiłków mrowczej pracy ludzkiej, niewystarczającymi są jeszcze istniejące tu i owdzie muzea, zapomogi w formie obstarunków skarbowych, ustanawiane pośrednictwa w kupnie i sprzedaży; rozumiemy, jakie mogłyby mieć np. znaczenie tani kredyt dla tych warstw ludności, pracowitych, zaniemych w rękodziele, zdolnych a niemogących porzucić wielu wyrobów swoich tradycyjnego typu i zakresu.

I oto jednak, pomimo tradycyjnych wielu warunków, wśród których istnieje i rozwija się przemysł domowy i ludowy od Archangielska do Taszkientu, pokazany nam metodą poglądową całokształt tej różnorodnej wytwórczości, wywołuje—inaczej a bezstronnie wyrazić się nie umiemy—imponujące wrażenie.

Wystawa wywołuje wrażenie takie: mnogość wyrobów, różnorodność ich, wreszcie nadszpejdzianych szereg wyrobów bądź bardzo dobrych, bądź pięknych. Skała tego „kustarnego” przemysłu, przynajmniej trzeba—ogromna. Nie wyłącznie lud wszystko tu wyrabia, ale trzy czwarte okazów powstało

z pod rąk niewfachowców, na warsztatach prywatnych. To wszystko—*drobne* rękodzieła, ale wytwarzają *dużą* mozaikę. Dość rzucić tylko okiem dokoła, notując w przelocie „specjalności” różnych dzielnic. Oto płótna z Jarosławia i Kostromy; oto wyroby z Inu z okolic Niżnego Nowgorodu; oto tkaniny z welny, wyrabiane z równą dokładnością na Kaukazie i dokoła Wiatki; oto koronki riaszańskie; oto szczotki wologodzkie; oto ślusarskie wyroby, a dalej noże i samowary, co rozchodzą się szeroko z gub. smoleńskiej, kurskiej, tulskiej; oto permskie wyroby ze skóry; oto obrazy święte, harmoniki, zabawki i meble z okolic Moskwy, Tuły, Włodzimierza; oto wologodzkie rzeźby w drzewie i jedwabnicze wyroby z Taszkentu, połtawskie garnce, kurlandzkie koszykarstwo, przepysne bawełniane tkaniny, meble i wyroby z żelaza fińskie; oto wyroby tkackie i naczynia nadesłane przez emira Buchary...

Poszliśmy szukać okazów rękodzielniczych z Królestwa Polskiego. Dużo potrzeba dobrej woli, aby zwrócić na nie uwagę i zatrzymać się wśród czworoboku polic, na które zrzucono to, co dziesięć guberni Królestwa produkuje w zakresie domowego i ludowego przemysłu. Wystąpiło Królestwo bardzo skromnie, bardzo ubogo. Czy dlatego, że — jak objaśnia w katalogu Warszawski oddział dla pop. rosyjskiego handlu i przemysłu — rękodzieła w Królestwie upadają wobec konkurencji fabrycznej? A może dlatego, że przemysł domowy Królestwa nie posiada żadnej subwencji dla swego rozwoju? Reprezentacji oddziału przemysłu domowego Królestwa podjął się, na prośbę prezydium warszawskiego oddziału T. P. H., p. Lubomir Dymśa.

Natomiast poszczęściło się gub. mińskiej. Wszystko, co delegat ministerstwa wybrał na zeszłorocznej wystawie w Mińsku, oddane zostało pod pieczę i rozporządzenie ks. Hieron. Druckiego-Lubeckiego, który sam osobiście dozorował tu w Petersburgu zgromadzenia i urządzania oddziału gub. mińskiej. Rzecz prosta, wobec sąsiedztwa np. Finlandji lub Taszkentu, oddział miński nie jaśnieje, ale bardzo dodatnie sprawia wrażenie pełnością wszechstronną okazów, gustownym i umiejętnym ich zgrupowaniem. Pozwolimy sobie zaznaczyć, że w dniu otwarcia wystawy J. Ces. Mość Cesarzowa wdowa Marja Teodorówna, zaszczytując łaskawie kilku pytaniami ks. Druckiego-Lubeckiego, raczyła nabyć okaz garncarski wyrobu mieszczan z Rakowa, oraz obrus z Szat.

Nawprost oddziału mińskiego, gustowny jak zawsze, i rzeczywiście wyróżniający się nawet wśród tylu okazów, rozbiła namiot swój p. Anna Moll z witebskiej Uzułmujży. Tuż opodal, ale w nieawantażownem miejscu, wzorowe jak zawsze, kory i samodzielną p. Kunatta ze żmudzkiej Szetiej. Są też, jak się zaznaczyło wyżej, tkackie wyroby z Szat p. J. Montwilli, aczkolwiek szkoda, że nadesłane w zbyt małej ilości. W tejże ogromnej sali, ustawiono dokoła basenu z wodotryskiem znakomite, coraz piękniejsze, znane meble wypatane ze Szlossberga hr. Wiktorji Zyberk-Platerowej. Stanowczo najgustowniejsze na całej wystawie, doskonale umieszczone i sprawiające rzetelny efekt.

Gub. wołyńska nadesłała przeważnie dywany, ale te giną wśród wzorzystości i jaskrawości mnóstwa tego rodzaju wyrobów. Podolski oddział cały bieleje od prym trzymających płócien, wyszywanych srebrem i złotem („bombaki”); jest to specjalność bardzo wdzięczna, wyróżniająca się, przyciągająca słuszną publiczność damską. Notujemy na zwiska pp. Padlewskiej, ks. Dawydowej i Jaroszyńskiej. Są też kaukazkie wyroby p. Padlewskiego i meble z łoża p. Jodki. Z kijowskich okolic nieco tylko wyrobów włóścińskich, trochę pługów, a głównie okazy wyrobów uczniów szkoły koszykarskiej hr. Strogonowowej i p. Kołokolcewowej.

Jedno z drugim, ze wspomnianych dzielnic nie nadpłynęło wiele do Taurydzkiego pałacu i ogólnie biorąc to, co jest, ginie w wystawowym natłoku. Być może, że nie przewidywano takich wystawy rozmiarów, takiej obfitości. Niech też za względne usprawiedliwienie służy, że w Taurydzkim pałacu zdołały wybić się na wierzch tylko: wschodnie wyroby jaskrawością swoją, koronkarstwo wyjątkowem mnóstwem i umiejętnym zaprezentowaniem oraz okazy z Finlandji piętnem wysokiej kultury.

J.

STOWARZYSZENIA ROLNICZE.

[W rubryce tej chcemy dawać stałe i systematyczne sprawozdania z działalności stowarzyszeń rolniczych obu typów, t. j. „Towarzystw rolniczych” i „Spółek rolniczych”. Zwracamy się do sz. zarządów tych towarzystw z prośbą, aby nam do spełnienia tego zadania, przez regularne nadsyłanie swych sprawozdań i materiałów, dopomogli.]

Płoskirowsko-Lątyczowska spółka rolna. W dniu 23 stycznia, staraniem spółki, urządzona została wystawa nasion, zakończona w dniu 4 i 5 lutego jarmarkiem na nasiona. Wystawa się pod każdym względem udała, jarmark zaś zupełnie się nie udał, bo obroty były nadzwyczaj małe. Wystawców było 18, z których 3 wystąpiło po za konkursem. Nagrody przyznano następujące: Najwyższą nagrodę, medal srebrny kijowskiego Tow. rol., przyznano produkcji nasion p. Marjana Baranieckiego z Baranówki za całą grupę wystawionych nasion. Medal brązowy przyznano p. I. Kownackiemu, za konieczną białą, wykę i kilka odmian kartofli gorzelanych. Listy pochwalne Tow. rol. otrzymali: p. L. Skoczyński z Peczysk — za bobik angielski i p. S. Kozmiński ze Zbarku — za groch zielony, rychlik. Listy pochwalne płoskirowsko-lątyczowskiego syndykatu przysądzone: p. W. Kownackiemu z Koszelówki za nasienie buraków Eckendorfa żółtych i soję czarną, p. B. Zaleskiemu z Sołomny za nasiona buraków pastewnych i fasolę perłową; p. S. Skibniewskiemu z Ochrymowic za nasiona buraków pastewnych Mamut; hr. Przedzieckiemu z Mikołajowa za groch biały i p. E. Zgórskiemu z Bogdanowic za groch zielony. Z okazów, wystawionych po za konkursem, odznaczała się płoćka produkcja nasion w Chojnowie.

Łomżyńskie Tow. roln. Lutowe zebranie odbyło się pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa p. K. Kisielnickiego. P. St. Woyczyński przedstawił od imienia delegacji służbowej projekt założenia kasy oszczędnościowo-asekuracyjnej dla niższej służby rolnej w Królestwie, uzasadniając potrzebę takiej kasy obszerniejszym referatem. Przedewszystkiem chodzi tu o to, aby oszczędzający nie ze swych oszczędności nie byli zmuszeni ofiarowywać na kapitał obrotowy i zakładowy instytucji, gdyż to należeć powinno do pracodawców, a po upływie oznaczonego czasu służby otrzymywali jednorazowo znaczną sumę. Po ożywionej dyskusji nad wnioskiem, upoważniono zarząd do poczynienia starań, aby i inne Towarzystwa rolnicze w Królestwie przyłączyły się do akcji, mającej na celu zabezpieczenie bytu na starość niższej służbie folwarcznej. Sprawą tą zajmować się będzie imieniem Towarzystwa projektodawca, p. Woyczyński. Następnie fachowy odczyt „O uprawie roli pod rośliny okopowe” wygłosił p. M. Michniewicz.

Radomska spółka rolna. Lutowe zebranie spółki zgromadziło 93 członków, w tej liczbie 3 panie, i odbyło się pod przewodnictwem bar. Heydla. Odczytane zostały trzy referaty: hr. Z. Broel-Platera „Kilka słów o melioracjach rolnych”, p. A. Łuniewskiego „O gospodarstwach rybnych” i bar. Z. Heydla „Z dziedziny hodowli bydła”. Przewodniczący oddziału melioracyjnego p. A. Karszo-Siedlewski odczytał treść kontraktu,

zawartego z p. Zarzyckim, w sprawie przeprowadzenia wszelkich melioracji rolnych w zakresie niwelacji, drenowania i t. d. Na wniosek p. Jawornickiego, postanowiono na sionę marchwi i buraków pastewnych nabywać wyłącznie u wytwórców krajowych.

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 6 (19) marca. Uspokojenie giełdy wogóle mocne, wzrostowe. Sporadycznie tylko przeważyły na krótko hamowany. Wtorkowe ceny brzmia — banki: rosyjski dla handlu zew. 300,3 — 303,5, handlowo-przem. 244 — 247, międzynarod. 351 — 357, dyskontowy 423 — 427, wileński ziemski 511 — 514, walski 411 — 420, kaspijski 4175 — 4515, udziały Nobla 10375 — 10425, akcje Nobla 520; metalurgiczne: briańskie 147 — 151, sormowskie 107,5 — 108,5, putiłowskie 76,5, baltyskie 107,5. Kolejce połudn.-wschodnie 110,5. Pożyczki premjowe: I — 470 — 472, II — 369 — 370 1/2, III — 302 1/2. Berta państwowa, bardzo długi czas utrzymująca się w obrotach na poziomie niezmiennym — 96 1/2, od tygodnia też uległa ogólnemu prądowi i we wtorek nabywaną była po 96 1/2 — 96 3/4.

Warszawa, 15 marca. Z listami zastawnymi: ziemskie 4 1/2 proc. — 98,60 — 98,70; 4-proc. — 89,05. Listy zastawne m. Warszawy 3-proc. w zaoferowaniu — 95,85; 4 1/2-proc. w transakcjach 92,85. Z akcji: nabywano Rudzkie po 716 — 717 i Warsz. Tow. ubezpiecz. po 200.

Czeki: na Londyn 94 rb. 80 k. za 10 funt. nat. na Paryż 37 rb. 65 k. za 100 franków; na Berlin 46 rb. 30 k. za 100 mar.; na Wiedeń 39 rb. 50 k. za 100 koron.

Dyskonto — w Petersburgu: Bank państwa 4 1/2 — 6, giełda 4 1/2 — 6 1/2 proc., w Londynie, Paryżu, Berlinie, Amsterdamie i Brukseli 3 proc., w Wiedniu 3 1/2 proc., w Kopenhadze 4 proc.

RYNKI ZBOŻOWE.

Na międzynarodowych rynkach zbożowych tendencja nieco słabsza. Wpływają na to pomyślnie wogóle wieści o stanie zasiewów, a także obniżenie transportu ziarna z oceanu, będące w drodze do portów europejskich. Na uspokojenie rynków rolniczych, prócz wskazanych czynników, ujemnie wpływa oczekiwana reforma giełdowa, która spowoduje zaniepokojone sfery kapitalistyczne. Telegramy wtorkowe donoszą o drobnej zwwyżce na pszenicę w New-Yorku i Londynie. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W New-Yorku.	104	—	—	—
» Londynie.	102,5 — 105	—	105,5 — 108,5	78
» Marsylii.	101,5 — 106	—	—	—
» Berlinie.	128,25	112	118,75	—
» Hamburgu.	—	82	—	—

Na rynkach centralnych rosyjskich obroty prawie zupełnie ospałe, dowozy słabe. Mocniejsze uspokojenie w guberniach południowo-zachodnich. Dobry popyt na mąkę i owies w Królestwie Polskiem. Nieco ożywiły się na południu i eksportowe obroty, przyczem ceny utrzymują się chwilowo wyżej szarych niższych. Płacono:

	Pszenica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W Warszawie	99 — 106	77 — 82	92 — 101	—
» Kijowie.	89 — 90	63 — 67	93 — 95	—
» Odessie.	88	73	86	66
» Lwowie.	—	83 — 83,5	90 — 98	—
» Rewlu.	88 — 93	82 — 84	88 — 98	76 — 80

NASIONA. (Sprawozdanie B. Hozakowskiego w Toruniu). Konieczna biała dosięga cen dawno niebywanych — 7,54 do 15 rb. za pud, czerwona 6,03 do 7,94, szwedzka do 12,80; seradela do 1,50, tymotele do 4 rb. za pud (franco Aleksandrowo).

MASŁO (kor. «Samopomoc») w Rydze — na wywóz — I gat. 36 — 38 kop., II gat. 33 — 35 k., III gat. 31 — 32 kop. za funt.

SPROSTOWANIE.

W Nrze 9 „Kraju”, strona 22, szpalt pierwsza, w nekrologu ś. p. Kazimierza Knapackiego wydrukowano: „zmarł w Petersburgu 2 lutego...” powinno być *zmarł w Petersburgu 23 lutego...*

Przy datach starego stylu podawaną jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedynczo.

Redaktor i Wydawca
Erazm Piltz.



ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“

Petersburg, 8 (21) marca 1902 r.

№ 10



WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

Zmniejszona reprodukcja wizerunku, dodanego do lwowskiego (1881 r.) wydania „Piosnek i żartów“.

Autor „Króla Salomona“.

1834—1902.

Jest w Biblii, w tem olbrzymiem *silva rerum* ducha ludzkiego i natury człowieczej, utwór, bardziej znany pod grecką, niż hebrajską nazwą, a przewyższający bezwzględnością i ponurym nastrojem wszystko, co wydała do dziś dnia literatura pesymizmu wszystkich czasów i narodów. Księga, zwana *«Ecclesiastes»*, jest niejako pra-źródłem wszystkich pesymistycznych twierdzeń i dowodzeń, któremi w następstwie kołatano znużonego ducha ludzkiego. Wszystko jest w niej, co rzekomo «wymyślili» filozofowie i poeci aż do Leopardi'ego i do Schopenhauera; setki stronic licząca *«Philosophie des Unbewusstes»* Hartmanna jest tylko szeroką parafrazą dydaktycznego traktatu, skreślonego w drugiej połowie IV w. przed Chrystusem przez judejczyka, którego imienia nikt nigdy nazwać nie potrafi. Cały, nieśmiertelny pesymizm duszy ludzkiej, zawarty w księdze owej, gęsto chaldeizmami upstrzonej, wcielono nie bez opozycji, jak zaznacza św. Hieronim, do kanonu biblijnego. Braknie w niej tylko:

miotai się, wybuchów, przekleństw i narzekań. I dlatego właśnie hymn dydaktyczny «tego, który przemawia wśród zgromadzenia» (to bowiem oznaczają wyrazy *koheleth* i *ecclesiastes*), tak pełny niewysłowionego majestatu i tak głębokie wywieranie.

Potęguje to wrażenie szczegół, iż autor najbardziej gorzkie i najbardziej beznadziejne słowa mowy ludzkiej kładzie w usta człowieka pozornie najszczęśliwszego ze szczęśliwych, człowieka, któremu napozór dało życie wszystko, co najcenniejszego dać jest w stanie. W księdze *«Ecclesiastes»* przemawia król Salomon. Król Salomon, podniósłszy się ze złotogłowia, wycielającego tron w onyksie rzeźbiony, odsuwa z przed siebie wodzów i nałożnice, i po przez wonne dymy trybularzów, depcząc stopą obojętną kwiaty najrzadsze, przemieszane z beczennymi perłami, zstępuje po porfirowych schodach — na padół leż i rozczarowań, i woła, jakby wyrzucając z siebie dławiące go gorzyc i melancholje: «Marność nad marnościami... marność nad marnościami i wszystko marność!»

I powiada król Salomon: «Cóż za pożytek człowiekowi ze wszystkiej pracy jego i z udręczenia ducha, którem się męczył pod słońcem? Izali nie lepiej jest jeść i pić i okazać duszy swej dobra z pracy swojej? Któż tak używać i rozkoszy zazywać będzie, jak ja?...»

I powiada król Salomon: «Wszystko idzie na jedno miejsce; z ziemi są uczynione i w ziemię się jednako obracają. Któż wie, jeśli duch synów Adamowych wstępuje w górę; a jeśli duch bydłęcy stępuje na dół?»

I powiada król Salomon: «Nie masz zadnego, któryby zawsze żył, i któryby o tem nadzieję miał; lepszy jest pies żywy, aniżeli lew zdechły... Gdym się obrócił ku wszystkim dziełom, których naczyniły ręce moje, i ku robotom, w których-em się próżno pociał, obaczyłem we wszystkich marność i udręczenie nie myśli, a iż nic nie trwa pod słońcem...»

Oto kanwa, na której przed dwudziestu mniej więcej laty rozsnuwać począł poemat liryczny jeden z poetów naszych tak zwanej «po-mickiewiczowskiej» epoki. Czy pragnął tylko sparafrazować piękny, bez względu na temat, utwór biblijny? Czy miał to być «przekład» wierszowany, na podobieństwo tylokrotnie już wierszowanych Psalmów? Czy zamierzał napisać rapsod biblijny, wzorując się na Melodjach biblijnych Ujejskiego? Nie zdaje mi się, aby tylko czysto artystyczne cele miał Włodzimierz Zagórski na oku, rozpoczynając pisanie «Króla Salomona». Musiały mu już oddawna we własnej duszy grać owe kontrasty epikureizmu i przeżyty, pragnień i rozczarowania, rozkoszy nadczłowieczej i nadludzkiej niesytości, a tylko Ecclesiastes, może wypadkowo, poddał mu ton dla pieśni. Nie należy zbyt skrupulatnie liczyć się ze zwierzeniami poetów, wogóle autorów; są oni zazwyczaj najniekompetentniejszymi sędziami własnych dusz i pism. Ale wyjątkowo wierzyć możemy własnym słowom Zagórskiego z przedmowy do «Króla Salomona». Pisz tam, że poemat ów «maluje stan mego własnego umysłu w pewnej danej chwili mojego życia». Nietylko «w pewnej, danej chwili». Ow król Salomon od pierwszego odezwania się w poemacie, że:

Próżno się kusi wlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota,

aż do tryumfального okrzyku z «Psalmu tęsknoty»:

Przez te wszechdobra i Bóstwa pojęcia,
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —
Jam duch — nad ziemską wywyższony glinę!

to Zagórski sam, to obraz własnej duszy jego, w spowiedzi chwili, z obsłon wszelkich rozpewitej. To, powiedziećby wolno, epopeja wogóle natury współczesnej, natury łaknącej, gorączkowej, wrażliwej, krańcowej w upadku i wzlocie, wiedzącej wiele, rozumiejącej niemal wszystko, przeciążonej wiedzą i wrażliwością, słabej a zdającej sobie dokładnie sprawę z niemocy własnej, porywczej i — szlachetnej. Dzieje te Salomonowe — to dzieje każdej du-

szy arystokratycznej, w duchowym rozumieniu. Nie dla każdej tylko z nich dopisany ów epilog do «Króla Salomona», wspomniany «Psalm tęsknoty». Są dusze, które szczerła tego nie dosięgły.

Poemat o królu Salomonie łącznie z epilogiem nie jest przeto dziełem li tylko artystycznym, znakiem stopniem ze sobą kolorytu wschodniego, biblijnego stylu, nastrojów efektownych, oraz podźwięków oktaw Słowackiego. Dla rozwinienia tego wszystkiego wystarczyłyby motywy wyłącznie księgi Ecclesiasty. Zagórski uczynił z niej tylko kamień węgielny dla poematu; dobrał do niej jeszcze całą «Pieśń nad pieśniami». Król Salomon Ecclesiasty wygłasza w końcu, że «i młodość i rozkosz są rzeczy marne». Zagórski rozstrzyga się z biblijnym królem *u progu* tego frazesu. W usta swego króla Salomona słów tych nie kładzie. Nie może być «dalszego ciągu» dla kogoś, co przekonał się, że marność jest i mądrość, i młodość, i rozkosz, i wszystko, zgola wszystko. A król Salomon z poematu wierzy jeszcze, że istnieje na świecie, w życiu—coś, co nie jest marnością.

„I biegle szukać ukojenia“...

Na tem miejscu w poemacie, w chwili, gdy bohater oddala się na pustynię, *obiit Ecclesiastes i natus est Oblubieniec* z «Pieśni nad pieśniami».

Usłyszał głos dziewczycy, wołającej nań: «Wszystkąś mi duszą ukochały».

— Jam tu! jam tu!—krzyknął drżący—
O zniżyć tu do mnie, słońce złote,
I rozjaśnić duszy mej tęsknotę,
I zdejmij ze mnie mrok ciężący!

Znękany życiem mędrzec spotyka Sulamit, której miłość «sroga jest, jak śmierć, a jako grób twarda i zawistna», i znajduje na łonie jej niepamięć i ukojenie, ową szczęśliwość, o której powiedział Ecclesiastes, że nie może być nigdy syna Adamowego udziałem.

Więc miłość kobiety... więc dzielenie z duszą niewieścią bólów najstraszniejszych i radości najzawrotniejszych... więc rozkosz, brana i dawana... więc rozwiązana zagadka bytu... więc oto osiągnięte to, na czego cześć buchnie król Salomon «bezmierem szczęścia wniebowzięty», płomienną inwokacją:

Więc bądź mi wiecznie pozdrowiona,
Mistrzyni słodka prawdy wiecznej—
Bo mędrszym uśmiech twój słoneczny
Nad wszystką mądrość Salomona!
Niech śmierci chwała cię pieczęcie,
Bośmy rozkosz wósk ich starli,
I zapomnienie im wydarli,
I gwałtem wzięli wniebowzięcie!

Dość!... Niech spadnie zasłona. Pieśń, wszczęta z wstrętów i frasunków,

«słodkimi rozłala się westchnieniem». Co mogło rzucić w mowę ludzką technię człowieka, wypowiedziały słowa. Teraz już wypowiedziane wszystko i ukazany jest człowiek od życia wybawiony. Teraz już tylko nad przybytkiem Salomona i Sulamit niech unosi się, jak harf coraz cichsze, milknące dobrzmiewanie, pieszczotliwa kołysanka z «Sir Hasirim»: «Wstań wietrze północny, a przyjdź wietrze z południa; przewieź ogród mój, a niech płyną wonności jego»...

*

I długo, przez lata, opuszczona była zasłona przybytku eks-Ecclesiasty i Sulamit. Mówiono sobie: Toż ci jest, co miał nam do powiedzenia poeta? Zaparł się mądrości—czyniło to przed nim wielu; ale chybaż on zaparł się samego Boga, skoro ominął niejako pogardliwie ostatni rozdział «Ecclesiasty» i w «Pieśni nad pieśniami» utonął?

Powolywanie się na ostatni rozdział «Ecclesiasty» zostawmy na stronie. To, co mówi tam autor hebrajski, nie stoi w żadnym związku z poprzednimi rozdziałami i—jeśli wierzyć krytyce biblijnej—przypadkiem zostało do pesymistycznego, prawie bluźnierczego dzieła, aby mu wstęp do kanonu umożliwić. Nie zawrócił też Zagórski po latach do «Ecclesiasty», jeno w nim samym, w twórcy «Króla Salomona» stała się przemiana, co powtórnie pióro mu w rękę podała i zniewoliła przydać do poematu *epilog*: «Psalm tęsknoty».

W pięknym, bardzo pięknym tym wylewie lirycznym zobrażony został stan duszy, co szukała Boga, wyparła się Go, zaprzeczyła Jego istnieniu i—odzyskała wiarę. A odzyskawszy ów skarb, który ze wszystkiego, co duch ludzki posiadać może tu na ziemi, jedyną jest *nemarnością*, dufa człowiek ów, doświadczonej srodze, skruszony i szlachetny, że Pan nie pocyta mu odstepstwa chwilowego za winę nie do okupienia, i że Ten, co najskrytsze myśli ludzkie przenika, osądzi i obłęd, i nawet bluźnierstwa według najmiłosiernej mądrości Swojej.

Lecz Ty, o Panie, co znasz ludzkie serce,
Jako jest wale, gdy w bólach usycha,
Ty we mnie gonisz nie będziesz bluźniercą,
Bo Ty wiesz, że mna nie miotała pycha,
I Ty widziałeś, iżem, bluźniąc, szlochał,
Bom tęsknił, Panie! — bom cierpieł! — bom kochał!

Ty mnie nie będziesz ścigał zagniewany,
Zem nie miał kornej ufności węglarza,
Lecz szedł ku Tobie, jak kłanabne Tytany,
Z tą żarliwością, co niebo podważa,
A jest jak ogień, kiedy czyści złoto,
Bo Ty cheesz, by Cię zdobywać tęsknotą!...

Powiedziało się wyżej, że «Psalm tęsknoty», to szczebel wysoki—powiedzieć komu wolno: najwyższy—

ku któremu wznieść się nie danem jest każdej organizacji duchowej. Jest wielu, którzy padli na pustyni przed ujściem Sulamity, są inni, którzy pozostali do końca za zasłoną przybytku Salomonowego wniebowzięcia... Zagórskiego «Psalm tęsknoty» pisany dla tych i w duchu tych, co doszli *ad astra*, co «wyszli na gwiazdy», mówiąc językiem Danta, co wydostali się z czeluści życia, z gościny wśród mar znikomych.

I—podobnie, jak mało w poezji naszej mamy gorętszych niż w «Salomonie» obrazów ziemskiej, choć przeduchowionej miłości, tak też w «Psalmie» posiadliśmy obraz Wiary, być może najszlachetniejszej jaka istnieje, najgłębszej, najbardziej kojącej męki życiowej, najgodniejszej istoty, stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. Wiara «Psalmu» Zagórskiego—to istotne *credo* mędrca, na które nie wolno spojrzeć ani obojętnie, ani z wysoka. To manifest niepowtarzalny, powiedzmy wręcz: wielkiej duszy. To ci jest owa przewidziana w Ewangelji i wywyższona w niebie wiara jednego nawróconego, przeważająca niezmaconą nigdy wiarę dziewięćdziesięciu dziewięciu wiernych, którzy nigdy wzroku od stóp Bożych nie oderwali. Nie do stóp Jehowy pada twórca «Króla Salomona» i «Psalmu»; nie życia burza ciska nim pod próg świątyni; przychodzi sam z dobrej woli i mówi: «Jesteś—boś duszy człowieka potrzebą»; przychodzi kochać To, co uznał za jedynie godne ukochania na całym obszarze świata ziemskiego i duchowego, po którym odbył długą, prób i doświadczeń pełną wędrówkę. Wiara «Psalmu»—to Miłość. Najdoskonalsza Wiara jest Miłością. Im wyższy, doskonałszy kocha duch—tem doskonałszy Miłość.

*

Gdy Zagórski napisał «Króla Salomona», a zwłaszcza, gdy zamknął go «Psalmem», ogarnęło wielu—zdziwienie. Niechciano wręcz oczom i uszom wierzyć, aby poeta *od* satyrycznych, politycznych wierszyków, aby birbancki piosenkarz, aby autor «Historji patriarchy Noego», aby jednym słowem *Chochlik* mógł dać nagle poemat głęboko pesymistyczny i zamknąć go *quasi* dantejskim rapso-dem mąk duchowych, rozplywającym się w ultra-bogobojną hozannę.

Przeważało mniemanie, że to «kapsprys estetyczny» artysty, pragnącego popisać się wszechstronnością. Dla specjalnego pokroju krytyków literackich otwierało się pole do wdzięcznej roboty. Należało wytłumaczyć, *dlaczego* mógł powstać «Król Salomon» pod piórem autora «Noego». Na tego rodzaju biograficzno-

plotkarskich roztrząsaniach oparta lwią część «powagi» wielu znawców... rzeczy, nie przeznaczonych do poznawania. Nas, pytam, co może obchodzić, jakimi drogami przywędrowało do nas dzieło sztuki? Nas obchodzi, jakim ono jest. Kto je nam dał?—coż może mieć za znaczenie? Wątpię, aby komu sen płoszyła z powiek niepewność, żali Homer istotnie zwał się Homerem i w którym roku życia otrzymał od ojca w prezencie pierwsze sandaliki. Verlaine, pijak, włóczęga, zwyrodniały etycznie, napisał cały tom poezji («*Sagesse*»), którychby autorstwo dało się przypisać Katarzynie ze Sieny lub św. Teresie. Napisał. Cóż na to poradzić? Radzić niema co. Żadne biograficzno-psychologiczne eksplikacje nie dodadzą ani ujmą jego:

Maintenant j'aime Dieu dont l'amour et la foudre
M'ont fait une âme neuve!...

A... tłumaczmy natomiast, tłumaczmy gorliwie, jakim jest do siebie stosunek wzajemny danych, analogicznych utworów, dzieł tego i owego autora. Ale zagłębianiu się nad stosunkiem twórcy do dzieła dajmy pokój. Zaspakają to lub podnieca ciekawość tłumy, ale służba takiej sprawie, przynosząc rozgłos, nie przynosi zaszczytu.

Również co do Zagórskiego. Instynktownie czuć tylko możemy, że dzieło, w które włożył ducha swego, to nie piosenki ulotne, satyryczne lub swawolne, jeno ów «Król Salomon». A że w naturze ludzkiej humor i pesymizm w zgodnej chodzą parze, przekonało o tem dosyć przykładów. Bohater, ponury od stóp do głów, lub «wesoły» od czuba do pięty, to postać z melodramatu lub panińskiej powieści, nie z życia. Nawet pustota nie wyklucza głębi duszy bardzo mrocznej, burzliwej lub znękanej. Alboż to nie słyszeliśmy nigdy objającego się o uszy nasze frazesu: «Patrzcie, taki wesoły był, a zastrzelił się!» Nie dlatego zastrzelił się, że był wesoły, ale zastrzelił się pomimo, iż był wesoły. Zresztą—nie rzecz—że obojętna, czy w «Salomonie» i «Psalmie» mamy przed sobą dzieje własnej duszy Włodzimierza Zagórskiego, czyli też obraz wielu, wielu dusz, co ewolucje takie przeszły, przechodzą, lub przechodzić będą? Czy są, czy były między nami dusze takie? I były i są. Jest przeto w poemacie *prawda*, a że jest *piękno*, każdy, czytając, odczuje.

*

Nie znam satyry politycznej Zagórskiego; nie znajdowałem się w środowisku, w które padały jego, cięte jakoby i trafiające w sedno, wiersze ze «Szczutka» i «Chochlika».

Te zaś z nich, które do książkowych weszły wydawnictw («Z teki Chochlika», piosenki i żarty z okresu 1865—1881 r., oraz «Poezje» warszawskiego wydania z 1894 r., wreszcie «Wybór poezji» z przedmową Gomulickiego, Warszawa, 1899 r.), przeciętnej miary nie przerastają i nie mogą rościć pretensji do trwałości politycznych satyr Heinego, a nawet Berangera. Lwowska sława Zagórskiego, jako *Chochlika*, pozostanie dla mnie niewytłomaczoną zagadką.

Natomiast zupełnie zrozumiałą jest wziętość jego naśladowań Scheffla, naśladowań, transkrypcyj, polonizowań burszowskiego *Lied'u* niemieckiego. Nietylko my nie mamy tego specyficznego rodzaju poezji, której najdoskonalszy wyraz dał heidelbergczyk Scheffel. Wszystkie nasze: «Teraz, bracia, w górę szklanek!» lub «Pijmy zdrowie Mickiewicza!» dalekie i w tonie, i w nastroju i w motywach od pieśni studenckiej niemieckiej. Francuska literatura jej nie posiada. W *Quartier Latin* inne niż na wędrówkach pobrzeżami Renu rodzą się piosenki. Powtarzamy: *Burschenlied* niemiecki, w skali swojej, sięgającej od tkliwej idylli do wojennego hymnu, od burleskowej parodji do najartystyczniejszej balady, tworzy *rodzaj* całej literatury, nietylko wielu nieznanego, ale i dla wielu nie należycie zrozumianego. Trzeba i dokładnie znać tło i środowisko, na którym i wśród którego powstają pieśni takie, i mieć we własnej duszy wrażliwość, odczucie, zrozumienie, ba i gustowanie w poezji starych ruin i gospod pod lipami, balad uciesznych i win jak złota woda źródłana, włóczęg po przez cuda przyrody i niefrasobliwych przygód młodzieńczych. Poezja to—młodości i uciechy życia. *Gaudeamus igitur*...

*



WIESZCZKA NOCY. Obraz H. Kauibacha.

Zagórski wprowadził nas niejako w ten świat, w świat tego rodzaju poezji. Wprowadził nie za pomocą ciężkich i zawiłych studjów nad «istotą» tego *genre'u*, stworzonego przez setki piór, poczynawszy od Goethego a kończąc na Baumbachu, ale za pomocą owych właśnie tłumaczeń, a raczej naśladowań i transkrypcyj. Główną rolę gra w nich nie ścisłość przekładu, ale ton. Ton ów możliwie wiernie oddany. Przejął się nim poeta do tego stopnia, tak mu przy pisaniu chodziły po głowie i dźwięczały w duszy *Lied'y* nadreńskie i podalpejskie, że nawet w pocytywanej za całkiem oryginalną «Historji patriarchy Noego» znalazła się strofa, żywcem wzięta z «Historji Noego» Aug. Kopischa:

Das Wasser schmeckt mir gar nicht sehr,
Dieweil darin ersüftet sind
All' sündhaft Vieh und Menschenkind.

U Zagórskiego:

Jak ognia, tak się wody bał,
I była mu przeklęta
Za to, że nią poraził Pan
Lud grzeszny i zwierzęta.

Nie będziemy o to wytaczali procesu poecie. Dał nam nie wszystko, co do poezji polskiej przeniesieć można i należało z tej świeżej, ożywej i, podkreślamy to powtórnie, wysoce artystycznej poezji t. zw. «burszowskiej» niemieckiej. Dał nam, w przystępnej dla naszego ogółu transpozycji, jeno próbki. Ale w literaturę poetycką polską rzucił nutę nową, świeżą. Przez to wybite na zachód okienko spojrzało wielu w świat nieznany.

Nie należy tylko mniemać, że na «Kopale romanzero» («*Naturwissenschaftlich*» Scheffla), na fatalnej przygodzie proroka w gospodzie pod Wielorybem, na «Ojcu Rufie» z jego *Complete pocula—sit vino gloria!* kończy się choćby tylko zbiór pieśni Scheffla p. t.: «Gaudeamus», z którego czerpał Zagórski. Brał, co mu w danej chwili do ujęcia w wiersz polski przypadało, nie troszcząc się, że ktoś tam skrzywić się może pogardliwie na «ubóstwo tematów». Rodzaj poezji niemieckiej, którego jednym tylko ogniwem są nawet pisma Scheffla, stoi jeszcze otworem dla studjów, przekładów, zapoznawań z nim metodą i taką, i inną, i teoretyczną i poglądową. Tematów skala duża, a w pełnym przyswojeniu jej kiedyś literaturze naszej transkrypcje Zagórskiego zajmą miejsce niepoślednie, chociażby już tylko «z wieku», bo pierwszy był rzeczywiście talent poetycki, nasz, który z tak nieswojskim Schefflem zmierzył się zwycięsko.

Poezje liryczne Zagórskiego bledną pod względem treści i formy wobec «Króla Salomona». Zalety ich—a są zalety w niektórych niepowodzenie—nie zdołają utrzymać ich dłużej w literaturze obok poematu. Mniejszych rozmiarów liryki Zagórskiego, bądź tklive, bądź żartobliwe, bądź refleksyjne, to znów tylko obrazujące—odpadną. Nie ma w pomniejszych utworach Zagórskiego takich pereł liryzmu, któreby dzielić mogły los wielu lirycznych poezji innych autorów dzieł większej skali. «Hymn o zachodzie słońca» Słowackiego trwać będzie tak długo, jak «W Szwajcarii», jak «Anelli», «Nad wodą jasną i czystą» Mickiewicza będzie wiecznym satelitem «Pana Tadeusza»; mnóstwo dwustrofowych urywków Heinego z jednakiego, czasem z przedniejszego kruszu, co «Atta Troll» lub «Deutschland». Ani słowa, niektóre liryki Zagórskiego mają przednią wytworność formy, boć przecie autor «Króla Salomona» władał wierszem znakomicie, ale—zabił je doskonałością swoją poemat.

Prawa do nieśmiertelności rościć też nie mogą Zagórskiego powieści

proza. Najwyżej w bibliografii polskiej zostaną ich tytuły. Natomiast zapamiętać należy jego przekład trzech aktów «Cyrana de Bergerac». Jest to okaz wzorowego polskiego przekładu.

Jaką tedy wysłużył sobie Zagórski «rangę u potomności»? Są, którzy rangi te rozdać z trójnoga powagi krytycznej. Ja wiem tylko, że są utwory, nie dające się ze sobą porównywać, ale mające równe prawa do miejsca w skarbcu literatury naszej. Otóż tam, gdzie spoczęły i «Mohort», i «Deboróg», i «Racławice», i «Marja», ma prawo spocząć «Król Salomon». Inny on, ale równy im jako dzieło poetyckiego kunsztu. Niepodobny ani do gawędy Pola lub Syrokomli, ani do filigranów «Ducha od stepu», ani do obrazów «Zamku Kaniowskiego», ale z arystokracji ducha i z rasowej wytworności należący do ich sfery. To też prawe dziecko Parnasu, naprawdę wysoko urodzone.

W ostatnich latach życia pracował usilnie poeta nad dziełem, zatytułowanym: «Teoria rytmicznych dominant, jako prawo rządzące akcentacją wielozgłoskowych wyrazów i budową polskiego wiersza». Część rozprawy owej ogłosił drukiem w czasopiśmie, i to dało asumpt niektórym do twierdzenia, że Zagórski w «pomnikowej» pracy swojej «stworzył w teorii poezji kontrpunkt», i to jeszcze «podwójny». Nie pragnę mieć zdania o tej przebiegającej teorii; zmusiłoby mnie to do odczytania rozprawy. Nie wyobrażam również sobie *cui bono* zbudowaną została owa teoria, «przerzucająca dominantę nawet po za średniówkę». Strzeż mi Boże, abym pisząc lub odczytując wiersz, miał myśleć—o średniowiecu lub dominancie! Mniemam, że skwituje chętnie z tego ambarasu każdy pisarz i każdy czytelnik na poezję wrażliwy.

Choćby kiedy urosnąć miało z tej spuścizny poety najszacowniejsze jakie wydawnictwo Akademii, ono mu podwoi do nieśmiertelności nie stworzy. Otworzył mu je «Król Salomon», mogący domniemanie wylegitymować się najprawdłowszemi średniówkami i dominantami.

Zostaną po Zagórskim i trwać będą: młodzieńczych piosenek jego świeżość i werwa, oraz świetna symfonia goryczy i szalu zmysłowego, zakończona szczytnym hymnem.

Cz. Jankowski.



«Urwasi» Dłuskiego.

Dwuaktowa opera Erazma Dłuskiego, o której niejednokrotnie pisaliśmy w «Kraju», np. w czasie wykonania jej w maju roku zeszłego przez Cesarską orkiestrę dworską w Petersburgu, ujrzała po raz pierwszy światło kinkietów we Lwowie d. 24 zeszłego miesiąca i przyjęta została przez publiczność oraz krytykę jaknajpochlebniej, jaknajgoręcej.

Wystawiono «Urwasi» z wielkim przepychem, dorównującym — zdaniem samego kompozytora — najstarszemu *mise-en-scène* europejskich stolic.

Zarówno fantastyczna komnata pałacu indyjskiego z pierwszego aktu, jak i egzotyczny kraj — obraz z drugiego — czarowały widzów. Pomimo «względnie tylko dobrego wykonania», — jak zaznaczają niektóre pisma lwowskie, — muzyka wysoce artystyczna, melodyjna, naprzemiennie tęskna, tkliva, rzewna, to znów namiętna i porywająca, sprawiła głębokie wrażenie. Treść opery osnuta na legendzie indyjskiej. Księżniczka Urwasi wymarzyła sobie jakiegoś nad-pięknego rycerza i usycha z tęsknoty za tą — marą. Tedy, aby jej melancholję rozproszyć, wierna powiernica Ragda przyprowadza do księżniczki kochanka swego, Rustana, który wdzięcznym śpiewem swoim ma bawić Urwasi i utulać jej tęsknotę. Rustan, oczarowany, poczyni kochać się w księżniczkę. Ragda, mszcząc się nad «niewiernym», wywołuje d. mona Sawanarasa. Ten ze swej strony oczarowuje Urwasi i zniewala ją iść za sobą «w krainę światła, wiecznej młodości i szczęścia bez granic». Urwasi, jak zahipnotyzowana, zrywa się biedzą za demonem i — pada w nurty rzeki. W tej chwili odradza się, jako gwiazda, i zabłyska na niebie...

Najbardziej we Lwowie podobały się: chór kobiet w pierwszym akcie oraz arja Urwasi o latach dziecięcych, a w akcie drugim przygrywka orkiestralna przy zapadaniu nocy, oraz cała scena Rustana z Urwasi. Debiut lwowski wróż operze Dłuskiego niepowodzenie powodzenie.

«Jest to dzieło wielkiego talentu i prawdziwego natchnienia — pisze np. sprawozdawca «Przeglądu». — Muzyka polska zyskała nowe wielkie dzieło, a cały świat muzyczny — rzecz bardzo interesującą».

W opracowaniu muzyki — pisze «Przedświt» — napisanej modernistycznie, o wybitnym charakterze orientalnym, przebiega się



Erazm Dłuski.

wplyw Wagnera i Rubinsztejna. Największy sukces odniósł akt pierwszy. Całość jest jakby piękną egzotyczną rośliną, wymagającą starannego pielęgnowania i bogatej wystawy — czego jej dyrektor Pawlikowski nie poskąpił. Wykonanie przeszło wszelkie oczekiwania».

Oto wreszcie, również dla przykładu, zdanie «Gazety Narodowej»:

«E. Dłuski przedstawia się w tym utworze muzycznym jako prawdziwy talent, a cały utwór posiada dużą wartość dzieła, które znamionują: głębokość prawdziwego natchnienia, jednolitość stylu, trafne charakterystyzowanie sytuacji i nastroju, jakoteż i bogata inwencja. Jedynie brak pierwiastku dramatycznego osłabia wrażenie. Całość jednak przedstawia się jako dzieło prawdziwego natchnienia i jest dla muzycznego świata wysoce interesujące. Muzyka polska zyskuje w tym utworze dzieło wielkiej wartości, przynoszące chlubę sztuce polskiej».

«Gazeta» wiele czyni zastrzeżeń przy ocenianiu muzycznego wykonania opery. Erazm Dłuski, urodzony w 1857 r. na Podolu, już podczas uczęszczania do gimnazjum w Niemirowie oddawał się muzyce z gorącym zamiłowaniem. Potem, będąc studentem na uniwersytecie w Petersburgu (wydział matematyczny), jednocześnie pracował w konserwatorium pod kierunkiem Rubinsztejna. I odtąd stale przebywał w Petersburgu. Nie puścił z rąk napisanych przed laty: opery jednoaktowej («Narzeczona z Koryntu») oraz czteroaktowej («Romano»); natomiast szeroko po świecie rozeszły się jego prześliczne pieśni. Obecnie pracuje nad nową, wielką czteroaktową operą całkiem nowoczesnego pokroju. «Urwasi» wystawiona zostanie niebawem w Warszawie, a 12 b. m. w operze petersburskiej.

«Pan Wołodyjowski» Skirmuntta.

Oper polskich nie istnieje wiele. Zwłaszcza dziś, po międzynarodowych tryumfach Sienkiewicza i wobec coraz bujniejszego rozwijania się swojskiego malarstwa, twórczość rodzima w zakresie sztuki muzycznej nie może zadowolnić ambicji naszych. Nadaremnie powołujemy się na «Halke», «Goplanę», na «Straszny dwór», na «Ducha wojewody», na «Manru». Czujemy, że dla literatury naszej i dla malarstwa naszego, muzyka polska nie stanowi godnego odpowiednika.

Zapominamy prztem, że daliśmy światu Chopina...

Ale bo Chopina wielkość nie olśniewa już dziś nikogo; powszednia. Ot, byłoby nam okrutnie miło popisać się przed światem jakim «modnym» Mascagnim! To dopiero błysnięcie, zdolne cudownie pogłaskać ambicję narodową! A tu wespół nas, jak niema tak niema ani Mascagniego, ani nawet Leoncavalla. Przykre to, by nie powiedzieć: upokarzające. Czesi, nawet czesi mają Dvorzaka. A nasz Moniuszko — niech



Henryk Skirmuntt.

gni! To dopiero błysnięcie, zdolne cudownie pogłaskać ambicję narodową! A tu wespół nas, jak niema tak niema ani Mascagniego, ani nawet Leoncavalla. Przykre to, by nie powiedzieć: upokarzające. Czesi, nawet czesi mają Dvorzaka. A nasz Moniuszko — niech

upłynie jeszcze para dziesiątków lat — będzie już zupełnie należał do historii muzyki i nie odważymy się nawet prezentować go światu. Mascagniego nam potrzeba, koniecznie potrzeba...

Niechby był przedewszystkiem arcy-polakiem, nie z żadnym spolonizowaniem nazwiskiem, bez owych «ch» zmienionych na «sz», które światu niewłaściwe nasuwają komentarze; niechby był młodym, bo pierwsze, a już znakomite *opus*, ma specyficzny urok; i niechby napisał — operę! Tak, koniecznie operę, krótką, efektowną, co to ją nie tylko w wielkich stolicach można wystawić. Niechby tam sobie osnuta była na motywach swojskich — byle zrozumiałych dla obcokrajowców. Marzenie *nasze* opera taka.

Kto ją napisze? Czy p. Henryk Skirmuntt?

Nazwisko, nieznane nawet naszemu szerszemu ogółowi, ale — nie mu zarzucić. Czysto polskie. «... Przedtem zaś pięcioletni Dębem pod mitrą i przy tym herbie trzymają się z nich ci, co w pińskim powiecie osiedli» — pisze Niesiecki. P. Henryk Skirmuntt z linii polskiej, osiadł od dawien dawna w Mołodowie, gub. grodzieńskiej. A i któż nie wspomni Skirmunttów — artystycznie rezbionych szachów, Skirmunttów «Dziejów Litwy»? Ród zacny, stary i tradycyjnie uzdolniony. Oto np. p. Henryk Skirmuntt jest muzykiem i poetą zarazem. «Kraj» drukował już przed paru laty kilka bardzo pięknych jego poezji. Młody; ma dziś lat dopiero trzydzieści dwa. Ukończywszy gimnazjum w Libawie, kształcił się w konserwatorium petersburskim; grę na fortepianie studiował przy prof. Wolfie, później pod kierunkiem Ant. Rubinsztejna, zaś lekcje harmonii i kontrapunktu brał u prof. Solowjewa. Potem przejechał zagranicę, do Paryża, i tam, zachęcony do dalszych studjów przez Reszkego i krytyka Belaigne'a oraz Masseneta, przysłuchiwał się wykładom prof. Gedalge'a i Masseneta. Wówczas już komponował pieśni — do własnych słów, i zbiór tych wdzięcznych, melodyjnych piosenek wydał w Warszawie przed dwoma laty. W Warszawie też dopełniał studjów nad kontrapunktem pod kierunkiem Noskowskiego i rozpoczął pisanie opery.

Libretto do niej napisał sam. Doświadczenie uczy, że najpraktyczniejszy to sposób radzenia sobie z tekstem operowym; Wagner nie miał nigdy ambarasów i zatargów z librecistą. P. Skirmuntt poszedł śladami Wagnera, ale nie sięgnął jego wzorem do skarbnicy mitologiczno-przedhistorycznych legend i baśni. Wykroił dla opery swojej libretto z «Pana Wołodyjowskiego» Sienkiewicza. Ze świecą szukać i nie znaleźć lepszego uwieńczenia wszystkich sympatycznych cech nowego «zjawiska» na niwie muzyki swojskiej. Pomyśleć tylko: polak najczystszej wody, młody, niemal debiutant, komponujący operę krótką, trzyaktową, liryczno-heroiczną, bardzo efektowną, osnutą na motywach jednego z najpopularniejszych romansów najznakomitszego dziś pisarza polskiego, mającego już wszechświatowy rozgłos! Niech tylko muzyka dopisze — nadziejom, a będzie nam dane raz przecie popisać się przed światem «operą polską». Bo tytuł «Pan Wołodyjowski» —

dobry. Będą wymawiali «l» zamiast «ł», na to niema rady, ale nazwisko «małego żołnierzyka» już nie obce, tam, wśród świata; spopularyzowało je zeszłoroczne zwycięstwo na wyścigach w Hurst Parku. «Wołodyjowski» pana Theobalda stanął tam pierwszy u mety. Dobra wróżba.

Nie znamy jeszcze ani jednej nuty «Pana Wołodyjowskiego». Zna partycję dopiero tylko dyrektor Pawlikowski, który w jaknajszyszym terminie ma operę wystawić we Lwowie. Mamy natomiast przed sobą libretto; mamy już wyobrażenie o «obrazie» operowym, i przyznać trzeba, że bardzo umiejętnie zestawiony z epizodów powieści i nader efektowny.

Z powieściowych dzieł p. Michała i Baśki wybrał p. Skirmuntt trzy momenty bardzo dramatyczne, a oparł nie jako operę swoją na temacie miłości gwałtownego Azji ku pani Wołodyjowskiej. Pierwszy tedy akt rozgrywa się we dworze wiejskim Ketlinga w uroczystej chwili ślubu dwóch par: Wołodyjowskiego i Basi oraz Ketlinga i Krzysia. Dwie te pary tworzą psychologiczny kontrast. W chwili najgorętszych uniesień Wołodyjowski i Basia nie zapominają o «powinności i Bogu», stawiając Boga i powinność po nad własne nawet szczęście.

Basiu, Basiu, pomnij jedno:
W żołnierskim stanie
Jest przykazanie:
Po nad kochanie — powinność i Bóg!
I Basia wtórzy mężowi, jakby była z nim duszą jedną:
W żołnierskim stanie
Jest przykazanie:
Po nad kochanie — powinność i Bóg!
Inaczej przemawia do Krzysia Ketling, również w poślubnego upośnienia chwili:
Na co słowa i laur,
I księżyc na co blask?
Na co pieśń, co leci w step?
Kochanej któż nie powie:
Wolę cię, niżli scepter i koronę,
Wolę cię nad zdrowie,
Wolę cię nad długi wiek!

Wśród weselników jest Azja. Kilku gwałtownymi wybuchami zarysowany jego stan duszy wobec szczęścia Wołodyjowskiego-rywala. Kilku słowy zapowiedziana przyszła jego rola.

Spadnie orzeł w ptaków rój,
Spadnie śmiało!
Gołębiczka chwyce białą.
Jasny ptaszku, bądźiesz mój!

Rzecz prosta, nie może się to stać tuż zaraz w domu Ketlinga. Sposobność nie każe długo czekać na siebie. Wśród weselnego zgromadzenia staje nagle posel hetmana jegomości i doręcza skrypt Wołodyjowskiemu. Skrypt ów, to natychmiastowe wezwanie — na kresy, do Kamieńca, ku któremu «dąży z siłą niezmierzoną» Turczyn.

Odpowiedź posłowi daje nie Wołodyjowski, lecz Basia sama:

Powiedz asan hetmanowi,
Hetmanowi jegomości,
Że na hasło my gotowi!

Więc p. Michał porywa dzielną żonę w objęcia, całuje, wyrzyna się od niej, dobywa szablę i woła:

Jutro w drogę!

Taki epilog ma wesele Wołodyjowskiego i akt pierwszy opery. Zaczyna

świata; animusz wojenny ogarnia wszystkich i po nad wiejską zagrodą wzbija się ku niebu, zaintonowana przez Zaglobę, pieśń rycerska a zbrojna: *«Stella matutina! Ora pro nobis!»*

Akt drugi: w polu, pod Kamieńcem. Na pierwszym planie wzgórze skaliste, dalej dolina, na horyzoncie forteca kamieniecka. Wołodyjowski, Basia i kilku rycerzy konno, przyglądają się ciągnącemu doliną wojsku. W chwili, gdy wojsko polskie ma iść do ataku na tureckie zastępy, Wołodyjowski odsyła żonę od boku swego do twierdzy kamienieckiej i powierza ją opiece — Azji i jego dziesięciu tatarów. Zaledwie Wołodyjowski oddalił się, skoczywszy ku pędzącym w bój regimentom, Azja wykonywa swój plan. Wyznaje Basii miłość swoją i pewny zwycięstwa turków, usiłuje ją porwać. Basia broni się zapamiętale, a dobytwszy sztylet, przebijając nim napastnika. Azja pada. W tej chwili rozlega się trąb granie, zwycięzki Wołodyjowski wraca, a na spotkanie męża rzuca się Basia z płomiennym okrzykiem: *«Do Michała!»*

Po raz trzeci podnosi się kurtyna. Jesteśmy na wałach Kamieńca. Wołodyjowski stoi przy armatach, otoczony żołnierzami. Dookoła płoną przedmieścia; zgiełk bojowy wre. Pani Wołodyjowska w mieście przy rannych i zrozpaczonych. Bo Kamieniec ledwie się trzyma. Już upadli na duchu najzaciętsi obrońcy; już kobiety i dzieci rzuciły się do nóg komendantowi twierdzy, błagając o poddanie miasta i położenie kresu rozlewowi krwi i ruinie bezcelowej. Ale Wołodyjowski trwa. Wie, że dwie potężne miny ryją turcy pod miastem, że lada moment przez ów wylom werwą się do twierdzy. Ale trwa.

Trzeba zostać tam
Gdzie Bóg postawił. Ostanę!

I Ketling, ów Ketling z pierwszego aktu, nie opuszcza go na krok. *«Bracie — mówi doń, gdy wszyscy zdają się Wołodyjowskiego odstępować — bracie, my grodu nie damy; damy życie!»* Tak; Wołodyjowski nie ugnie się, nie zjeżdża z placu; da życie. Wie, że jenerał z tymi, co zwątpili poszedł tam, do miasta, pisać skrypt kapitulacji; poszli, jak powiadali, *«ratować miasto»*. Ale on zostanie tu, na wałach i... klucz od prochów ma przy sobie... i on uratuje honor! Jeszcze ma jedną ciężką chwilę do przebycia. Jeszcze jedna gromada kobiet przychodzi błagać go, by oporu zaniechał. Odprawia je do miasta:

Wróćcie zaraz, żwawo, precz!
Mężom w dłonie pchnijcie miecz
I powiedzcie od nas im,
Że przysiegamy nieść
W ofierze
Służbie i wierce
Życie nasze... Na rycerską cześć!

Przybiega doń żona. Ale ta nie przyszła kruszyć w nim mężstwa. Przyszła tylko spojrzeć duszą całą w oczy swemu Michałowi i powiedzieć mu, że *«tu, czy tam — bez końca nasze kochanie!»* I uściśnęła go i odeszła napowrót, gdzie być powinna ona; zostawiła go, gdzie wytrwać powinien on.

A tymczasem na narożnej baszcie twierdzy powiewać poczęła biała chorągiew. Kamieniec poddał się. Bramy otwarte. Wołodyjowski daje znak Ketlin-

gowi! Teraz czas! Ketling bierze w dłoni płonącą pochodnię i obaj schodzą do lochów z prochami. Na murach ukazują się wojsko tureckie. W chwili owej następuje wybuch; potem dym się rozprzysza i widać szczątki fortecy kamienieckiej.

Kurtyna powoli spada.

Janusz.

AKADEMJA ZAMOJSKA.

(Dokończenie).

Liceum zamojskie przeniesiono później do Szczepieszyna, zaś w r. 1852 zwinęto na rzecz korpusu w Brześciu. Obecnie istnieje w Zamościu progimnazjum męskie.

Smutne to dzieje wszechnicy, przedstawiające wszakże szereg obrazów wsteczności, prywaty i warcholstwa. Zasluga jej było przygotowywanie notariuszów, sposobienie młodych ludzi do palestry i szerzenie początków wiedzy między mieszczaństwem.

Prac, dotyczących się b. Akademii, prac źródłowych dotąd nie mieliśmy; Łukasiewicz dał dobry jej szkic w Historii szkół, t. III (str. 324—369), Maciejowski w swym *«Piśmiennictwie»* podał wiele o niej wiadomości, ale wszystko to nie dawało pełnego obrazu, jako traktowane pobieżnie lub ubocznie. Ks. Wadowski i p. Kochanowski dobrze się przysłużyli naszej historiografii, wydając swoje dzieła.

Ks. Wadowski przedrukował łaciński rękopis XVII w., zawierający spis profesorów, i w przypiskach podał, opierając się na archiwach kolegiaty zamojskiej, przyczynki do życiorysów mistrzów w Zamościu i wiele szczegółów, wyjaśniających byt i ustrój uczelni. Układ dzieła chaotyczny i wartość jego polega na podaniu spisu i zdobyciu biograficznych. Z drobnych przeoczeń zanotujemy, iż ks. Wadowski (na str. 286) pominął rektora Sierpińskiego ¹⁾.

Dzieło p. Kochanowskiego, który oparł się na źródłach pierwszorzędnej wagi, na archiwum b. Akademii, zachowane w bibliotece ordynacji zamojskiej, daje całkowity obraz dwunastowiecznego życia wszechnicy.

I u ks. Wadowskiego i u p. Kochanowskiego ze zdziwieniem nie znaleźliśmy nawet wzmianki o znakomitym matematyku Roomenie, który obok Dreznera jest prawdziwym świecznikiem naukowym i chluba Akademii. Adrian van Roomen ²⁾ (zwany z łacińska Romanus) powołany został do Akademii zamojskiej w r. 1610 i przebył w Polsce do 1615 r. Korespondował z drugim znakomitym matematykiem, również profesorem Akademii krakowskiej — Brożkiem, który pominął korespondencję w dziełku: *«Epistolae ad naturam ordinariam figurarum»* (1615).

Nie zaznaczył p. Kochanowski, że, oprócz szerokiego zamysłu Jana Zamojskiego: podniesienia oświaty i rozlewania

światła w masach szlacheckich, Akademia zamojska miała odegrać cywilizacyjną misję wobec Rusi ³⁾. Stwierdza to fakt, opuszczony przez p. Kochanowskiego, że Jan Zamojski ofiarowywał katedrę w Akademii protosyngielowi Nikiforowi, przyslanemu przez patriarchę carogrodzkiego do Polski w sprawie unii kościelnej; Nikifor miejsca nie przyjął ⁴⁾.

Młolzież rusińska chętnie uczęszczała do Akademii zamojskiej ⁵⁾, gdzie miała swoją grupę narodową, rektor i dziekan bowiem wybierani byli przez profesorów i pięciu studentów, jako przedstawicieli pięciu narodowości (polskiej, rusińskiej, litewskiej, inflanckiej i pruskiej).

Wychowawcy gimnazjów w Gdańsku, Elblągu i Toruniu, dla nauczania się polszczyzny, uczęszczali też na wszechnicę zamojską ⁶⁾.

P. Kochanowski zgola nie podaje uczniów Akademii zamojskiej, a przecież tutaj pobierali swoje wychowanie głośniejsi działacze na Ukrainie w czasie sporu o unję. Pobierali tu nauki: Kajsan Sakowicz, rektor szkoły brackiej w Kijowie, wytrawny stylista polski; Sylwester Kossów, prof. Akademii kijowskiej; Adam Kisiel, wojewoda kijowski i wielu innych.

Wada *«Dziejów Akademii zamojskiej»* jest to, że autor podaje przeważnie przebieg spraw administracyjnych, finansowych, zmian w ustroju, a prawie nie poddaje rozbirowi strony umysłowej i naukowej Akademii. Np. podał wzmiankę w przypisku (str. 60) o powołaniu prof. Dreznera, i nie ani o jego znaczeniu w dziejach nauki prawa, ani rozbirowi prac jego. Również nie podał rozbirowi kazań Stefanidesa, współczesnych wielkiemu rozkwitowi kaznodziejstwa złotego wieku.

Pomimo to wszystko autor stworzył dzieło niepospolite, ważny przyczynek do dziejów wychowania i szkół w Polsce, wyzyskawszy umiejętnie niewyzyskane dotąd źródła rękopiśmienne. Praca jego jest składową częścią wydawnictwa: *«Materialy i opracowania naukowe, dotyczące historii wyższych zakładów naukowych w Polsce»*, którego stanowi tom siódmy.

Lud. Janowski.

MARJONETKI W WARSZAWIE.

Możnaby pod tym tytułem napisać artykuł bardzo złośliwy, na temat o wiele poważniejszy, niżeli ten, który oddawna podsuwa mi się pod pióro w moich przeglądach życia warszawskiego; ale tym razem pragnę powstrzymać się od wszelkich przenośni i wszelkich aluzji, i opowiedzieć czytelnikom *«Kraju»* o rzeczywistych marjonetkach, które, dzięki pomysłowi i zabiegom panny Marii Weryżanki, drugi rok już bawią działwę naszą w specjalnym teatryku dla Milusińskich.

Marjonetki, guignole, jasełka, cienie chińskie — to stara zabawka, niegdyś bardzo nawet ulubiona i popularna, która ma swoją tradycję u nas i zagranicą.

¹⁾ Jabłonowski: *«Akademja kijowska»*. Kraków, 1899—1900, str. 21.

²⁾ Iwan Franko: *«Z dziejów synodu brzeskiego»* (*«Kwartalnik Historyczny»*, 1895, str. 18).

³⁾ Pietrow: *«Kijowska Akademia XVII w.»*, str. 60.

⁴⁾ Łukasiewicz: *«Hist. szkół»*, T. I, str. 434.



Scena teatru marionetek w Warszawie.

Niedawno temu na zachodzie Europy, w samem ognisku modernizmu — bo nie gdziekolwiekby, ale aż w stolicy nad Sekwaną — próbowano nawet, za inicjatywą słynnego Maeterlinka, przeprowadzić reformę teatru i sztuki za pośrednictwem marionetek; chciano usunąć zupełnie ze sceny indywidualność artysty, a całe wrażenie pomysłu, poezji i piękna uczynić w ten sposób wyłączną zasługą twórcy, chluba samego autora, który tak często dzielił się z nami swoimi laurami z aktorem lub aktorką, a niekiedy całkowicie oddawał im swoje wawrzyny.

Próba pozostała tylko eksperymentem, bo stare, zepsute dzieci nie chciały zasmakować w „czystej sztuce“, oddanej na usługi „czystej poezji“ i nie mogły się obejść bez domieszki komediantstwa, przeciw któremu powstawali głosiciele najnowszych haseł przewrotnych w dziedzinie literacko-artystycznej.

Przed laty kilkunastu Alfred Szczepański, kiedy jeszcze nie marzyło się u nas o zakładaniu teatrów ludowych, wydrukował mało znaną broszurę, w której poddawał myśl zużytkowania marionetek, jako środka kulturalnego, wśród prostaczków: radził wznosić i rozwijać staropolskie jasełka, urządzić po wsiach i miasteczkach przedstawienia z lałkami i w łatwo przenośnych teatrzykach popularizować sztukę literatury dramatycznej, specjalnie urobić dla tej prymitywnej publiczności.

Pomysł był dobry i mógł się okazać w swoich skutkach pożytecznym, ale nie było komu zająć się nim i wykonać go, chociaż... tytuł dyrektorów prowincjonalnych bankrutowało na przedsiębiorstwach teatralnych, tytuł artystów bez butów wracało z wiościami po rozmaitych zapadłych kątach, przeklinając losy, które im kazały grywać przed pustymi ławkami Hamletów i Grojseszyków, Romeów i Berków zapieczętowanych.

Kto wie, czy marjonetki, pokazywane po wsiach i miasteczkach, nie byłyby większą przysługą oddały sztuce, a im samym nie zarobiłyby mniejszym zachodem na kawałek powszedniego chleba, nawet z masłem i miodem!

We Włoszech i w Turcji lałki, udające żywych aktorów, zachowały dotychczas największą popularność. W Konstantynopolu widziałem poważnych baszów i siwobrodych effendich, którzy zaśmiewali się w teatryku marionetek — i z wytrzeszczonymi oczyma podziwiali jakieś okropne awantu-

ry śmiałego rycerza, walczącego z wypchanym smokiem na malutkiej scenie, podczas gdy z za kulis dochodził rozzwierający uszy brzęk tamburynów, piszczałek i klarinetu...

W Turynie i Neapolu docisnąć się nie mogłem do ciasnych i zadusznych bud, w których pokazywano rozmaite ucieszne komedje z mechanicznymi artystami, a wśród publiczności rzadko kiedy spotykałem dzieci; po większej części zapełniali miejsca sami starsi, a po ich ożywionych minach znać było, że się bawią lepiej, niżeli w prawdziwym teatrze — na prawdziwej komedji.

U nas, do niedawna przynajmniej, jedynym przywilejem zabawiania maluczkich i niewybrednych prostaczków cieszyła się — szopka; w ostatnich latach jednak i ona jakoś zaczęła bankrutować. Szopkarze powoli znikają z widowni, nie mają tego powodzenia, co dawniej, i kto wie, czy nie przejdą także do tradycji...

Dla działwy naszej tedy brakło w Warszawie odpowiednich rozrywek, szczególnie zimową porą, po za domem.

— Zastanawiałam się nad tem — opowiadała mi panna Weryżanka — czem się te biedne dzieciaki rozerwać mogą?... Zagranicą napatrzyłam się na rozmaite ich zabawy i żał mi było nudzących się dzieci w Warszawie; wtedy przyszła mi myśl założenia dla nich teatru marionetek. Z początku nie wiedziałam, jak się do tego zabrać; nie miałam pojęcia o tem, jak się to robi, z kądem wziąć środków, jak i gdzie to urządzić. Zaczęłam jednak, licząc na własne dobre chęci i pomoc ludzi życzliwych. Sprowadziłam sobie komplet lalek włoskich, kazałam wymalować dekoracje, skleić teatrzyk i spróbowałam urządzić pierwsze przedstawienia w pożyczanym lokalu, to w sali Towarzystwa wioślarskiego, to w Dolinie Szwajcarskiej. Jakoż przesłiznie się udało, choć trudności były wielkie do pokonania, jak we wszystkim nowem i niebywałem. Nie miałam repertuaru gotowego, nie miałam ludzi, obeznanych z manipulacją marionetek i maszyną, nie było recytatorów, którzyby wygłaszali dialogi za sceną; o wszystko należało samej zabiegać, samej się troszczyć, a choć przeszkody zrazić mogły, chciało się jednak postawić na swoim i zrobić coś dla zabawy i pouczającej rozrywki dzieci naszych, — no i powoli jakoś się to zrobiło. Jestem, jak pan widzi, dyrektorką drewnianej trupy i reżyserką lalek, a całą moją nagrodą, to ten srebrny

śmiech mojej małej publiczności, widok tych zarumienionych buziaków i oklaski, bite z zapalem drobnymi rączkami po każdym zaspuszczeniu kurtyny.

— I opłaca się pani to przedsiębiorstwo?...

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Kto by tam o tem myślał już teraz!... Nie może się opłacać dobrze; wystarczy jeżeli kosztą się zwrócić. Pełna salka przynosi mi trzydzieści kilka rubli, przedstawienia dają trzy lub cztery razy w tygodniu — odcignij pan od dochodu szóstą część haraczu, płaconego teatrowi, kosztą dzienne, służbę, oświetlenie, komorne, a wreszcie ciągle nakłady na instalację, na wystawę, na kupno nowych lalek — no i na honoraria autorskie, bo i te płacić trzeba — to co zostanie?... O zyskach na początek niema co myśleć, zwłaszcza, jeżeli się zaczynało bez większego kapitału.

— Ileż pani ma już artystek w swojej trupie?...

— O, całą kopę! — odpowiedziała z dumą — doszłam już do sześćdziesięciu lalek, sprowadzonych częścią z Turynu, a częścią zrobionych tu na miejscu przez p. Malinowskiego, modelatora teatrów warszawskich, które w niczem nie ustępują moim własnym primadonnom, tylko że za długo muszę na nie wyczekiwać. Sprawiałam też kilka kompletów dekoracji, do każdej sztuki osobne, nabyłam na własność dużą latarnię magiczną i kinematograf, pomnażam inwentarz, jak mogę, aby mieć większy zapas i urozmaicać przedstawienia, bo tych malutkich ludzi tylko nowość bawi, zupełnie jak dorosła publiczność.

— A jakże z repertuarem?...

— Ach, z tym mam największą biedę!... Co to dziwnego?... myśmy takiej specjalnej literatury dotąd nie potrzebowaliśmy, więc jej nie mamy. Pan wie, że najtrudniej pisać dla dzieci zrozumiale, przystępnie, zabawnie a pouczająco. Radzę sobie, jak mogę; nie chciałabym korzystać z cudzego materiału, bo to nie dla naszych dzieci — pragnę im pokazywać rzeczy swojskie, przemawiać do ich główek i serc wrażeniami sympatycznymi, pouczać o tem, o czem najpierw wiedzieć powinny, a tu wszystkiego brak. Uprosiłam kilku autorów, aby mi napisali rzeczy oryginalne, i te wystawiałam dotychczas, ale to mi nie wystarcza. Niemolewski dał mi *«Zakletą królową»*, Reinstein: *«Kłopoty Jacentego»*, Or-Ot — *«Jasia i Małgosię»*, Jaroszyński — *«Sobieradę»*, Gębarski — *«Flet zaczarowany»*, sama przerobiłam bajkę: *«Wielankę»* i koledy na Boże Narodzenie; obecnie przygotowuję Zapolskiej *«Bajkę o siedmiu karłach»* i śliczną fantazję sceniczną młodej, początkującej autorki, panny Lipskiej: *«W krainie szczęścia»*. Mam w tem swoją ambicję, aby z czasem wytworzyć osobny, oryginalny repertuar, ale czy mi się to uda!... Liczę wiele na pomoc wytrawniejszych pisarzy i autorek naszych, tylko, że ich taka praca dla nieletniej publiczności nie zachęca, a ja znowu odzalać nie mogę, że nie posiadam twórczego talentu, bo spojrzysz — no pan tylko, co to za wdzięczna publiczność!...

Rozmawialiśmy w małej salce teatralnej, zapelnionej dziewczątkami i chłopczykami w wieku od 6—14 lat; na krzesłach,



«Aryści» niekiedy warszawsk. teatru marionetek.

ustawionych stopniowo w górę, siedziała działa, wpatrzona w małą, ale gustowną scenkę, na której góralczyk wygrywał na piszczałce arję z „Halki”, a kosmaty niedźwiedź nosił za nim skrzypce z skarba- mi, piesek poszczekiwał i podskakiwał, rozbójnicy z fuzji strzelali, pustelnik z siwą brodą błogosławił marnotrawnego syna, i naiwna, ale zajmująca bajka o „Flecie z czarowanym”, przy którego odgłosie wszyscy podrygiwać muszą, przykuwała uwagę całego audytorium.

Znać było, że za wszystkie torty całego świata i za całą górę karmelków nie ruszyłby się żaden z widzów ze swego miejsca przed zapuszczeniem zasłony.

A jak klaskali!... jak się cieszyli, gdy niegrzecznych rozbójników ukarano, a dobrego góralczyka wynagrodzono!

Ta miniaturowa publiczność ma więcej etycznego poczucia od swoich ojców i matek, to pewna.

Więc warto dla niej pisać i pokusić się o jej oklaski, które idą nie z nerwowego odruchu, ale z głębi serca i czystej, nieskażonej jeszcze duszy.

Teatrzyk marionetek panny Weryżanki mieści się dzisiaj we własnym lokalu na pierwszym piętrze przy ulicy Chmielnej pod № 9.

Schludnie, czysto, nie zbyt kłopotliwie, ale nie ubogo w salce, przewietrzanej, oświetlonej gazem i zamienionej na widowie, zupełnie swemu celowi odpowiadającej.

Początek zatem zrobiony zachodem, ofiarnością i pracą jednostki, która nie dla własnego interesu stworzyła takie nowe, odżywcze źródło wrażeń dla młodocianych serc i umysłów, tylko przez miłość dla działy i przez troskliwość wychowawczą o najmłodsze pokolenie, z którego wyrósł mają kiedyś... miłośnicy sztuki, piękna, poezji i literatury.

Warszawa.

Gama

Nowoczesne cuda.

(Dokończenie).

II.

W okultyzmie, bez względu na to, czy opiera się on na kabale, czy na Upaniszadach, t. j. na filozofii buddyjskiej, Boga, Ducha, substancji pierwotnej, z której wyłania się wszystko, poznać niepodobna. Jest to *Ain-Soph* Zohary, *Parabrahm* filozofii buddyjskiej. Bóg ten, samotny i nieskończony, oddaje się marzeniu, które powoli bierze na siebie ciało, staje się światem i formą bytu wielu istot. Ten Bóg okultystów jest podobny do medjum, któremu również podczas snu zdaje się, że stwarza światy i wszechświat: jest to Bóg kateleptyczny. Voltaire dobrze powiedział, że jeśli Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje, to z kolei my wywdzięczamy Mu się tem samem. Tak samo więc i medja sądzą, że najwyższy hold składają Bogu, uważając Go również za medjum. *Ain-Soph* tedy, *Parabrahm* w śnie błogosławionym, który nazywa się transem lub samadhi (ekstazą), stwarza osoby i rzeczy. Cały świat i my sami w nim jesteśmy tylko marzeniem Absolutu,

Maya, iluzja. Istnieje wyłącznie tylko Absolut, świat zaś i my w nim posiadamy tylko pozorną egzystencję obiektywną, która prawie niczem się nie odróżnia od subiektywnej egzystencji naszych marzeń sennych, a zwłaszcza od marzeń istoty wtajemniczanej, która w Absolutie spoczywa. Możemy tę zasadę odwrócić i rzec: jeżeli świat i stworzenia na nim nie są realniejsze od marzenia sennego, to i marzenie sennie ma tyle w sobie pierwiastku realnego, co sam świat i wszystkie na nim istoty. Tak więc okultyzm już z samej zasady swojej usprawiedliwia wszystkie fantasmagorie i nie rozróżnia pierwiastku subiektywnego od obiektywnego, stanowiąc przez to najłagodniejszą i najpoetyczniejszą formę naiwności dziecięcej i obłąkania, bo dziecko z obłąkanym mają tę cechę wspólną, że i jedno i drugi nie rozróżniają marzeń od wypadków rzeczywistych.

Metoda okultyzmu jest zasadniczo poetyczną i wschodnią, bo polega na analogii i intuicji w zakresie działalności osób, zaczynających zajmować się tą doktryną. Dla tych zaś rzadkich wybrańców, którzy dotarli do końca, metoda zawiera się w ekstazie, łączącej człowieka z nieskończonością. To osiągnięty cel. Niema bowiem potrzeby uczenia się ten, kto sam widzi i wie wszystko.

Również rozumowanie, logikę, indukcję, dedukcję, doświadczenie (pojmowane w sposób, wymagany przez nauki ścisłe) okultyzm odrzuca, jako środki poznania poziome i wulgarne. Nauka udziela się przy pomocy symbolów i alegoryj na sposób opowieści wschodnich. Bo też w istocie kabala jest romansem metafizycznym, do którego klucz mieć trzeba. Jeśli czytamy księgę „Wielkiego” lub „Małego zebrania”, widzimy, że Bóg wyobrażony jest tam jako człowiek z włosami, broda, nosem, ustami i t. d. Znajdujemy tam długie roztrząsania o linii, oddzielającej włosy na głowie od zarostu na twarzy, lub nawet dyskusje o funkcjach rozrodczych, studjowanych bardzo szczegółowo i traktowanych z całą powagą starych chaldejczyków. Jest to rodzaj marzeń pisanych, wywołanych przez pewne skupienie się w sobie i podobnych do snu hipnotycznego, kierowanego przez hipnotyzera. (Przypominamy tu teorię o guru i uczniu).

Ten panteizm idealistyczny szybko przeradza się w naturalizm. Okultyzm staje się magią. Według tego systemu natura zawiera w sobie Boga, gdyż jest jego eksterjoryzacją. Ztąd więc, jeżeli słyszę dźwięki, odtwarzam barwy, jeżeli odnajduję system tajemniczy, według którego utworzone zostały for-

my, jeżeli przez to zgłębiam istotę tego, co jest liczbą, znakiem i światłem, to mogę wznieść się aż do samych źródeł tych zjawisk i poddać je swej woli. Bóg schodzi do nas, eksterjoryzując się w Naturze; my możemy wznieść się do Niego tą samą drogą. Podstawa tej teorii polega na przypuszczeniu bierności Pierwszej Przyczyny i na uznaniu prawdziwej boskości naszego umysłu i woli. Oczywiście, jeśli to była prawda, w takim razie wyzwilibyśmy się z pod władzy Boga i aniołów. Zrozumiała jest przeto rzecz, dlaczego magia, jako nauka materialistyczna i zarazem zabobonna, została potępiona zarówno przez chrześcijan, jako też i przez żydów. Kabala dostarcza w znacznej ilości pewnych formuł, z których pomocą można przywoływać, trzymać przy sobie i odganiać siły naturalne, uważane przez greków za bóstwa, a przez okultystów nazywane demonami, aniołami lub potęgami żywiołowymi. Takie mają znaczenie okultystyczne gryzmoty, z dziwnymi rysunkami, potwornymi obrazkami i wyrazami niezrozumiałymi.

Nadto wszystko to opiera się na przypuszczeniu, że istnieje „świat inny”, pośredniczący między umysłem ludzkim a naturą, i ztąd okazywała się potrzeba stworzenia sfery niewidzialnej, czyli t. zw. „sfery astralnej”. Bo oto w wywoływaniu istnieją dwie strony: strona materialna, więc: kadzidła, muzyka, kostjuna, figury geometryczne—oraz strona mistyczna: imiona czy wyrazy tak potężne, że mogą wywierać wpływ na samego Boga. Poglądy te są takie same zupełnie, jakimi kierowali się kapłani egipscy. Bóg, według tych pojęć, może być skłoniony do spełnienia woli maga. Ale jest on zbyt oddalony, aby działać samemu, i wyręcza się podwładnymi sobie potęgami, o których mówiliśmy wyżej. Te właśnie są siły okultystycznymi światła, budowniczymi i niszczycielami materji, niewidzialnymi dla oka, zamieszkującymi miejscowości pośrednie między czystym Duchem, pogrążonym w nieskończoności, i materją, zamkniętą w przestrzeni.

„Sfera astralna” nie jest wyłącznie tylko owocem wysiłku imaginacji metafizycznej, ale jest ona także wynikiem fenomenów psychicznych (przeczuć, snów wieszczych, proroców, widzeń i t. p.), które znajdują wytlómaczenie w tym dowcipnym wyrażeniu okultystów. „Jasnowidzący” bowiem, t. j. ten, kto marzy na jawie i kto przez wyjątkową moc imaginacji „uwidocznia” swe marzenia, rzuca je na zewnątrz w postaci obrazów żywych, nie chce uznać, że jest ofiarą swej

imaginacji, że jest zarazem autorem, aktorem, reżyserem i widzem sztuki odgrywanej: jest on skłonny do wiary, że te obrazy nie zależą od niego i że on je poznaje, jako świat nowy, a dla innych ludzi obcy, i tylko on sam może świat ten zbadać, ponieważ posiada na to przywilej mistyczny. Ta sfera cieniów, ten kraj wizyj, któremu on przypisuje istnienie realne, nazywany był przez okultyzm średniowieczny „sferą astralną”, „światłem astralnym”. Nazwa ta została przyjęta przez wszystkich, choć bynajmniej nie wszyscy rozumieją jej znaczenie właściwe. Należy wytłómaczyć, co Paracels i Korneliusz Agrippa rozumieeli w średnich wiekach przez ten termin, którego tak często w późniejszych czasach używali: Elefas Levy, pani Bławatska, teozofowie i magowie nowożytni.

„Jasnowidzący” stara się niejako uprawnić swą wizję, odjąć jej charakter halucynacji, nadawany jej nie tylko przez uczonych, którzy analizują ów fenomen psychiczny, ale i przez ogół, kierujący się względami prostymi, choć zresztą niegłęboкими, że „nie może widać”. Dlatego też ów „jasnowidzący” stwarza dla własnego użytku teorię, że istnieje w świecie żywioł mieszany, fluidowy, pośredniczący między duchem ukrytym, Bogiem, nie dającym się ująć ani zbadać, a ciężką materją, nie posiadającą inicjatywy ani myśli, a jednak dającym się tajemniczo powodować przez umysł. Ta sfera ruchliwa, podlegająca impulsom Boga i zarazem wywierająca wpływ na materję, otrzymała nazwę „światła astralnego” dlatego mianowicie, że wizje ukazują się w blasku, do światła gwiazd podobnym. Okultysty twierdzą, że żywioł ten bierze początek z promieniowania ziemi i że w tym żywiole odbijają się myśli i obrazy, krążące w ciągłym biegu i stanowiące przyczynę wszystkiego, co widzimy w świecie fizycznym. „Światło astralne”—to najsubtelniejszy objaw boskiego marzenia; materja—to ciężar i śmierć.

Jeden z najbardziej znanych aforizmów okultyzmu głosi, że człowiek jest podobny do wszechświata: pierwszy jest mikrokosmem, drugi — makrokosmem. „Astralność” przeto musi istnieć i w człowieku. Znajduje się ona w stanie uśpienia w tych ludziach, którzy nie zbudzili się jeszcze do życia wyższego. We wtajemniczonym zaś to uczucie wznieśli, wskutek znacznej liczby wcieleń, objawia się wyraźnie i rozdziela zasłonę świata niewidzialnego. Tylko człowiek, który rozwinął swoje zdolności astralne, może się pogrążyć w światło wszechświatowe, może w niem czytać dzie-



Instruktor wojsk marokańskich, major francuski Burckhart, czyni przegląd nowowyczeszonych oddziałów armii szeryfa. Rysował z natury w styczniu r. b. korespondent „Graphic’u”. (O stanie armji marokańskiej w chwili obecnej pisał w „Kraju” przed dwoma tygodniami na podstawie własnych spostrzeżeń autor artykułu „Okolo Marokku”).

je przyszłości i przeszłości, zapisać tam symbolicznie. W tym oceanie mistycznym znajdzie on nawet z duszami zmarłych i z duchami wyższymi, których chrześcijanie nazywają aniołami, a indusi—dewasami.

Naturalnie hipoteza okultyzmu nie wytrzymuje krytyki choćby z jednego względu: żąd pochodzi, że tylu „jasnowidzących” się myli, że proroctwa sprawdzają się tak rzadko? Czyż sfera astralna jest sferą kłamstwa? Okultysta odpowiada wybiegiem: „Jasnowidzący” mógł być czysty, źle patrzył, nie umiał odczytać obrazów, gdyż w sferze astralnej obrazy występują jeden za drugim, jak pismo na palimpseście. Wreszcie jasnowidzący mógł być oszukany przez jakąś złośliwą istotę astralną. Wszystko to jednak dowodzi tylko, że pomimo wszelkich wysiłków, nie możemy wyjść ze sfery własnych zasobów umysłowych świadomych i nieświadomych. Tu odgrywa się dramat, tu właśnie cud, o ile jest cudem, wykluwa się i rozkwita. Światło astralne, sfera astralna, ciało astralne—są to tylko wyrażenia romantyczne, natchnione ambicją, błędne nazwy marzeń na jawie i eksterjoryzacji obrazów myślowych.

Gdyby okultyzm miał tylko na celu pocieszenie marzycieli, pozostałby teorią prawie niewinną; mówię „prawie”, gdyż jest to już błędem, pozwolić choremu znajdować upodobanie w chorobie. Na nie-szczęście jednak małe sekty ezoteryczne usiłują szczepić hypnozę i historję wśród mających podbudzoną ciekawość mężczyzn, a zwłaszcza

kobiet. Używają wszelkich środków na to, żeby „klijent” coś zobaczył... Człowiek nieostrożny pała ofiarą tych usiłowań, traci równowagę duchową i powiększa liczbę opętanych wizjonerów.

Instynkt ukrywania się towarzyszy zawsze poczuciu własnej winy lub słabości człowieka. Ztąd też tajemniczość, którą otaczają się nauki okultystyczne, ostatecznie dyskredytuje je w oczach ludzi rozsądnych. Każda sekta: teozoficzna czy t. zw. Krzyża różanego, posiada sekcję ezoteryczną i tajemnice nieprzystępne. Trzeba być naiwnym, aby się w to wplątać. Badania objawów psychicznych wszystkim przynoszą korzyści, ale też odbywają się wśród dnia białego, w szpitalach, laboratorjach, gdzie uczeni dokonują odkryć naukowych. Wyciąganie z pochwy oręża zardzewiałego, nakładanie masek zużytych i tracących karnawałem, powtarzanie formuł niezrozumiałych i ceremonij obumarłych nie prowadzi do niczego. Nie warto było wyrzekać się uroczystości religijnych, choćby tylko ze względu na ich wspaniałość estetyczną, aby zachwycać się marną komedią i przybierać się w strój maskaradowy. Niema tu nic więcej, nad ośmieszanie siebie samych, nad paraliżowanie własnego umysłu i nad natrząsanie się nad prawdą. Współczesne zresztą stowarzyszenia tego rodzaju często są zakładane jedynie dlatego, aby kierownicy ich mieli zaopatrzoną budżet, przez wyzyskiwanie instynktów tłumu, pożądającego cudowności. „Klijent”, oślepiiony ceremonjami, natchnionymi przez ducha Cagliostro, płaci

koszta przedstawienia. Jedna tylko rzecz jest tu prawdziwa—to ów pieniądz wyludzony.

Inne stowarzyszenia okultystyczne mają inne przyczyny do okrywania się tajemniczością. Niemoralny gnostycyzm i rozpusta antyczna znajdują ostatni przytułek w tych doktrynach sekretnych. Jest to podmuch poganizmu azjatyckiego, który znajdujemy już u Templarjuszów; podmuch ten wznowił sabaty średniowieczne, a następnie wytworzył obryzganą krwią i błotem msze czarne Guibourga. Kult płciowy jest wyznawany publicznie w Azji. Na Zachodzie zaś chrześcijańskim musiał on przybrać pozory przysłonięte i symboliczne. Kogóż u nas nie oburzy ów kult Siwy-Lingham, który, np. w Indjach, gromadzi około bezwstydnych kamienia netylko mędrców i kapłanów, ale nawet najwstydliwsze kobiety? W Europie uświęcony erotyzm wymaga od ucznia, nawet najposłusznieszego, długich przygotowań i przejść stopniowych ze składaniem przysięg.

Słynny Oliphant, uczeń «Harrisa wskrzeszonego», niedawno utworzył sektę mistyczną, której wyznawcy żyją dziś w Syrii, niedaleko od Kaif pod Karmelem. Rytuał tej sekty jest tak bezwstydny, że nie da się opowiedzieć. Książka «Sympneumata», napisana przez Oliphanta, wysławia to zwyrodnienie erotyczne.

Istnieją inne «drobne wyznania», organizujące się potajemnie w Paryżu. Wyznawcom swoim, którzy złożą przysięgę milczenia, obiecują największą potęgę duchową. Wywodzi się wszystkie z Egiptu, z Indji i t. d., i chwali się posiadaniem tajemnic największych mistrzów nieznaných. W samej rzeczy zaś stowarzyszenia te posiadają parę rękopisów mniej więcej nowożytnych, kilka modlitw rytmicznych, które mają rzekomo moc jedynie wtedy, gdy są śpiewane na właściwą nutę, wreszcie kilka malowanych figur geometrycznych, służących za symbole filozoficzne i za narzędzia do wywoływania snu hipnotycznego. Do tego wszystkiego dodać należy wprawianie się w zatrzymywanie oddechu na sposób yoghisów i faki-rów. Ćwiczenia te nazwano w Indjach «pranayama», i polegające na zatrzymywaniu się przez utrzymywanie przez czas najdłuższy w płucach kwasu węglanego, doprowadzają po większej części zaburzenia władz umysłowych i choroby serca, ale za to wywołują halucynacje, t. j. to, o co okultystom najczęściej chodzi.

Kupcy truciźnami, szkodliwymi dla ciała, bywają pociągani do odpowiedzialności. Truciście ducha winni być karani jeszcze surowiej. Nie-Mag.

PSYCHICZNE DZIWACTWA.

Kraje protestanckie mają wyjątkowe szczególności do dziwactw, powstających na tle religijnym. Z początku sekty kwakrów, baptystów, anabatystów, przebysztarjanów wypaczały tylko naukę Chrystusa, ale nie wprowadzały do swych pomysłów pierwiastków niechrześcijańskich; następnym jednak reformatorom spodobało się pożyczać to i owo u buddaizmu, u mahometaństwa, a w końcu u chińskiego konfucjonizmu. Wreszcie hipnotyzm podniecił wyimaginację umysły różnych wykpiętych — i oto powstał nowy łańcuch sekt protestanckich, zaprawionych już nie na buddaizmie, albo muzułmaństwie, lecz na hipnotyzmie, czwartym wymiarze, na jakichś fluidach i duchach.

Niedawno w Londynie wykryto jedną taką sektę, założoną przez małżeństwo, które zbiegło z więzienia w Stanach Zjednoczonych, a ze złepku astrologii, magnetyzmu, magii i Biblii skleiło jakieś nowe wyznanie, pełne dziwacznych obrzędów. W Stanach Zjednoczonych powstała sekta «pogromców śmierci», którzy za pomocą różnych ekstatycznych praktyk wypędzają ze swej krwi «bakylusa śmierci». Wprawdzie zwolennicy tej sekty umierają tak samo, jak inni śmiertelnicy, ale to nie żenuje twórców sekty, bo winę złego skutku praktyk przypisują oni złemu ich wykonaniu. Ale oto ostatnimi czasy w Berlinie pojawiła się sekta «eddystów». Jest to wprawdzie zamorski produkt, towar kolonialny, ale wybujał okazale nad bagnistą Sprewą. Stworzyła go w Ameryce niejaka pani Eddy, z nazwiska jej wyłonił się eddyzm. Nie bawiąc się w długie wyjaśnienia, powiemy krótko, że pani Eddy usiłuje mówić w łatwiejszym tłumie, jakoby wszelkie choroby istniały tylko w imaginacji ludzkiej, jakoby źródło wszystkich cierpień ludzkich tkwiło w anomaljach duchowych i tylko terapia moralna, przede wszystkim modlitwa i gorąca wiara uleczone być mogły. Nowa ta ewangelia nazywa się w Ameryce «Christian science», albo «metafizyczna metoda leczenia»; Niemcy ochrzczili ją słowem «Gesundbeten», czyli wymodelowaniem zdrowia. Powstały kliniki metafizyczne, zaroili się w całej Ameryce eddystkami, w niektórych miastach Stanów Zjednoczonych lekarze zupełnie potracili praktykę; nikt się nie leczył, wszyscy się modlili. Naprawdę kapłani ostrze-

gali przed niebezpieczeństwem nowego humbugu. Pani Eddy, otoczona rojem asystentek, zrobiła miljonową fortunę. Alifsi wystąpił w mieście Detroit dowcipny lekarz, który ogłosił w dziennikach oświadczenie następujące: «Jeżeli prawdą jest, że wszelkie choroby istnieją tylko w imaginacji i modlitwą wyleczyć je można, niechaj pani Eddy pozwoli nam zastrzyknąć sobie pod skórę truciznę i potem się modlić aż do skutku». Nastąpiła cisza grobowa, poszły dudy w miech. Żadna z eddystek nie poddała się eksperymentowi proponowanemu, ludzie śmiać się zaczęli i niebawem wszystkie szansonistki opiewały w kupletach pogrzyb głosem humbugu.

Ale eddyzm nie dał za wygraną. Straciwszy w Ameryce grunt pod nogami, przeniósł się do Europy i «gminy eddystek» wyrastać zaczęły, jak grzyby po deszczu. W Berlinie, w «Atenach nadspiewskich», w siedzisku racjonalizmu protestanckiego, humbug amerykański zaczął epidemicznie grasować. Dyrektorzy gimnazjów udzielali w salach szkolnych gościny eddystkom, tłum ciemny i arystokracja cisnęły się do klinik metafizycznego leczenia. Wypędzone, wskutek interwencji rady miejskiej, z gmachu gimnazjalnego, eddystki najęły sobie wspaniałe apartamenty przy ulicy Flottwella i tu codziennie, od rana do nocy, odprawiają wielkie modlenia, śpiewy, biczowania się i t. p. Przychodzą damy z arystokracji i kładąc pieniądze, wołają: «Ulecz!» Eddystki błogosławią pacjentkę i mówią: «będziesz uleczona». Przywożą tabetykowi paralityków, przywożą dzieci w dyfteryę, przywożą ludzi z chorobami skórnymi — i cały ten tłum modli się, śpiewa, bije głową o ziemię, a kto jest tak chory, że uleknąć nie może, nad tym eddystki odprawiają modły. Nareszcie cesarz wtargnął się do sprawy. Zasięgnąwszy informacji od kaznodziei Fabera i prezydenta policji berlińskiej Windheima, oświadczył kategorycznie, że któkolwiek z arystokracji uprawiać będzie humbug amerykański, utraci prawo bywania u dworu. Wtajemniczeni jednak utrzymują, że eddyzm cieszy się nadal poparciem najświetniejszych dam towarzystwa berlińskiego, które o tyle tylko zmieniły taktykę swoją, że zamiast bywać w klinikach eddystek, przyjmują we własnych salonach lekarki metafizyczne.

B.



«ŚWIĘTE NIEWIASTY U DROGI KRZYŻOWEJ».

(Nasza Karta albumowa).

Jeden z wybitnych malarzów współczesnych, tyrolczyk, Alois Delug (ur. w r. 1859), celuje w odtwarzaniu scen dramatycznych biblijnych. Wymalował też kilka obrazów, osnutych na motywach Nowego Testamentu; jednego z nich reprodukcję podajemy na Karcie albumowej niniejszego numeru «Kraju». Epizod ów z drogi kalwaryjskiej Chrystusa Pana traktował atoli artysta całkiem fantastycznie. Ewangelie nie wspominają o spotkaniu się Matki Boskiej z niosącym krzyż Chrystusem. Św. Łukasz (XXIII) pisze krótko: «I szła za nim wielka rzesza ludu i niewiast, które płakały i lamentowały. A Jezus, obróciwszy się do nich, rzekł: Córki jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszemi». Św. Marek (XV) ukazuje nam tylko niewiasty «patrzące zdaleka» na krzyżowanie Chrystusa. «Między którymi — pisze — była Marja Magdalena i Marja Jakubowa młodsza i Jo-

zefa matka i Salome». Katarzyna Emmerich w widzeniach swoich («Matka Chr. P.», rozdz. 19) opisuje szczegółowo scenę spotkania się Matki Boskiej z Synem krzyż dźwigającym, ale spotkanie to odbywa się na ulicy Jerozolimy, jakby przed domem Kaifasza. Matka Najboleśniejza, otoczona niewiastami (wśród których jest wspomniana przez ewangelistę Salome), przeciska się przez tłum, odsuwa ślepaców i bierze Syna w objęcia; zółdactwo odrzuca ją; św. Jan ją uprowadza, orszak kalwaryjski posuwa się dalej, a Matka Boska pada zemdloną «pod próg domu». Ręce jej — pisze Katarzyna Emmerich — uderzywszy o kamień węgielny oddzieliły, zostały na nim odcisk, podobny wklęsłoci, które czyni dotknięcie na płótnie. Nie poszedł przeto Delug ani za wskazówką Ewangelii, ani za opisem Katarzyny Emmerich. Na obrazie jego widzimy Matkę Boską, mdlejącą od bólei, na zakręcie drogi krzyżowej, u stóp skały. W głębi ukazują się postacie Chrystusa, dźwigającego krzyż.

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.



MARJAN PRAŻMOWSKI,
artysta dramatyczny, autor tekstu literackiego fantazji «Święty ogień», wystawionej w ub. mies. na scenie warszawskiej.

Pomnik Domejki.

Uroczyste odsłonięcie pomnika dla Ignacego Domejki w Santiago odbyło się w styczniu r. b. Pomnik wystawiło miejscowe Towarzystwo dobroczynności na cmentarzu powszechnym w Santiago. Szczegóły uroczystości i opis pomnika podaje «El Mercurio», dziennik wychodzący w Valparaiso, który przy tej sposobności chwalił zasługi Ignacego Domejki, głosił uczoność i drugiego rektora uniwersytetu w Chili. Pomnik tworzy kolumna z porfiru, uniesiona na postumencie z tegoż samego materiału, ozdobiona bogatymi złoceniami. Na szczycie kolumny umieszczono popiersie Domejki, rzeźbione w marmurze kararyjskim. Na przedniej ścianie pomnika, pod tarczą herbową rodziny Domejków, widnieje napis: *Ignacio Domejko, rector de la Universidad de Chili, 31 de julio de 1802 † 23 de enero de 1889*. Znajdują się też na pomniku herby Polski i herb chilijski. Podstawę pomnika zdobią białe róże, a biust uczonemu rodaka naszego girlandy kwiatów. W uroczystości brał udział minister oświaty, p. Rafał Balmaceda, profesorowie uniwersytetu i deputacje różnych towarzystw. Rozpoczęła się ona żałobnym nabożeństwem, odprawionem przez ks. Hermana Domejkę. Następnie ks. Juan Achurra poświęcił grobowiec, w którym złożono w urnie marmurowej szczątki uczonego. Przemawiali: minister oświaty, p. Rafał Balmaceda, p. Aleksander Rosenbaum, p. Michał Klimazowski (po polsku) i p. Florian Niebalski. W chwili złożenia zwłok do grobowca, wystąpiła deputacja polska z wieńcem z lilij, przewianym dwubarwnymi wstęgami. Zakończyło uroczystość przemówienie ministra oświaty, p. Balmaceda, który podniósł, że składa się hołd i objawy wdzięczności pamięci słynnego uczonego. Zdobycze naukowe tego męża są własnością całej ludzkości i pozostają jej dorobkiem na wieczne czasy. Ignacy Domejko był uczonym — wedle słów ministra — w naj-

piękniejszym rozumieniu tego wyrazu, był nim przez rozległą wiedzę i przez świetne przymioty i cnoty. A jeśli prawdą jest, że wiedza jest potęgą, która panować powinna nad światem, to nie ulega też zaprzeczeniu, że społeczeństwo wykształcone powinno zachować w wieczystej pamięci tych uczonych mężów, którzy służyli nauk ludzkości z całym zapałem siebie. Domejko był następcą w rektoracie Andrzeja Bello w uniwersytecie chilijskim, a obaj ci uczeni otwarli nowe szerokie horyzonty dla inteligentnej części ludności kraju. Obaj, przybywszy z dalekich krajów, umieli zdobyć sobie pracę w nowej, przybranej ojczyźnie uznanie i trwałą wdzięczność.

Jan Radyserb-Wjela.

Dnia 7 stycznia r. b. celebrował serbo-łużycki nestor swoich pisarzy narodowych. Starzec obchodził w dniu tym 80-tą rocznicę swych urodzin, zarazem jubileusz 60-letniej swej działalności literackiej. Jan Wjela, piszący pod pseudonimem Radyserba, urodził się w r. 1822 w Żydowie, przedmieściu, czy (jak pisze redaktor «Łużyce» w jego żywocie) przedwsi Budyszyna. W Budyszynie też ukończył seminarjum nauczycielskie. Od r. 1842—1889 pracował jako nauczyciel, początkowo w Bórkach koło Budyszyna, potem w rodzinnym swym zakątku, ucząc równocześnie i języka łużyckiego w gimnazjum budyzyńskim. Od lat 13 usunął się w zacisze domowe. Działalność jego literacka jest bardzo obfita i różnorodna. Obok Zejlera najplodniejszy to pisarz łużycki. W «Czasopiśmie Macicy Serbskiej» umieszcza rozprawki z zakresu językoznawstwa rodzimego i ludoznawstwa; pisze liczne powieści («Bitwa pola Budyszyna», «Krzyż a półmiesiac», «Turkojo psed Vidnom w lece 1683») i t. d., wydaje zbiorki pieśni ludowych, sam na ich nutę tworzy własne pieśni, śpiewy, śpiewki i ballady; układa epigramy i gnomy, uprawia w ogóle najbujniej poezję na ludową nutę. Radyserb jest dziś ostatnim z budzicieli życia narodowego w Serbii łużyckiej z połowy minionego stulecia. Ciekawe też i cenne będą jego pamiętniki z owej doby, które obecnie spisuje, odświeżając sobie w pamięci owe ważne a złote chwile. Piękne wspomnienie poświęca czełgodnemu starcowi «Slovanskij Prehled» prazki w roczniku III (1901) i zeszycie lutowym r. b. Również łużycki miesięcznik literacki «Łużyca» za miesiąc styczeń (1902) przynosi sympatycznie napisaną biografię i monografię sędziwego towarzysza Zejlera.

Jan-Fr. Magiera.

Kraków.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Opracowano już ostatecznie program międzynarodowego kongresu historyków w Rzymie: który trwać ma od d. 10 kwietnia do d. 3 maja. Podczas kongresu

będzie otwarta wystawa sztuk pięknych oraz odbędzie się szereg przedstawień teatralnych i koncertów. Między 30 kwietnia a 3 maja zostanie urządzona wycieczka do Neapolu i Pompei, gdzie będą dokonywane specjalne poszukiwania archeologiczne. Generalnym sekretarzem jest prof. Gorini w ministerstwie spraw zagranicznych.

+ Z New-Yorku donoszą, że wyprawa, wysłana dla odszukania Andreego, już powróciła, nie znalazła żadnych śladów zaginionego podróżnika. Z Vinnipeg, dokąd członkowie wyprawy przybyli, nadeszło zaprzeczenie rozsyłanych obecnie pogłosek, że Andreego i jego towarzyszy zabili eskimosi.

+ Wynalazca telegrafu bez drutu, Marconi, przybył do New-Yorku na statku «Filadelfia» i podczas podróży wymieniał depesze ze swą stacją w Anglii, na przestrzeni 1,550 mil morskich.

+ Według doniesienia pisma, na linii telefonicznej Paryż—Lyon odbyły się próby z telefonem piszącym, t. j. zapisującym rozmowę. Wyniki prób podobno są pozytywne.

+ Oprócz spalanej olbrzymiej encyklopedji chińskiej, o której już pisaliśmy w «Kraju», chińscy uczeni ułożyli jeszcze parę innych encyklopedji, imponujących rozmiarami. Tak np. encyklopedja, zamówiona w w. XVII przez cesarza Kang-Hsi, obejmuje 1,628 tomów po 200 str.

+ Drogocenny dla muzealnów Koran Osmana I, pochodzący z I wieku ery mahometańskiej a VIII chrześcijańskiej i przechowywany obecnie w petersburskiej Bibliotece publicznej, ma być niebawem wydany w kilkudziesięciu egzemplarzach. Jeden egzemplarz drukowany będzie ważył około 4 pudów.

+ Praktyczni amerykańscy wcale nie lekceważą sobie nauki czystej. Na posiedzeniu Akademji nauk w Saint-Louis jeden z jej członków, p. Nipher, w przemowie swej wygłosił co następuje: «Jeżeli historia ubiegłego stulecia może nas o czemkolwiek bądź pouczyć, to z pewnością o doniosłości praktycznej nauki czystej. Z tych prac rodzi się bezpośrednio wszelki postęp prawdziwy. I jeżeli kiedykolwiek jaki naród zapomni o tem źródle teoretycznym, z którego płynie wszystko, co wielkie, i pozwoli inżynierowi zastąpić uczonemu, to chwila ta będzie dla narodu tego początkiem postępu — w kierunku cywilizacji chińskiej».

+ W Westfalji, w lesie Teutoburskim w pokładzie torfu znaleziono niedawno doskonale zachowane zwłoki wojownika teutońskiego, który żył przed dwoma tysiącami lat. Powierzchność jego zgadza się z opisem Tacyty. Zachowała się też jego odzież: gruby wełniany płaszcz wzorzysty oraz sandały skórzane.

+ Ostatnimi czasy zmarli dwaj wybitni uczeni: w Paryżu — dr. Karol Letourneau, profesor szkoły antropologicznej i autor wielu prac filozoficzno-socjologicznych. W Wiedniu — prof. Maurycy Kaposi, jeden z najwybitniejszych dermatologów współczesnych, autor «Patologii i terapii chorób skórnych» i in. dzieł naukowych.

Literackie.

+ P. Natalia Korwin-Szymanowska, autorka (pod pseudonimem: Anatol Krzyżanowski) wielu powieści i studjów literackich, przedsięwzięła napisać obszerną monografię, traktującą o wpływie narodowym i cywilizacyjnym kobiety polskiej. Między innemi, jako materiał, potrzebne jej są szczegóły niektóre z pierwszej ręki, i przeto w liście otwartym, wystosowanym do wszystkich czasopism, zwraca się do wszystkich autorów polskich, prosząc o dostarczenie jej (Warszawa, ul. Chopina Nr. 19) możliwie szczegółowych danych, dotyczących: 1) życiorysu, dat, środowiska, w jakim każda z nich wzrastała, i wpływu psychologicznego, jakie to otoczenie na rozwój twórczości jej mieć mogło; 2) stosunków rodzinnych, o ile która żyćzy sobie i pozwala, aby one były poruszone; 3) ideałów społecznych i literackich; 4) specjalnych intencji, jakie w poszczególne swe prace techną pragnęły; 5) wypisu bibliograficznego wraz z datami i miejscem druku utworów z pod pióra ich wyszłych.

+ Pod tytułem: «Sienkiewicz, Hauptmann, d'Annunzio et Cie» zamieścił p. Maurycy Muret w «Journal des Débats» artykuł z powodu książki p. J. Ernesta Charlesa, p. t.: «Dzisiejsza literatura francuska». P. Charles w tej pracy swej dowodzi, że «najście romansu cudzoziemskiego jest zgubą dla francuskiej kultury narodowej». P. Muret, przyznając, że to zaprzetywanie jest aż nadto rozpowszechnione we Francji, uważa je za zupełnie błędne. «Gdyby — pisze — fakt interesowania się literaturą zagraniczną był istotnie objawem dekadencji, przynależałoby do niej Europa byłaby dzisiaj bardzo chora. Wszędzie zagranicą znajdują niekończące się autorów francuskich, niż my, we Francji znamy autorów cudzoziemskich». A kończy p. Muret następującymi słowami: «Należy oczywiście poddać pisarzy zagranicznych surowemu egzaminowi, zanim przyznamy im naturalizację. Rozróżniajmy dobre od złego. Bawmy się czytaniem Sienkiewicza. Budujmy się romansami Tołstoja i Fogazzara. Ale na miłość Boską nie narzekajmy na dekadencję dlatego, że ich dzieła są tłómaczone i sprzedawane».

+ Przetłumaczona na język rosyjski powieść St. Przybyszewskiego «Homo sapiens». «Na bezdrożu», została już nie skrytykowana, ale poprostu wysmiana przez p. Burenina w Nr-ze 4335 dziennika «Nowoje Wremia». Krytyka napisana w formie rozmowy znaną, że powieść jest wręcz karykaturalna, a jej bohaterowie niepełna rozumu.

+ «Dziennik Polski» utrzymuje, że Legendy A. Niemcewskiego, jak wiadomo, skonfiskowane w Austrii, są «plagiatem» popelnionym na ramotach jakiegoś żyda, który w Hamburgu wydał w roku 1901 książkę p. t.: «Geschichte des Rabbi Jeschua ben Josef hanootzri, genannt Jesus Christus. Einzig wirkliche und wahre Enthüllungen ueber das



Władysław Andrychiewicz, wybitny prawnik, autor wielu prac naukowych prawniczych, redaktor „Bibliot. Umiejęt. Prawnych” oraz „Gazety Sądowej”, zmarł w Warszawie d. 12 h. m.



Józef Pobóg-Dłużewski, radca dyrekt. Tow. kred. ziemskiego, zmarł w Warszawie d. 12 Intego.



Aleksandra z hr. Kossakowskich hr. Broel-Platerowa, naczelna opiekunka warszawskiego „Przytuliska”, zmarła w Warszawie d. 21 grudnia r. z.

Leben, die Wunderthaten und das natürliche Ende des Grossen Propheten van Nazareth. Tego jeszcze brakowało dziejom tej rozreklamowanej książki.

+ W Berlinie zmarł Kazimierz Rzepecki, literat i publicysta, w 35 roku życia. Pracował w „Gońcu Wielkopolskim”, „Dzienn. Poznańskim” i ostatnimi czasy w „Słowie Polskim”.

+ Jeden z najpopularniejszych w Rosji powieściopisarzy A. M. Pienkow, powszechnie znany pod pseudonimem Maksym Gorkij, którego utwory tłumaczą się na różne języki europejskie, został wybrany na członka honorowego wydziału literackiego petersburskiej Akademii nauk.

+ Wydawca czasopisma „Journal de Geneve”, Karol Morel, zmarł w końcu lutego. Był to najwybitniejszy publicysta szwaj-

carski. Przez dłuższy czas zajmował katedrę filologii romańskiej w uniwersytecie genewskim i paryskim za Napoleona III. ogłosił szereg prac z zakresu archeologii, i potem porzuciwszy niwę naukową, poświęcił się wyłącznie dziennikarstwu. Zmarł w 65 roku życia.

Artystyczne.

+ We Lwowie d. 12 b. m. zmarła zasłużona artystka-malarka Bronisława z Bierzyńskich Poświkowa. Gerson, laureat petersburski Wiesiołowski, Marja Andrzejkowiczówna byli jej nauczycielami, wykształciła piękny talent malarski, który s. p. Poświkowa oddała następnie w służbę sztuce malarskiej dekoracyjnej. Dekorowane przez nią (zawsze według własnych wzorów) meble, fajanse, etc., zyskały zasłużone uznanie. Artystka była rzetelna w tem zdolności. Wystawy odznaczały się szczerze medalami kompozycje i prace Poświkowej. Z Kielc rodem, umarła w siłę wieku, w 46 roku życia, wykształciwszy wiele uczennic, zostawiając po sobie pamięć jak najlepszą, otoczona czcią i miłością.

+ W krakowskim Muzeum narodowym, staraniem Jerzego hr. Mycielskiego, wystawiono dwa nieznanne obrazy olejne Artura Grottera. Jeden z nich jest portretem Juliana hr. Tarnowskiego, który zginął pod Komorowem. Drugi przedstawia rozmowę hetmanów Ludwika Sosnowskiego i Tadeusza Kościuszki w ogrodzie przy świetle księżyca.

+ Zarząd warszawskiego Tow. artystycznego zapowiada ogłoszenie konkursu architektonicznego na zagrodę dla kolonii rzemieślniczej w stylu swojskim.

+ W Krakowie na koncercie Tow. muzycznego po raz pierwszy wykonano znaną już w Warszawie kantatę bar. Leopolda Kronenberga „Antico”. Wykonaniem dyrygował kompozytor, którego publiczność witała gorąco.

+ W New-Yorku p. Hyatt Verill wynalazł (podobno!) nowy sposób otrzymywania fotografii kolorowej, t. j. w barwach naturalnych.

+ Z wycieczki swej artystycznej wrócił już St. Barcewicz do Warszawy. Koncertował w Petersburgu, Moskwie, Helsingforsie, Rydze, Witebsku, Smoleńsku, Jekaterynosławiu, Kamienskoje, Jelisawetgradzie, Żytomierzu i Kijowie, wszędzie przyjmowany owa- cyjnie.

+ Ostatnimi czasy w Paryżu koncertowali z wielkim powodzeniem: Godowski (w Tow. filharmonicznym) i p. Wanda Landowska (u Lamoureux).

+ W Petersburgu niebawem zostanie otwarta wystawa gemm i kamei starożytnych, znalezionych w Rosji. Wiele z nich ma bardzo wysoką wartość artystyczną.

+ Od marca r. b. zaczęła wychodzić w Berlinie, pod redakcją A. L. Jellinka, międzynarodowa „Bibliografia prac sztuce poświęconych” (Bibliographie der Kunst Wissenschaft). Mają tu być zaznaczone artykuły czasopism i reprodukcje dzieł sztuki.

Teatralne.

+ Reżyserja teatrów warszawskich nabyła przeróbkę „Krzyżaków” H. Sienkiewicza, dokonana przez p. Wolańskiego.

+ We Lwowie wystawiono, z równem jak w Warszawie powodzeniem, jednoaktówkę St. Krzyszewskiego „Piękna ogrodniczka”.

+ Warszawianka Laura Lubicz-Strzezińska śpiewa z wielkim powodzeniem na scenie włoskiej w Busto-Arsizio.

+ Występującemu obecnie w Paryżu Janowi Reszkemu zaproponowano wycieczkę artystyczną po Ameryce, ofiarując mu milion fr. za 40 przedstawień. Artysta oferty nie przyjął.

+ Warszawscy „Miłośnicy sceny” gotują się do wystawienia sztuki Schnitzlera p. t.: „Puszcza”. Sztuka ta będzie wystawiona po raz pierwszy w języku polskim.

+ W medjołańskim teatrze „Lirico” dano jednoaktową operę „Wanda” Rudolfa Conti, a w teatrze „Olimpia” wystawiono dramat „Ogniem i mieczem”, przerobiony z powieści Sienkiewicza.

Nowe książki.

Wł. St. Reymont. „Przed świtem”. Warszawa, 1902, str. 253. Cena 1 rb. 20 kop.

Za przykładem Maupassanta, nadano temu tomowi tytuł pomieszczonej w nim na czele noweli; można się tylko sprzeczać z autorem o wybór noweli tytułowej. Książka zawiera dwie krótkie nowelki: „Przed świtem” i „Pewnego dnia” oraz powieść z życia ludu, jedną z najlepszych i najciekawszych autorstwa „Fermentów”, p. t.: „Sprawiedliwość”. Właściwie ta powieść powinna była zająć w tomie naczelną miejsce i nadać mu tytuł, gdyż nie tylko jest rozmiarami największą (zajmuje trzy czwarte książki), ale należy w ogóle do najciekawszych powieści, jakie u nas ostatnimi czasy zostały napisane. Rzecz to znakomita, pierwszorzędna, pełna siły i inwencji twórczej. Nie można tego w równym stopniu powiedzieć o pomniejszych nowelach, z których pierwsza, na tle życia szpitalnego, jest echem katastrofy na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, po której Reymont, poturbowany, leczyl się czas jakiś w szpitalu na Pradze; druga zaś, z akcją toczącą się w Łodzi, jest jakby epizodem z „Żłiem obiecane” tegoż wielce utalentowanego powieściopisarza.

Florjan Łagowski. „Z metadyki języka polskiego”. Uwagi. Warszawa, 1902, str. 129. Z zapomogi Kasy im. Mianowskiego. Skład główny w księg. M. Arcta. Cena 50 kop.

W książce tej, powstałej z artykułów „Przeglądu Pedagogicznego”, autor stara się rozjaśnić kwestie wątpliwe lub takie, które, rutyną uświęcone, domagają się reformy. W ogóle książka ta, choć niejednolita, obejmuje najważniejsze sprawy, dotyczące nauki języka polskiego na stopniu elementarnym i 4 ch klas szkół średnich.

Ks. Józef Lendzin. „Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w Księstwie Cieszyńskim. Lwów, 1901, str. 41. Nakładem Tow. wydawniczego. Cena 55 kop.

Praca ta nieustraszonego działacza szląskiego składa się z sześciu rozdziałów: 1) Stosunki szkolne przed rokiem 1848; 2) Właściwe zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych; 3) Następstwa tej reformy; 4) Wprowadzenie języka niemieckiego; 5) Epizod z pogranicza polsko-czeskiego; 6) Zakonczenie. Oparta na dokumentach urzędowych, praca ta, jako rzecz napisana

przez człowieka, będącego *magna pars* w dzisiejszych stosunkach odradzającego się Ślązaka, jest niezmiernie ważnym przyczynkiem do ewolucji polskości na kresach zachodnich.

Stanisław Betza. „My, czy oni na Szlązku polskim?”. Warszawa, 1902, str. 50. Gebethner i Wolff. Cena 30 kop.

Pracę tę o wiele dających do myślenia stosunkach na Szlązku polskim, poświęcił autor (znany podróżnik) tym, którym jest drogi narodowy rozwój Szlązka polskiego, tym, którzy głową i sercem przyczynili się do odrodzenia tej przastarzej Płastowskiej dzielnicy, oraz tym, którzy w przyszłości pragną mu służyć wytrwale i wiernie, broniąc go od zniechęcenia. Jak wszystkie prace i opisy podróży Stan. Betzy, książeczka ta odznacza się wielce poprawną formą, a poruszona w niej struna społeczna na tle odwiecznej walki «krzyżackiego gadu» ze słowianami, czyni ją podwójnie ciekawą i pouczającą.

M. Czajkowski. „Żył Piętra Ilijcz Czajkowskiego”. 1900.

Życie i dusza wielkiego kompozytora rosyjskiego po raz pierwszy oświetlone zostały wszechstronnie w wymienionym wyżej dziele, które zająć może nie tylko miłośników muzyki w ogóle, a geniuszu muzycznego Czajkowskiego w szczególności, lecz wszystkich tych, którzy interesują się psychologią artystów. Autor korzystał z niezmiernie bogatego materiału: 4.112 listów Czajkowskiego, oraz 5.137 listów 807 różnych osób do niego. W książce tej odbija się muzykalne życie Rosji w drugiej połowie minionego stulecia, a poniekąd zatracą ona i o historię muzyki zagranicznej. Ciekawie skryśione tu zostały stosunki Czajkowskiego z Tolstojem, — którego kompozytor z początku miłował ogromnie, poruszony do żywego tem, że wielki pisarz załaził się z nim, słuchając *andante* D-dur Czajkowskiego, — lecz potem muzyk począł go unikać, rozczarowany wielce do autora dzieła „Co to jest sztuka”, za przeczącego genialności niektórych symfonij Beethovena. Ongi Tolstoj wydawał się Czajkowskiemu pół-bogiem, lecz sądy o Beethovenie, „niegodne genialnego umysłu”, mocno zraziły wrażliwego kompozytora.

Morian Jacques. „Eva”. Paris, 1901. Calmann Lévy (310 s. 8). Fr. 3,50.

Autor tej powieści potrafił problemat zdrady małżeńskiej przedstawić z powagą moralną, niezwykłą u francuskich pisarzy. W romansach francuskich rzadko daje się spotkać taką, jak u Moriana, bohaterka, nie należąca do świata kokotek i nie modelowana z postaci z półświatka. Idealna, a przecie prawdziwie skreślona, nie papierowa, ale pełna życia jest Ewa Lagrassé, wcześniej osierocona przez matkę, obojętnie traktowana przez ojca, zakochana — bez wiedzy o tem — w dawnym przyjacielu swojej matki, kochana przez niego, otwierająca wraz z nim współcześnie oczy na tę miłość... niestety beznadziejną, albowiem Verniere ma żonę. Tragizm sytuacji wyraża się, że żona Verniere’a, Marta, jest ladaćnicą, oszukującą męża, i spotwarza dawną swoją przyjaciółkę Ewę, zdejmując z niej urok w oczach ślepego na błędy swojej żony Verniere’a, podczas gdy Ewa, znając niegodne postępowanie Marty, zamyka się w milczeniu i cierpi.

BIBLIOGRAFIA TYGODNIOWA.

BAZIN R. Rodzina Oberlé, powieść, 2 tomy, kop. 50, w opr. płóc. kop. 80. „ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA”, tom VI, zeszyt I, kop. 40. KALENDARZYK ROLNICZY na r. 1902, wydany p. M. Januszewskiego, w opr. płóc. rb. 1. ROCHANOWSKI J. K. Heraldyka, czyli znajomość herbownictwa, kop. 20. NUSBAUM H. dr. Czem jestem? kop. 90. STERLING W. dr. Cierpienia nerwowe, ich przyczyny, objawy i leczenie — kop. 15. ŻARNOWIECKI L. ks. Symbolizm, a zwłaszcza bezjawnie na tkaninach kościelnych — rb. 1.

Do nabycia w Księgarni K. Grendy-szyńskiego, w Petersburgu (ulica Jekateryńska № 2).

Redaktor i wydawca Erazm Piltz.

CYTELINA

„Kraj”

Petersburg, 8 (21) marca 1902 roku.

№ 10

TREŚĆ:

BIBLIOTEKARZ, p. J. Korzeniowską. Z POEZYJ WŁ. ZAGÓRSKIEGO. ROK 1809. Powieść historyczna przez Wacława Gąsiorowskiego. (DC). CIOTUNIA, p. Henryka de Forge’a. TO I OWO.

J. KORZENIOWSKA.

Bibliotekarz.

Przez otwarte okna biblioteki zamkowej, wychodzącej na ogród, wpadało z po za misternych krat cudowne, wiosenne powietrze. Sala to była wielka; półki z rzędami poważnie oprawnych książek sięgały sklepienia; środkiem szereg niskich, oszklonych szaf zawierał cenne rękopisy; marmurowe biusty sławnych mężów ożywiały monotonię biblioteczną, a kilka sosn i lip, rosnących swobodnie na wielkiej łacie przed frontem pałacu, stało swój aromatyczny zapach między martwe książki i pergaminy.

Dwóch ludzi stało we drzwiach sali: jeden wysoki, stary, pięknej i imponującej postawy, drugi — młodzieniec średniego wzrostu, nad wiek poważny, o żywym i bystrym oku.

— Rozejrzyj się, panie Jański, po swem przysłem państwie — przemówił starszy. Ale nie radzę szaf tych otwierać, póki Wilkowiec sam ich panu nie pokaże — dodał z uśmiechem. — Te rękopisy — to jego skarby wypieszczone.

Młody człowiek skłonił się na znak, że rozumie i szanuje przywiązanie starego bibliotekarza do pielegnowanych oddawna rzadkości, a obrzucając dokoła wzrokiem, więcej z potrzeby grzecznego słowa, niż z przekonania, odezwał się:

— Łatwo rządzić w państwie, gdzie taki porządek panuje. Podobno i do tych licznych rękopisów istnieje katalog, jak książkę wspominał...

— Tak — odparł z wolna książę — katalog istnieje; jest w robocie i na ukończeniu, ale są braki. Gdyby był doskonały, nie wzywałbym twej pomocy, panie Jański, i nie zasmucałbym ostatnich dni starego Wilkowiec widokiem pomocnika, a może i... następcy.

— Czy pan Wilkowiec doprawdy tak chory? — spytał młody uczonec.

— Gaśnie — rzekł książę — jednak na stanowisku codziennie zastać go można. On tu nadejdzie niebawem — dodał, spoglądając na zegarek — zapoznać się panowie sami; ja muszę zejść na dół. Przykro mi bardzo, ale oczekuję lada chwila mojej siostrzenicy.

Podał rękę młodemu człowiekowi i wyszedł, zostawiając Jańskiego wielce zakłopotanym.

Miał się sam przedstawić staremu bibliotekarzowi i jeszcze może wytłomaczyć ze swej bytności w zamku.

Mimowoli przystąpił do okna, gdzie stało biurko Wilkowiec, siadł na krześle z wysoką poręczą i wzrok zapuścił daleko w grabowia aleje, które drzewa cięte, jak szpaler, obejmowały drogę równą, zwirową, biegnącą w prostej linii aż do wjazdowej bramy parku.

Droga ta pusta, a w rannem słońcu jasna, gładka i łatwa, zamagnetyzowała oczy Jańskiego, budząc mu w myśli porównania z gładkiem i jasnym może życiem mieszkańców tej siedziby, do której dziwnym trafem dostał się na czas dłuższy, bo na kilka miesięcy. Nagle drgnął i odwrócił się. Przed nim stało widmo człowieka, wsparte na lasce, a widmo to patrzyło pytająco i groźnie. — Jestem Jański — rzekł, witając z uszanowaniem.

— Wilkowiec — mruknął tamten, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Książę polecił mi czekać na pana — zaczął młody człowiek jak najgrzeczniej, zdjęty nagłą litością dla dogorywającego bibliotekarza. — Nie wiem, czy znany panu układ, jaki książę ze mną uczynił.

Chory starzec machnął ręką i przypatrywał mu się z niepokojącym

milczeniem; wreszcie, jakby go to badanie zadowolniło, odezwał się:

— I układ znam, i nazwisko pana znam, i pańskie prace. Jański odetchnął.

On, przybywszy tutaj, pierwszy raz usłyszał o Wilkowiecu; ale imię Jańskiego, młodego badacza, który napisał kilka rozpraw z dziedziny historii, znanem było nawet w tym zakątku.

Tymczasem Wilkowiec z wolna mówił dalej:

— Wiem, książę niecierpliwi się, że robota powoli postępuje. Niestety! niema żadnych wskazówek, gdzie się znajduje ów dokument. Jest to lista, a samych listów mamy tomów *in folio* kilkadziesiąt. Zaczęłam od pierwszego, przerobiłam kilka z kolei, a żeby ta praca nie marniała, notuję treść każdego tomu i dopiełnam katalog, zbyt ogólnie traktowany. Dlatego to, i dla innych przyczyn jeszcze, trudno mi się spieszyć; charakter listów różni się oczywiście, a oczy moje słabną.

Tak rozpoczęta znajomość żywo naprzód postępowała.

Młody człowiek rad był, że poważny kolega jego od razu mówi z nim szczerze; staremu zaś podobno się obejście Jańskiego i bystrość uwag, gdy mu pokazywał rzadkie i cenne skarby książęcej biblioteki.

Jakiś świeższy powiew wiosenny wpadł i obleciał wszystkie kąty sali.

Wilkowiec zakaszał, a Jański zwrócił się, aby zamknąć okno, przy którym stali.

Po zwirowie w parku toczył się otwarty powóz; siedziały w nim dwie panie w gestych woalkach. Jedwabisty biały pincz z powagą trzymał się na koźle obok woźnicy i zadzierał do góry swój czarny nos, jakby wiedział, że ten nos daje mu patent na prawdziwą psia urodę.

— Ktoś jedzie z kolei — rzekł Jański, spostrzegłszy drobne pakunki, rozrzucone na przednim siedzeniu powozowem. Każda rzecz zaciękała go w nowym miejscu.

— To hrabianka Teresa — objaśnił Wilkowiec żywszym głosem.

Poznasz ją pan przy obiedzie. Zapewne pytać będzie o rezultat mojego szperania. Powiesz jej...

— Jakto?—przerwał Jański— a pan?

— Ja bo już nie mogę stroić się i jadam u siebie.

Jańskiemu wydało się, że Wilkowicz ostatnie wyrazy wymówił z żalem.

— I mnie ominie zaszczyt tego obiadu—odpowiedział z pewną studenczką butą na samo przypuszczenie, że mógłby się cieszyć zaproszeniem do stołu «magnata»—Mieszkam u wuja, który nie przebaczyłby mi, gdybym z nim nie przepędził pierwszego wieczora.

— Któż jest wuj pański?—spytał Wilkowicz.

— Administrator tutejszy — odparł Jański.

Już więcej nie mówili o sprawach osobistych, tylko Wilkowicz, wspierając się na lasce, wodził gościa od szafy do szafy, opowiadał, objaśniał, a wędrowną tą, dla obu zajmującą, pochłonięta godzin kilka.

Zmierzało się już w sklepionej sali, choć na dworze jasno było i wesoło, gdy Jański niewprawną ręką zasuwał rygle biblioteki, a zmęczony Wilkowicz włókł się korytarzem do swego pokoju.

— Jeden tylko bibliotekarz mieszka w pałacu — rzekł po drodze do młodzieńca, który go odprowadzał. — Inni urzędnicy mieszczą się w oficynach.

Jański, po kilkogodzinnej znajomości, przejęty głęboką sympatią dla chorego, który mu zaimponował prócz tego swą erudycją, wszedł z nim do pokoju i zapytał, czy może mu być użytecznym.

Na Wilkowicza, widocznie po wysiłku i rozmowie, przyszło wielkie osłabienie i poddawał się chętnie staraniom towarzysza.

Jański zapalił świecę i z niepokojem wpatrywał się w tę twarz woskowej barwy, w całą postać, która zdawała się ginać w fałdach spadającego z ramion ubrania.

Człowiek ten nie był stary, tylko wyniszczony chorobą i pracą.

Pokój, w którym mieszkał od lat dwudziestu, choć obszerny i wygodny, położony był na dole i zamykał w sobie cały chłód i wilgoć wielkiego gmachu.

— Niemógłbym żyć tutaj — pomyślał Jański.

Chory tymczasem, spoczawszy na kanapie, przyszedł do sił powoli. Otworzył oczy i widocznie obecność drugiej istoty w tej pustce, otaczającej go wiecznemi, uspakajała mu nerwy.

Jański przyrządził wodę na maszynce spirytusowej, zrobił mu her-

baty i nalegał, żeby zjadł kaszki, albo parę jaj.

Spostrzegł był już w rogu pokoju mały kredensik i na półkach jego zapasy skromne jaj, mleka, kaszy; odgadł zatem odrazu to starokawalerskie gospodarstwo.

Ale Wilkowicz nie chciał takiej wieczery.

— Nie, nie—mówił szeptem—prosiłem dziś panią Linę, przysłać mi z obiadu trochę jarzyn i skrzydelko od kury.

Tymczasem w sieni zamkowej ozwał się dzwon o dźwięku łagodnym, przenikający jednak do wszystkich pięt i donoszący o porze posiłku.

— Obiad — szepnął Wilkowicz uroczyście i wyprostował się, jakby gotował się do wejścia na salę.

Jański, sam zmęczony i rad już znaleźć się w rodzinnym kole wuja, nie odchodził jednak od Wilkowicza, czekając, czy ktokolwiek ze służby pałacowej nie zainteresuje się chorym.

Pani Lina Jarocka, lektorka księżnej, niegdyś nauczycielka młodszej siostry, hrabianki Teresy, dzisiaj żona nadwornego lekarza Jarockiego, nie zawiodła Wilkowicza.

W poł godziny po dzwonku lokaj wniósł na tacy wykwinie przyrządzone jedzenie, na które przecież chory był zupełnie obojętny. Natomiast spytał, kto jest dziś na obiedzie.

— Książę pan, pani Jarocka, panna Goska i pan Adam — odpowiedział lokaj.

— A hrabianka?

— Panna hrabianka ma migrenę. Lokaj wyszedł.

Wilkowicz siedział przez chwilę nieruchomy i milczący.

— Zmęczyla się droga — mruknął w końcu do siebie, a Jański już nie pytał, kto się zmęczył, bo poznał z kilku wzmianek poprzednich, jaką cziłą otacza Wilkowicz hrabiankę Teresę i jak wiele myśli jej poświęca.

Późno już było; stary bibliotekarz drzemał w fotelu i Jański pomyślał, że trzeba w końcu odnaleźć w tem obcym miejscu wuja i kuzynkę Halę, którą zrana widział tylko przelotnie. Zaledwie mógł trafić do właściwych drzwi w piętrowej oficynie, stojącej na granicy między parkiem pałacowym a zabudowaniami folwarcznymi.

Gdy stał na ganku, rzadko jeszcze dzikiem winem obrośniętym, dwie postacie przesunęły się z wolna po ścieżce, wiodącej do kwiatowego ogródka.

— Podróż była wygodna, tylko Ami niecierpliwił się w wagonie i to właśnie zdenerwowało hrabiankę — mówiła postać kobieca.

— Ami woli przejażdżkę powozem — odrzekł mężczyzna. — Jutro jadę do lasu wolantem, to zabiorę go z sobą.

— Jaki pan dobry, panie Adamie, hrabianka będzie tak wdzięczna.

Jański nie słyszał dalszej rozmowy, domyślił się tylko, że była to panna Goska, towarzysza hrabianki, tudzież pan Adam, sekretarz księcia. Mówili o pinczu hrabianki. Jański nacisnął klamkę, wszedł do mrocznej sieni, a z niej na lewo do jadalnego pokoju.

W jadalni przy samowarze siedziała samotnie młoda dziewczyna i czytała książkę.

Gdy podniosła na wchodzącego czarne oczy, pełne życia i energii, wszystko dokola niej wydało się śmiejącem i ożywionem. Samowar świecił się i grał głośno, lampa jasno płonęła, cała zastawa stołu brała życie od swej pani i w świetnej czystości swej odbijała stokrotnie jej oczy, usta, kolczyki i białe kwiatki za paskiem stanika.

Była to kuzynka Hala.

— Nareszcie! — zawołała wesoło. — Siadajże tu, po lewej stronie, panie bibliotekarzu; ojciec w kancelarii, kończy rachunki i zapewne zaraz nadejdzie. A teraz opowiedz mi, coś robił dzień cały, coś widział w bibliotece, czyś zadowolony ze swego tu przybycia, czy nie będziesz narzekał na ojczulka, który cię księciu polecił?

Jański jednak nie mógł przemówić, tak oszołomiło go przejście z wilgotnego, posępnego pokoju chorego do wesołej jadalni. Lecz za chwilę było mu tak dobrze, ciepło, jasno, a z rozumnych ust Halki, która umiała mówić o wszystkim ze zrozumieniem i przejęciem, płynęły wyrazy zdumiewające go bogactwem myśli i zastanowienia.

Mała dziewczynka, którą znał niegdyś swawolną i figlarną, w samotności wykształciła się na myślącą kobietę i wyrobiła sobie o ludziach i stosunkach własny, zdrowy sąd.

To ostatnie spostrzeżenie zrobił Jański dopiero wtedy, gdy się zjawił na koniec wuj administrator i zarzucił pytaniami o dzień spędzony w zamku, o księcia, o hrabiankę Teresę. Halka, pozwoiliwszy kuzynkowi odpowiedzieć, jednym słowem zwróciła następnie rozmowę na rzeczy ogólne, zajęła ojca i młodego człowieka jakąś kwestją żywotną i sprawiła, że do końca wieczora nie wspomnieli ani razu o zamku i jego mieszkańcach.

Żyli życiem własnem, nie pożyczanem.

Przez kilka dni następnych Jański pracował w bibliotece wraz z Wilkowiczem, który od południa

do zachodu słońca silniejszym bywał oraz zdrowszym.

Wskazówki starszego pracownika cennymi okazały się młodemu, przeko jednak sam zapoznał się z owymi tomami listów, a przyniósł do roboty jakiś nowy system, i wprawę, i biegłość niepoślednią. Każde nowe pismo, tak nużące dla zmęczonego wzroku Wilkowicza, dla niego było łatwem i czytelnem.

Po upływie tygodnia robota postąpiła znacznie; książkę, którą często do biblioteki zaglądał, okazywał widoczne zadowolenie z młodego badacza, a w końcu i hrabianka Teresa zapragnęła poznać Jańskiego.

Młody człowiek był już dobrze przygotowany na to spotkanie z wielką panią, słynącą z wdzięków i rozumu.

Wilkowicz w wolnych chwilach od pracy mówił wyłącznie prawie o hrabiance.

Ona była w domu wuja słońcem i najważniejszą sprężyną. Zdanie jej, uśmiech, spojrzenie, znaczyło więcej, niż wola i słowo małżonki księcia, zawsze zresztą zagranicą przebywającej.

Dzieckiem hrabianka Teresa wychowywała się u księżstwa; młoda panienką będąc, pod ich opieką w świat wstąpiła, a teraz jako samodzielną i dojrzałą kobietą, zachowała wpływ rozpieszczonego dziecka, wsparty rozumem i wdziękiem.

Niepodobna było przybliżyć się do niej i pozostać obojętnym; wszyscy ją czcili, jak Wilkowicz, i jej życzenia spełniali, a i to przeglądanie rękopisów, tak dokładne i mozolne — dla niej się robiło.

Hrabianka pisała życiorys jednej ze swych prababek. Bez listu, którego szukano tak pilnie, książka miała wartość ładnej bajki, z listem tym stawała się dokumentem historycznym. Wiedzano z tradycji, że istniał, że był w archiwach rodzinnych. Stary, zniedołężniały bibliotekarz — dotąd nie umiał go wyśzukać.

Wieczorem dnia tego, gdy został przedstawiony hrabiance, Jański mówił Halce z uniesieniem o pięknej, czarującej pani. Halka uśmiechnęła się i zamilkła. Jański pomyślał:

— Zazdrość kobieca, nawet u tak doskonałej istoty, jak Halka.

Książę zapraszał go teraz na obiady i wieczory, a młodzieniec z rozkoszą używał tego towarzystwa, gdzie się dowiedział wielu rzeczy dla siebie nowych, i gdzie sam wnosił świeżość uczuć i zdobytą już wiedzę.

Panna Goska, sympatyczna i rozumna osoba lat średnich, pani Jarocka i pan Adam, tworzyli dobra-

ne kółko pałacowe, w którym przeko Jański uczuł się swobodnym, i które pociągało go wytwornością myśli, spokojem obejścia i wspólną im i jemu cziłą dla hrabianki Teresy.

To też gdy raz i drugi nie znalazł u Halki, mało interesującej się zamkiem, oddźwięku dla swych wrażeń, szukał towarzystwa panny Goskiej, a w braku jej, dużo starszej i sztywniejszej pani Liny.

Dla nich obu, a nawet i dla pana Adama rozmowa o hrabiance była naturalną potrzebą, a myślenie o niej nałogiem.

Minał tydzień jeden i drugi. Jański mniej teraz widywał Halę, która w dzień zajęta gospodarstwem, wieczorami zaś paląc długo w noc lampę na swem biurku, unikała go bezwiednie, czy umyślnie może.

Ale pewnej niedzieli na cmentarzu przed kościołem, zbliżyła się do kuzyna, świeża i jasna, w letniej sukience, i poprowadziwszy do ogródka proboszcza, siadła tam na ławce, wskazując Jańskiemu miejsce obok siebie.

Oboje przyszli zawczasie; nabożeństwo miało się zacząć za pół godziny dopiero.

— Powiedz mi szczerze — rzekła bez wstępu — czy polubiłeś to miejsce?

— Nadzwyczajnie — odparł Jański z zapalem. — Praca idzie łatwo i tyle tu skarbów znajduje.

— A więc zostalbyś na miejscu Wilkowicza? — dodała z wolna zamyślona.

— Halko! ten człowiek żyje jeszcze! — zawołał Jański.

— Nie życzę mu śmierci — odpowiedziała Halka — choć męczeński żywot wiedzie i wiemy wszyscy, że chwile jego policzone. Odpowiedz mi zatem, czy w danym razie zostalbyś na jego miejscu?

— Zostalby — oparł Jański.

Chwilę milczeli, wreszcie Halka rzekła cicho, ale dobitnie:

— To mi cię za!

— Dlaczego? — zawołał zdumiony.

— Wpadłeś w samotrząsk...

— Nie rozumiem.

— I bez pomocy nie wydobędziesz się z niego.

— Wytlómacz mi niebezpieczeństwo, a potem powiedz, kto mi da pomoc — rzekł Jański, cokolwiek rozdrażniony zagadkowemi słowami dziewczyny.

— Pomoc dam ja — odpowiedziała Halka z prostotą. — Tymczasem patrz i słuchaj, co powiem.

Przez ogródek proboszcza było krótsze przejście z zamku do kościoła.

Zaskrzypiała właśnie furteczka od strony parku i na ścieżce ukazała się pani Lina Jarocka.

Sztywnym krokiem posuwała się

z godnością, trzymając w ręku dwie książki do nabożeństwa. Powitała młodą parę poważnym ukłonem, a gdy znikła we drzwiach zakrystji, Halka, która patrzyła na nią z politowaniem, rzekła do Jańskiego:

— To biedna kobieta.

A gdy Jański milczał, onieśmieszony dziwnem usposobieniem Halki, dziewczę odezwało się znów:

— Chciałabym, abys mógł w tej chwili czytać myśli pani Jarockiej, tak, jak je czytam. Za kogo idzie modlić się teraz? Może za pomyślność kraju? może za męża, który z chorą księżną płynie jachtem po Śródziemnym morzu? za dzieci, które potraciła? Bynajmniej! Za zdrowie hrabianki Teresy, i księcia pana, i księżnej pani, i za dziewczynki książęce, które wraz z jej dziećmi pomarły na dyfterję. Widziałeś jej cudaczną suknię, skrojoną według mody przeszło trzydziestoletniej. Masz obraz jej duszy. Nie śmie ubierać się inaczej, bo tak podobalo się chodzić księżnie i siostroze księżnej. Tak samo jej pojęcia i przekonania nie są własne, ale nabyte długoletniem z panami obcowaniem; czuć i kochać nie umie dla siebie, a i myśleć za siebie zapomniiała.

Halka mówiła cicho, beznamietnie, ale z głębi serca i dlatego może słowa jej czyniły na Jańskim wrażenie, choć celu jasno jeszcze nie widział.

Tymczasem koło nich przeszła z wdziękiem panna Goska, zostawiając za sobą smugę delikatnego zapachu, jaki przenikał jej staranne i wykwinne ubranie.

— Ta sympatyczna osoba ubiera się bardzo ładnie i może dusza jej znajdzie łaskę przed tobą — rzekł Jański, patrząc w oczy Halki z lekkim uśmiechem.

— Panna Goska — odparła z powagą Halka — jest pełna zalet, niegdyś była urodziwa i gdyby w usługach dla książęcej rodziny nie była zapomniiała, że i dla niej kwitła młodość, i świat uśmiechał się pełen ponęt i obietnic szczęścia, może dziś miałaby liczną własną rodzinę, któraby ją otaczała temi staraniami i miłością, jakie ona teraz musi obcym oddawać.

— Moja ty jasnowidząca — zauważył Jański — powiedz mi, o czem mówi w tej chwili pan Adam, który zbliżył się do panny Goskiej. Widzisz ich? stoją w cieniu tej cudownej lipy.

— O migrenie hrabianki Teresy — odpowiedziała Halka bez namysłu, a Jański przypomniał sobie urywek rozmowy, zasłyszanej pierwszego wieczora w kwiatowym ogródku, gdy panna Goska i pan Adam troszczyli się o gustu białego pincza hrabianki.

Przypomniał sobie także, że wtedy zabawiło to jego, ubożego szlachetkę, niedawnego studenta o szerokich i dalekich ideałach, że mogą być ludzie tak ciasnych pojęć, aby tracić myśli i słowa nad pin-czem hrabianki, albo nad tejże hrabianki rozdrażnionymi nerwami.

DN

Z poezji Wł. Zagórskiego.

Do młodego poety.

Pozostaw żal, i skargę, i biadanie
Tym, których zlamiał ciężki życia trud!
Twem wianem maj, i młodość, i kochanie
I kwiecień woi, i wszystek wiosny cud;
Dla ciebie swity zór i ptaszków granie,
Dla ciebie ust różanych słodki miód,
A ty się pytasz w tej upoju chwili,
Czy kwiat nie zwiędnie, miłość nie omyli?...

Karta albumowa.

Śniłem!...
Kiedy to było, nie wiem; dość, że
widziałem ogród jakiś, jablonie, czereśnie,
Cale w kwiatach, na stoku rozwieszone
góry;
Wyżej słońce i nieba pogodne lazury,
Skala—na niej zamczysko jakieś rozwa-lone...

— Pani była turystką—jam był Cicerone...
I mówiłem, że w zamku tym żyli rycerze,
Co mieli jasne zbroje, słoneczne puklerze,
A nieśli górą sztandar swój, pełni zapалу;
I żyli tam minstrele, którzy ideału
Wiernymi kapłanami byli, i dziewice—
Anioły modro-okie, kwiaty różo-lice!
Pełne wdzięku i czaru... Lat minęło wiele,
Burz mnogo—jakie?—nie wiem!... Zamku
właściciele

Wymarli... Stary zamek jest dzisiaj bro-warem,
I kipi przez dzień cały i zgiełkiem i
gwarem.
Nowego tchnął w rudę ducha ruch fa-bryki —
Gdzie brzmiała pieśń minstrelów, syczą
alembiki,

Na piedestalach kolumn smolne kotły stoją,
Wyzłacane komnaty czeladzią się roją,
Marmurowe kominki żarem huty zięją,
I wre zamek...

Lecz w nocy, gdy kury zapieją
Północ, gdy zgiełk ucichnie, kiedy spocz-nie praca,
Dawne, umarłe życie znów cudem po-wraca...

W kruzgankach brzęk gitary słychać,
łoskot stali.
Szmer całunków, śpiew dziewic; w ka-plicy się pali
Światło; organów granie brzmi wśród
nocy głuchej;
— Wracają dawne zamku pany — jako
duchy!...

I widziałem to we śnie, że pani żal było,
Iż się stare zamczysko w fabrykę zmie-niło,
I że się dziś w niem proza rozsiadła su-rowa...

— A tem starem zamczyskiem była mo-ja głowa!...

Z poematu „Król Salomon“.

Pustynna była okolica,
Królestwo martwe ciszy wiecznej!
Na niebie płonął krąg słoneczny,
Jak zgłodniałego lwa żreńca.
I gorzał niebios dach płomienny,
Jak piec hutnika—w żarach słońca;
Po nim piaszczysty step bez końca
Legł, niby szary kir trumienny.

Tumanów pyłu wznosząc słupy,
Szedł wiatr, niekiedy kir ten zrywał
I nagich żebra skał odkrywał,
Jak wielkoludów kościotrupy.

Stronili ziem tych rodzajowie
Żyjący i roślina wszystka;
Ni drzew, ni mchu, ni trawy listka,
Nic, jeno cisza i pustkowie!

Okropne jakieś przerażenie
Ciężło nad tych puszcz obszarem;
Powietrze wrzało piekiel żarem,
Co pierśiom mym odkradał tchnienie.

I był rozpaczny ten stróskany
Step i ta martwość wszystkich rzeczy,
Ta śmierć, co śmierci nawet przeczy,
I żadnej nie zna już przemiany.

A jednak taka srógość dzika
Miotła mną, że pełen zgrzytu
Patrzyłem na te klęski bytu,
Jak na konanie przeciwnika!

Więc dalej parła mnie tęsknota—
I szedłem piasków tych topielą
Pod straszną nieba rozgorzelą,
Myśląc, że wyjdę z dróg żywota.

I krocząc puszczą ta umarłą,
Stawilem słońcu czoło hardo,
Chcąc przysilować je pogardą,
Aby mi z czaszki mózg wyżarło.

I wyzywałem wiatr pustynny,
Co te piaszczyste orał niwy,
W nadziei, że przyleci mściwy
I grób odewrze mi gościnny.

Lecz próżnym był mój zgrzyt i jęki —
Ni słońca żar, ni wichru szala
Litości dla mnie tej nie miały,
Co, gdy zabija, skraca męki.

I usnął wiatr gdzieś w stepu głuszy,
I słońce w morza dno zapadło —
I wszystko we śnie miir posiadało,
Prócz zrozpaczonej mojej duszy!

I w coraz grubszą tonąc smętność,
I w cięższy przesyt i surowość,
Klęłam przyrody bezcelowość
I głodną życia jej namiętność.

I dręczon moich snów widziałem,
Tem wielkiem Nic, co życia treścią,
Szedłem sam na sam z mą boleścią,
Aż wreszcie na głaz zimny padłem.

I zdało mi się, że mnie ciemnie
Już ogarnęły śmierci czarne,
Krusząc to życie moje marne,
I że wychodzi dusza ze mnie.

A wtedy zmysłów tracąc czucie,
Gdy pokrywały wzrok mój cienie,
Witałem śmierć jak wybawienie
I jak niewolnik pęt rozkucie!

Ze znu mnie zbudził głos dziewczyl!
— Jam tu, jam tu! — krzyknąłem drżący —
O, znijdź tu, do mnie, słońce złote,
I rozjaśń duszy mej tęsknotę,
I zdejmij ze mnie mrok ciężący.

Spłyn na me serce, luba roso!
Patrz, oto żywot mój ustawa,

I zwiędłem w bólu jako trawa,
Kosiarza porażona kosą!
Jest w kościach mych jakoby rana,
Co kwili wciąż i wciąż się skarży,
I znikła radość mi z przed twarzy
I ziemia z barw mi swych obrana.
Bo mnie zawiódła umiętność,
Gdy badał świata spraw zawilość.
I zapomniałem wdzięczną miłość,
Co jedna słodzi życia wstrętność.

I poraziło mnie zwątpienie,
Lecz tyś mi dała wodę zdrową
I uleczyła swą wymową,
O, słodkie duszy mej zbawienie!

Ze lwiego do *mnie zesła* jaru,
Od słońca złota, ale wdzięczna,
Jako lipcowa noc miesięczna,
Przerozkosznego pełna czaru.

Była jak zorza w swej ozdobie,
I jako srebrny księżyc—czysta,
I jako słońce—promienista
I wszelką wdzięczność miała w sobie.

Jak dwa gołębie nad krynicą,
Tak były oczy jej niewinne,
Jak koral usta miódopłynne,
Jak kwiat Saronu róż jej lico.

Warkocz jej czarność miał hebanu,
A zęby perel drogich białość,
A kibić palmy okazałość,
A szaty wdzięczną woń Libanu.

I zarzuciła mi na szyję
Ramiona śnieżne...

Nokturn.

Nocka mrokiem ziemię słoni,
Świat kołysze w sny;
Wiatr po sennie hula bloni,
Białe strzępiąc mgły.

Srebrny księżyc w gwiazd drużynie
To z chmur wyjrzy, to w nich ginie;
Zgasły światła — drzemie siolo,
Głucha noc i cisza wkoło,

Grają tylko w mgłę derkacze,
Szumi bór do snu
I fujarka w dali płacze:
— Oj du du du—du!...

Lecą pieśni, lecą chyże
Hen, w daleki świat;
Pod cmentarne lecą krzyże,
Pod okienka chat,

Pod mogiły zapomniane
Przypadają rozelkane,
I kolącząc nutą rzewną
W okien szyby, w krzyżów drewno,

Biorą na swych skrzydłach loty
Wszystek ziemski żal,
Wszystkie bóle i tęsknoty
I unoszą w dal...

Nieme skargi, głuche bole,
Niesłakane łzy,
Ciche troski i niedole
Lecą, lecą w mgły...

Rozpętane czarem pieśni
To, co mżało w grobu pleśni
I co skryte w piersi lkało,
Głos przybrawszy tam i ciału,

Rozszlochane na jaw rwie się
Wśród przyrody snu,
A wiatr płacz ten w chmury niesie...
Oj, du du du—du!

A gdy księżyc blaskiem strzeli
Z poza mknących chmur,
Majające wśród mgieł biele
Mar żaloszny chór.

Pod fujarki dźwięków wodzą
Kwila rzewnie i zawodzą, —
I leż czary niosąc w rękę,
Płyną w niebo pełne jęku,
Aż rozjaśni świt niebiosy
I wiatr zdmuchnie mgły —
Wtedy błysną w perłach rosy
Ich serdeczne łzy.

Teoria sonetu.

I.

Sonet!... znów sonet!... i jeszcze so-nety!...
Snadź rozbiła się w Gdańsku z sonetami
szkuta,
Kto żyw, z sonetem pnie się na Parna-su grzbiety,
I w mig zdobywa sławę—«rymów Ben-
wenuta»!

Lecz—ach!—sam rym tu wyraz podsu-wa: «Niestety»
Oż, że z czternastu wierszy forma jest
ukuta,
Że się «kwartynki» z sobą godzą i «ter-cety»,
Skoro z sonetu nie brzmi sonetowa
nuta?...

Bo nie w rymach tkwi forma sonetu,
I muszą się przeciwieć bliźnie zwrotki
sobie,
A druga przeczyć temu, co pierwsza
obwieści.

I dopiero gdy śpiewak, godząc myśli
obie,
Wysnutą z nich syntezę w «tercetach»
pomieści,
«Wytryska z wierszów sonet—w całej
swej ozdobie.

II.

Ten formy brak wetują dziś wieszczce
«nastrojem»,
Który w niby-sonetach pierwsze skrzyp-ce grywa,

Może być, że to piękne, ale, zdaniem mo-jem,
Ta subtelna poezja duszy, co poziewa
Jako nastrój — to ślepym dany strzał
nabojem,

A jako sonet — «kawa figowa... praw-dziwa!»
I dlatego, jakkolwiek sonety dziś w mo-dzie,
W te mnie zaulki, muzo poezji, nie
prowadź,

Gdzie się plenią grądziele na drzemiącej
wodzie...

Wolę z laurów modnego wieszczca zre-zygnować,
Bo chcę—jak mówi Goethe: «w całej
rzeźbić kłodzie»,
A tu raz wraz potrzeba kleić i sztuko-wać!...

Włodzimierz Zagórski.

Rok 1809.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

10)

PRZEZ

Wacława Gąsiorowskiego.

Staruszek urwał nagle, ile że drzwi
boczne z trzaskiem się otwarły—do
izby wbiegł pan Joachim Moszyński.
Łazanek porwał się na równe nogi
i zgiał służalczo.

— Gdzie więzień?!

— Na miejscu, proszę waszej mi-
łości!...

Pan Moszyński rzucił wzrokiem
na Zabielskiego, a dojrawszy krwa-wą pręgę na jego plecach, zmarsz-czył się.

— Przypiekaleś go?!

— Zwykła próba, proszę waszej mi-
łości... delikwent będzie martwym...
— Jak śmiesz bez przytomności
sędziego?! Chcesz, aby do ciebie na-
reszcie się wziął?!

Łazanek zmieszał się.

— Wasza miłość daruje!... U nas
ład taki odwieczny, jak prochneria
prochneria...

— Uwolnić go natychmiast z wię-zów!

Łazanek skoczył czempredzej sam
spełnić rozkaz.

Pan Moszyński osunął się ciężko
na ławę, a gdy panu Tadeuszowi
zdjęto pęta, ozwał się z widocznym
wzruszeniem:

— Mości Zabielski... powziąłem
wiadomość, że istotnie stałeś się
ofiara okrutnej zemsty... Brak mi
jeszcze dowodów, aby cię uwolnić
zupełnie, lecz zastanów się, pomyśl,
może zdołasz mnie naprowadzić...
Całą dobrą wolę moją ofiaruję ci!...

Wyrządzone ci krzywdę bolesną...
Pamiętaj na to, że ta biedna polać
naszej ziemi wszystkimi zębami bro-nię się musi przed matactwem tych,
co radziby ją zgnieść... Lepiej cza-sem, niestety, aby bodaj trzech nie-winnych ucierpiało, niżby jeden prze-dawczyk miał nam ujsć!...

— Czego wy chcecie odemnie?—
rzucił gwałtownie pan Tadeusz.—
Nie wskazałem wam Rudzkiego? Nie
pamiętacie, że...

— Acan znów powracasz do swe-go!
Ow Rudzki ci się przywidział!
Zacnego a spokojnego obywatela
oskarzasz!

— Więc zapytaj waszmość Oskier-ki... Oskierko go zna—on wie o nim!
Ten cię przekona! Tak, Oskierko...
Kapitan drugiego pułku ulanów...
Boże! Ze ja o nim nie pamiętałem!...
Nikt inny, tylko on! Przywołajcie
go!... Zapytajcie!... Rudzki jest szpie-giem..

Pan Moszyński spoglądał z nie-dowierzaniem na pana Tadeusza i
głową chwiał.

— Acan jesteś w gorączce!... Po-wtarzasz swoje! A wiesz, że rzuca-jąc tak ciężką obelgę, możesz być
zniewolonym do zdania porachun-ku?!

— Przyszwiście Oskierkę!... Niech
to mam przynajmniej za krzywdę,
za pohańbienie... Inaczej... skoro
mnie uwolnicie, ja wołać będę, że
wy sami sprzedawczyków chronicie.

Pan Moszyński nachmurzył się.

— Mości Zabielski! — ozwał się,
hamując gniew. — Jeszcze wolnym
nie jesteś! — a po namyśle, podniósł
się i wyszedł pośpiesznie z izby.

Łazanek, który był stał pokornie
na uboczu, podsunął się teraz do
pana Tadeusza i wyciągnął doń ta-bakierkę.

— Pozwól jegomości dobrodziej!...
Nie gniewaj się, serdenko, nie ma
o co! Sparzyli cię odrobinę, ale ma-
ści dam i zażywie w trzy dni!

— Siepacze! — zachnął się Zabi-el-ski, w którym myśl o doznanej
krzywdzie coraz silniej nurtować za-częła. — Bez sprawdzenia, bez sądu
niewinnego czeka!...

— Te-te!... Serdenko! Dziad swo-
je, baba swoje!... Pomnisz, kochanku,
z infimy: *sum, es, est, sumus, estis, sunt!* Owóż w tej konjugacji cała
mądrość leży... Młody jesteś, wierz
staremu!... Na prochnerię się nie
burz, bo ona każdego przygarnia!

Zapytaj się, kto w niej nie był!...
Myślisz imię pan Moszyński? Był!...
A kto tu jeszcze nie będzie! *Tem-pora mutantur!*... Ledwie co się za
prusakami zakurzyło, a dawniejsze
sędzie poszli do loszku, z loszku
znów więźnie zasiedli do wyroków!...

Phi! Groch z kapustą, jak prochner-
nia prochneria!... Siadaj waszmość!...
Już się nie turbuj, puszczą cię do
domu, boś ty nie z tej partji, co
dziś na węgielki idzie!... Jeszcze
twoja okazja nie przysła!...

— Ja tu na was sprawiedliwość
znajdę! Plazem tego nie puszczę!...
— Kochanku, jegomościu, nie wy-dziwiaj!... Nie o twoją tu skórę cho-dziło! Wyjdiesz, to spłun i zmykaj,
a ciesz się, że cię nie poszatkowali!

He-he! Zapytaj się Jędrusia!... Na
wszystko ma sposób! Delikwent mil-czy—zaraz uczyni go mownym; nie
trzeba, żeby rozpowiadał... to ani
piśnie!...

Jędrus wyszczerzył zęby i zaśmiał
się dziko. Pan Tadeusz usta zaciął
i zapadł w ponure milczenie. Łaza-nek jął rozpatrywać leżące na sto-le papiery. Upłynęła długa, męczą-ca chwila. Staruszek kręcił się nie-cierpliwie, poglądał ku drzwiom, aż
wreszcie ozwał się do drabów:

— Trzeba się zbierać! Nie pewno
dziś nie będzie!...

— A cóż z tym? — mruknął Ję-drek.

— Hm... Związać go na wszelki

wypadek, żeby kochankowi za przestrońno nie było i niech śpi spokojnie!

— Jakto?! Mnie wiązać?!

— Trzeba, serdeczko! Trzeba!... Zabierzcie go, a ścisnąć go tam trochę, niech nie skrzeczy, bo nie lubię wrzasków.

Pacholowie rzucili się na Zabielskiego, lecz ten, miotany rozpaczą, stawiał zawzięty opór.

Łazanek zbladł, małe jego oczka zaświeciły ponuremi blaskami.

— Wiazać go!... A teraz trzy prety na podziękę!...

Jedrek skoczył do gary z węglami. Rozpalone żelazco zatoczyło już krąg w powietrzu, aby spaść na obnażone plecy pana Tadeusza, kiedy do izby wpadł pan Moszyński.

— Precz mi!— huknął groźnie.— Łazanek, jak się ważyłeś?!

— Delikwent krnąbrny!...

— Sto bizunów tobie każe wyliczyć!

— Wasza miłość, za gorliwe służby?

— Uwolnić go i do pierwszej kancelarii!

Pan Moszyński wybiegł na korytarz, a wślad za nim pacholowie powiedli Zabielskiego.

Pan Tadeusz znalazł się w obszernej izbie, jasno oświetlonej. W rogu jej stał oficer ułanów.

— Mości kapitanie!— zaczął żywo pan Moszyński— oto właśnie ten tu więzień odwoływał się do waćpanowego świadectwa!...

Kapitan spojrzął na pana Tadeusza z oznakami niekłamanej zdziwienia.

— Waszmość odwoływał się?!

Zabielski niemniej był stropionym.

— Ja... ja... istotnie wzywałem kapitana drugiego pułku ułanów... Oskierkę...

— Jestem nim!...

— To niepojęte!... Waćpan więc byłeś tej pamiętnej nocy, kiedy, jadąc z Radomia, mieliśmy oną rozprawę z Rudzkim?!

Kapitan wzruszył ramionami.

— Waszmość postradałeś zmysły!... Jak żyję, nie byłem w Radomiu!...

— Więc chyba jest drugi Oskierko, tego samego imienia!...

— Głupstwa acan pleciesz!...— przerwał opryskliwie kapitan.

— Waćpan nie pomnisz Rudzkiego?!

Nie! Tamten głos był inny!...

Oficer ułanów zwrócił się do pana Moszyńskiego.

— Człowiek niespełna rozumu, albo frant nad franty!...

— Byłem tego pewny! Wybacz, mości kapitanie, żem cię trudzi!...

— Ach! Bagatelna fatyga, gdyby moja obecność zdala się na co!

Kapitan pożegnał pana Moszyńskiego.

— Bylem tego pewny! Wybacz, mości kapitanie, żem cię trudzi!...

— Ach! Bagatelna fatyga, gdyby moja obecność zdala się na co!

Kapitan pożegnał pana Moszyńskiego.

— Bylem tego pewny! Wybacz, mości kapitanie, żem cię trudzi!...

— Ach! Bagatelna fatyga, gdyby moja obecność zdala się na co!

skiego i wyszedł. Ten ostatni zwrócił się z surowym napomnieniem do Zabielskiego:

— Napierałeś się acan świadectwa! Masz je teraz! Po tem, co nastąpiło, powinienem cię przetrzymać na chlebie i wodzie!... Pójdiesz sobie wolno, bo widzę, żeś nietyle zły, co nieopatrzny! Puszczam acana za wstawiennictwem człowieka, któremu ufam... ale radzę ci porzucić i te przestrogi, co je obnosili po Warszawie, i oczernianie ludzi!... Nie jeden tu już chciał wojować tą bronią i zginął od niej!...

— A mnie wolno było oskarżyć... temu?...

— Bądź też pewien, że imię Szczygielski napomnienie odbierze!... Dla niego wyjątku nie będzie. Oskarżeń co dnia tyle, że ręce opadają! Co dnia jeden drugiemu w złości zdradę zarzuca, z czego dla nas męka i praca, a dla prawdziwych lotrzyków bezkarność. Jak w mętnej wodzie, tak myskują wszędzie, że ani ich pochwyć!... Idź acan i zapomnij, żeś tu był kiedy... W sieniach znajdziesz swego kamrata!

Pan Moszyński klasnął na pacholów, polecił oddać Zabielskiemu zabrane mu papiery, pieniądze i zwierze kuba i wyprowadzić z prochowni.

Pan Tadeusz powłókł się w milczeniu za pacholkami. U wejścia powitał go Karaś. Zabielski ledwie odpowiedział i jał dążyć przed siebie, nie bacząc, dokąd. Jedyną myślą pana Tadeusza było uciec jak najdalej od tych strasznych murów.

Na dworze zmrok już zapadł— szara, mglista noc rozścielała swój melancholijny, smutny płaszcz. Zabielski przyspieszył kroku. W uszach dzwierał mu jeszcze przenikliwy, szyderczy śmiech Łazanka. Dokola siebie widział krwawe plachty, rozpalone do białości żelaza, słyszał syk i skwierk żywem palonego ciała, a trzaskająca pod jego stopami żuź, zdala mu się być ponurem odzwaniem łańcuchów.

«Szpieg! Szpieg!»— wołały nań wierzby, leniwe kołyszące zlodowaciałymi konarami.

«Szpieg!»— wyl wiatr, rozhukany ponad skrzepłą Wisłą.— «Szpieg!»— mówiła doń głuźka nocna.

Zabielski chciał uciec od tych głosów nienawistnych— napróżno. Biegły one za nim bezustannie, ściagały, szarpały nim, rwały go. Chwilami czuł, jak na twarz rozpaloną padają mu jeszcze płwociny ludzkie... jak grad kamieni i zmarzłego błota obsypuje go, powala, hańbi!...

Sily Zabielskiego opuszczały zwolna. «Nie uciekniesz!»— szumiał wicher. Zabielski raz jeszcze zmógł się, raz jeszcze rzucił się całym ciałem

żarem naprzód, aż ustał i padł wy-czerpany na stwardniałą opokę.

Przez czas jakiś dyszał ciężko, przyłożywszy rozpalone usta do zmarzłej ziemi, a potem wznosił oczy ku niebu, jakby pytać chciał, za co po-deptano go w tem, co mu było naj-swiętszem?— za co na taki skazano go przegrzeź!...

Niepokalone imię wziął z dziada i pradziada— nie splamił się nikczemnością, — na samym sobie zniósł wszystkie skutki tego, że Zabielscy nie chodzili za prywatą, nie zaprzę-dawali się pankom, nie kupczyli głosem, a do ostatniej kropli krwi szli, kędy wołał ich obowiązek!...

Zyciem musiałby przypłacić był ten, kto by się ważył Zabielskiemu uchybić!... A dziś?!

Zemsta ponura szarpnęła panem Tadeuszem, zemsta okrutna, bo zwró-cona ku tym dziesiątkom i setkom, które go pohańbiły; zemsta, która z oblicza ściera pogodę, chmurami je zasnuwa, a w sercu bezdenną ryję otchłan goryczy.

Zabielski przemógł się i po raz wtóry wzrok podniósł ku niebu. Z po za stalowego obłoku wyjrzała słabo tlejąca gwiazda. Zabielski padł na kolana i wyciągnął ręce, lecz nie aby u Stwórcy zmiłowania i po-ciechy zebrać, lecz—aby grozić!

— Boże—szeptał Zabielski.—Le-piej mi było świata nie oglądać, aniżeli takiego sromu zaznać! Za ja-kie winy dałeś mnie na tę ponie-wierkę! Niczego dziś nie żądam, o nic nie błagam, jeno daj, abym w po-stanowieniu wytrwał, abym był mści-cielem wyrządzonego mi gwałtu, abym za hańbę moją krwawą zna-lazł zapłatę!... Niech oszczercom wło-czę kalumnje, któremi mnie obrzu-cono, niech je wezmą w najcięż-szych mękach! Daj mi moc szaleń-stwa i desperacji, daj mi niewygasłą zemstę!... Nie chcę ja ani do dwor-ku mego, ani do Janki mej—niech tulaczem zostanę, byłem potwarcom moim zadał!... A jakim Zabielski, jakim indygenat mój wziął z poko-lenia, co wieki ziemi tej służby wierne odprawiało, Ty mnie, Boże, nie opuszczaj, bo raczej się złamię, niż ugnę!

Tu głos pana Tadeusza przeszedł w ponury chichot. Ze zbiegających warg zrywały mu się słowa niena-wistne, bluźniercze... A hen u stro-pu niebieskiego zawieszona gwiaz-da spowiadała się chmurami... nikła, gasła.

Nagle tuż za plecami Zabielskie-go rozległo się rażne wołanie Ka-rasia:

— Ledwie nogami starczę jego-mości!... Gdzie, wielmożny panie! A toż tu ani droga, ani miasto!

Pan Tadeusz powstał w milcze-niu, otrząsnął się i ozwał się sucho:

— Prowadź mnie do domu Ne-sty!

Rybak podrapał się w głowę, za-kłopotany tym rozkazem.

— Et! Może lepiej byłoby gdzie-indziej... Albo to zajazdów brak-nie?

— Tam chcę!...

— Cha! Wola jegomości! Mnie się widzi, u Kasperka za Panną Ma-rją byłoby przestrońniej... Ale je-gomość każe... A możemy przedtem odpocząć? Wielmożny pan zmęczo-ny... Tu na prawo, ze dwie staje, mieszka mój kumoter, co trzyma izby gościnne dla flisów. Tam zda-łoby się wytchnąć, do sił przyjść, a potem choćby i do Nesty, kiedy wola.

Pan Tadeusz skinął przyzwalają-co głową.

Karaś wysunął się naprzód i zwa-wo poprowadził Zabielskiego do osa-motnionego domku nad Wisłą. Tam poszeptał z gospodarzem i usadowił pana Tadeusza w ustronnym alkier-zu, kazawszy coprędzej zastawić po-silek.

Zabielski w milczeniu przyjmował zabieg Karasia, dał sobie i kubaś ściągnąć, i ranę na plecach opatrzyć, i od jadła się nie wyma-wiał. Dopiero kiedy pierwszy głód zaspokoił, a palące go pragnienie ugasił—odezwał się do rybaka:

— Więc to wy szukaliście mnie?

— A no, bo się tak należało, wielmożny panie... Wracam do go-spodry markotny, bo naszego pana jenerała nie zastałem; wyjechał, mó-wili, pod pruską granicę... aż tu powiadają mi u Nesty, że wielmoż-nego pana do prochowni powlekli!...

Dalejże zapytywał ludzi, chodząc, myśkować, no i jakoś utrafiłem na-reszcie... Dzięki Bogu, są dobrzy ludzie... Pomogli!...

— Więc bez ich pomocy gotowi mnie byli powiesić!... Cha! Cha!... Bodaj się ziemia pod nimi rozsta-piała!... Przeklęty gród!... Na nie-szczęście mnie tu licho przynio-sło!...

— Wielmożny panie! Ja tam nie wiele wiem... Lecz widzę... Takie czasy! Dnia nie ma, żeby się obyło bez nowego gwałtu! Aż dziw bie-rze... Za prusaków tyle hałasu nie było!... W więzieniach ludzi, jak mrowia! Codzień rozmaitych szache-rów niby chwytają... a mówią... Et! Rozmaitości mówią!...

— I dlatego ludzi niewinnych ciągają na śledztwa, a sprzedaw-czykom chodźć wolno pozwalają! Tfy! Toż pod austriakiem tego niema!

Karaś obejrzał się trwożliwie do-okoła.

— Wielmożny panie... byle kto nie usłyszał!

— Co mi tam! Na rynek pójde, na rynku wołać będę! No... słuchajcie... możecie przeprowadzić mnie z powrotem do Kazimierzczaka?... Tak! Muszę tam! On jeden wie, gdzie szukać trzeba Oskierkę... A ten mi jest potrzebnym, abym krzywdy mojej doszedł! Ten, co mnie oskarżył... dla mnie szpiegiem jest, a jeżeli nie szpiegiem, to oczajduszą, co na życie Oskierki nastawał! Tu tego właśnie Rudzkiego nazywają zacnym obywatelem, imię panem Szczygielskim! Nic mi do tego, ale imię Szczygielski ma ze mną porachunek! Więc pójdiesz?

DCN

HENRYK de FORGE.

Ciotunia.

I.

Była to mała, pełna życia staruszka, o srebrnych włosach, o różowych jeszcze, jak za młodych lat, policzkach, z pogodnym zawsze na ustach uśmiechem.

Przekroczyła setkę, ale nikt nie mógłby jej wieku dokładnie oznaczyć, nawet ona sama. Metryka jej zginęła w pyłe ubiegłego wieku.

Cóż to zresztą może kogo obchodzić? — Po stu latach—mówiła—nie starze-je się już człowiek.

I rzeczywiście, wydawała się zawsze jednaką wesołą, jednaką rzeżką.

Krótki, suchy kaszel niepokoił ją tyl-ko, utrudniając rozmowę.

— Umrę na piersi, moi kochani. Zna-komity lekarz mi to przepowiedział, zresztą...

— Kiedyż to było?

— W roku 1820 albo 1824, nie pa-miętam już!

Smiano się.

Ileż to ona już zdarzeń od tego czasu przeżyła! Pamiętała Ludwika XVI, widziała go w swoim dzieciństwie. Wi-działa także Napoleona I. Wydał jej się zanadto otyłym w Tuilerjach w roku 1813.

Więcej jej się podobał po powrocie z Egi-ptu; był wówczas błydy i szczupły.

— Opowiadaj, ciotuniu! opowiadaj!—prosiły otaczające ją prawnuczki.

I całemi godzinami mówiła, snując wątek wspomnień.

Jaki był naprawdę jej stopień pokre-wieństwa w rodzinie?

Niktby tego nie potrafił powiedzieć.

Była czemś w rodzaju ciotecznej pra-babki czy też pra-prababki.

Przedewszystkiem jednak była ciotką w całym tego słowa znaczeniu, jedyną «ciotunią» na świecie, złotą ciotunią, jak ją nazywano.

Tak, złotą, najlepszą. Wszystko było w niej dobre; jej oczy jasne, jej ręce delikatne, różowe policzki, ruchy spo-kojne.

Ubierała się zawsze w liljową suknię, według staroświeckiej mody, mody tak dawnej, że nawet w książkach byłoby ją trudno odszukać.

Po co zmieniać?... Ciotunia i tak by-ła zachwycającą i nie wychodząc nigdy z domu, wysmiewała modę dzisiejszą. Niecierpiała podróżować, a koleje prze-jmowały ją strachem. Pogardzała kare-tami i powozami, wspominając z przy-jemnością lektyki, z których, jako mło-dziutkie dziewczę, szafowała na wszyst-kie strony uśmiechami z po za niebie-skiego wachlarza.

Uwielbiano ją.

Chociaż mieszkała w domu odwiecz-nym, jak ona sama, w głębi zapomnia-nej ulicy, zdala od wszelkiego gwaru, odwiedzano ją tłumnie, przyprowadzano do niej dzieci, zamęczające ją pieszczo-tami.

Ciotunia pozwalała wszystko robić ze sobą; gubiła się w imionach tych mal-ców. Od stu lat tyle ich już widziała.

Wiedziały, że w tajemniczych pudeł-kach przechowywała pomadki i perbat-niki.

— Mnie, ciotuniu!

— Masz, cherubinku!

Obdarzać, było jej szczęściem. Obda-rzała stale przez sto lat swego życia. Majątek jej ojca, powstały z renty wspa-niałomyślnego króla, mądre administrowany, pozwalał jej wyposażyć potajem-nie wszystkie spokrewnione z nią dzie-wczęta, a każdego, kto przyszedł jej dzie-kować, bez litości wyrzucała za drzwi.

II.

Ciotunia miała jedną manję, manję cu-downą.

Kojarzyła małżeństwa.

Nie chodziło tu o łączenie fortun, o koligacje.

Ciotunia kojarzyła poprostu na to, że-by uszczęśliwić.

Niezrównana w odgadywaniu tajemnic serca, bardzo doświadczona w porówny-waniu charakterów, gromadziła dookoła siebie tych, co «powinni byli» się sobie podobać, pozwalając im przestawać ze so-bą do woli; podpowiadała nawet słowa, które doprowadzały do wyznania.

Trzeba ją było wówczas słyszeć pra-wiącą morały zakochanym, powtarzają-cą bez końca rady, wykładającą «teo-rję» uczucia.

Ciotunia ukazywała takie piękne ży-cie dla tych, którzy się kochali praw-dziwą miłością. Czyż mogła nie znać wszystkich tajemnic szczęścia, ona, co zdawała się być szczęściem chodzącem?

A kiedy już była zupełnie pewna, że się kochano, pocziwa staruszka dawała swoje błogosławieństwo i wysyłała na-zajutrz swoją służącą z workiem pie-niędzy.

— A ciotunia kochała kiedy? Czy do-świadczyła ciotunia na sobie tych cen-nych rad, których nam udziela? Ciotunia musiała być idealną dziewczyną!

W odpowiedzi na to rozlegał się naj-przód jej krótki, suchy kaszel.

— At, nie już nie wiem! To już tak dawno!...

— Tajemnice! To bardzo nieładnie. Strzeż się, ciotuniu, wydamy cię jeszcze za mąż, pewnego pięknego poranku.

Śmiała się.

— Nie! Zbyt wielka stałaby wam się krzywda, gdybym wyszła za mąż. Mał-żonek mój zjadałby pomadki i nie spuszczałby oka z moich eliksirów! których wypijacie trzy czwarte! Mam katar, cio-

tuniu!... Drapie mnie w gardle, ciotuniu!... Nie, lepiej wam tak urwisze!

I garnęła się do niej młodzież, wołała:

— Nie wychodź za mąż, ciotuniu, nie wychodź!

Takie było jej życie. Kiedy żaloba dotknęła kogoś z jej bliskich, to ona była tą, co pocieszała, narzekając, że jeszcze żyje, podczas gdy śmierć nieublagana zabierała młodszych.

— Pan Bóg zapominał o mnie—mówiła.

— Nie, ciotuniu — odpowiadano jej — ty długo jeszcze żyć będziesz, aby uszczęśliwić.

III.

Pewnego dnia jednak wzmógł się suchy kaszel.

— Widzicie—mówiła—miał rację ten lekarz.

I zgromadziwszy u swego wezwłównia wszystkich krewnych, wymieniła każdemu z nich sumę, jaką mu przekazywała testamentem.

Przywołała następnie te ze swoich prawnuczek, które już mogły wyjść za mąż. Były to trzy ośmastoletnie, miłutkie dziewczątka.

— Przystąpcie tu do mnie blisko, tak, żebym mogła z wami samemi pomówić. Życzę sobie — szeptała — żebyście uporządkowały moje papiery i spaliły te, które trzeba spalić... Tak bardzo chciałam i was wydać za mąż... Bądźcie uszczęśliwieni!... Podstawą szczęścia jest kochać prawdziwie i być kochaną...

Wszyscy płakali, klęcząc.

Złota ciotunia w liljowej sukni uśmiechała się w głębi wielkiego fotelu.

— Tak—szeptała między jednym wybuchem kaszlu a drugim — być kochanym...

I skonała po tych dwóch słowach... zupełnie nie zmieniona, trochę tylko przybladła.

IV.

Spełniając ostatnią wolę zmarłej, zabrały się dziewczęta do uporządkowania pozostałych po niej papierów.

Było ich dużo. Ciotunia przechowywała listy od wszystkich swoich.

W kącie szuflady znalazły związany wstążką pakiet z napisem: «spalić».

Pismo było poźółkle, widocznie bardzo dawne.

— Spalmy prędko.

— Co to może być?

— Jakaś tajemnica!

— Tajemnica miłosna!

Ciotunia, ażeby się czuć tak, jak one przez całe życie szczęśliwą i uszczęśliwić drugich, musiała być bardzo kochaną.

— Rzucajmy w ogień!

Pakietek padł na dogasające ognisko. Płomień muskał go z wolna zaatakował... jedną krawędź.

Dziewczęta wpatrywały się machinalnie.

Zatrzeszczały papiery.

— Listy! — zawołała jedna z dziewcząt.

— Kwiat! zeschnięta róża.

Jedna z siostrzenic chciała wyrzucić tę pamiątkę płomieniom.

— Nie ruszaj, niech się pali. To świętość.

Coraz żywszy płomień pochłaniał kwiat, a wreszcie listy, rozrzucając je po ognisku. Można było rozróżnić wprawne, zwarte pismo.

— Widziałyście?

— Co?

— Te słowa...

— Jakie?

— «Moja najdroższa».

Rzeczywiście, można było odczytać te magiczne wyrazy.

Trzy głosy wyszeptaly:

— Kochanek ciotuni!

Ogień syczał, ogarniając coraz szybciej jeden list po drugim.

Wydawała się tajemnica ciotuni...

— A to? — zwróciła uwagę jedna z dziewcząt.

— Pismo ciotuni!

Obróciła się druga kartka.

— Tak wygląda, jakby pamiętnik, w którym codziennie zapisywało się wrażenia. Są różne daty.

— Mogę przeczytać: 1811.

— 1811!

— «5 maja... Niewdzięczny! Tak go kochałam. Żeni się!»

Płomień buchnął z całą siłą, obejmując cały pakiet listów... i pozostała z tego wszystkiego garstka szarego popiołu.

— Czytałyście?

— Tak!

— «Pozostało mi tylko cierpienie».

— Biedna ciotunia!

Zapanowało milczenie. Dziewczęta wpatrywały się jeszcze zadumane w zgasłe ognisko, które im odkryło tajemnicę ciotuni, tajemnicę tych, co uszczęśliwiała innych, bo własnego szczęścia nie zaznała na ziemi.

TO I OWO.

Ciekawą sylwetkę Józefa Hofmana, świetnego wirtuoza na fortepianie, podaje „New-York Herald“ wraz z szeregiem ilustracji, przedstawiających znakomitego pianistę w charakterze sportsmena i wynalazcy. „Pan Józef, zapalony miłośnik wiosłowania, gry w tenisa i ślizgawki (przed laty opatentował dowcipny pomysł łyżew składanych i zamkniętych w pugilaresie kieszonkowym), traktuje mechanikę i elektrotechnikę, jak poważny fachowiec. Samouczek, wziął się z amatorstwa do pracy doświadczalnej i poparł ją następnie studjowaniem *con amore* wybitniejszych dzieł z umiłowanej dziedziny“. W ostatnich czasach pracował wiele nad udoskonaleniem rowerów, wynalazkiem motoru bezpieczniejszego od elektrycznych i parowych, z zastosowaniem gazoliny i pary, a wreszcie nad praktyczniejszym sposobem odnawiania elektrodów w akumulatorach. Fabrykację samochodów swego pomysłu rozpocząć chce w Europie, a po ich wypróbowaniu, posle je chwilowo za ocean. Użycie gazoliny dało bardzo dobre wyniki w dowcipnie pomyślanym motorze, w którym przez odśrodkowe działanie wysokiej temperatury, tworzy się silne naprężenie pary. Jednorazowe naładowanie motoru gazoliną starczy na odbyte drogi nawet tak długiej, jak np. z Paryża do Berlina (!); trzeba jedynie zatrzymać się kilka razy dla napompowania wody.

Francuzki dziennik „Le Matin“ opowiada zabawną historję o słynnym aktorze Leferrière. Miał on grać na prowincji. Przed przedstawieniem bierze dyrektora teatru na bok i powiada mu: „Jest zwyczaj, że kiedy występnę na prowincji, to

po skończeniu sztuki kurtyna się podnosi i aktorka, która ze mną grała główną rolę, podaje mi wieniec“. „Bardzo dobrze — odrzekł dyrektor — zaraz posłę go obstarować“. „Niepotrzeba! — mówi Leferrière — ja przywiozłem go ze sobą“. „A to ślicznie! Ale ponieważ panna X. musi przytem coś do pana przemówić, to pozwól pan, że pójdę zaraz do jej napisać“. „Ale po co? drogi dyrektorze! Ja już przygotowałem. Oto jest!“ I podał mu kartę papieru, wydobyszy ją z kieszeni. Po przedstawieniu, kiedy kurtyna się podniosła, panna X. wręczyła słynnemu aktorowi wieniec, a gdy burza oklasków rozentuzjuszowanej publiczności trochę ucichła, odczytała pochlebne komplementy, które sobie Leferrière sam napisał. Wtedy dopiero zaczęło się przedstawienie drugiej komedji. Aktor, wzruszony, jakgdyby niespodziewający się takiego holdu, zaczął dziękować i w końcu na prawdę łzy mu popłynęły. Oczywiście — przywiózł je także ze sobą. Z ręką do serca przycisnęła, ażeby powstrzymać jego biele gwałtowne, oświadczył uszczęśliwionej publiczności, że nigdy jeszcze w życiu nie doznał tak wielkiego wzruszenia i szczęścia...

W prastarych czasach chaldejskich używano już parasola. Archeolog Layard znalazł w wykopaliskach Ninivy wizerunek władcy asyryjskiego, siedzącego pod parasolem. W Chinach i Japonji parasol używany był od czasów niepamiętnych. Cienkie, delikatne, papierowe parasolki od wielu wieków już oceniali główki japońskie i chińskie. Zabawny jest szczegół, że do ryzostunku wojownika japońskiego należał nie tylko wachlarz, ale i parasol ogromnych rozmiarów. W starym, ozdobionym malowanymi obrazkami, rękopisie psalmów Dawida, znajdującym się w Muzeum brytyjskiem, widzimy postać królewską pod parasolem. Wówczas, t. j. w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej, parasol był w powszechnym użyciu na Wschodzie, — do Europy atoli przywędrował znacznie później. W XVII dopiero stuleciu zjawia się we Włoszech, a w sto lat później w Anglii, gdzie był długi czas przedmiotem zbytku w świecie eleganckich kobiet, nie używanym przez mężczyzn.

Dlaczego kot spada na łapy? Może dlatego, że taka jego natura? Wytlómaczenie wystarczające dla wielu, tylko nie dla ludzi nauki. Paryzka Akademia nauk postanowiła rzecz zbadać. Bo—bo spadanie kota na łapy, ani mniej ani więcej, sprzeciwia się wszelkim prawom ciążenia. I oto p. Marey wykonał szereg migawkowych zdjęć fotograficznych spadającego z dachu kota, a pp. akademicy roztrząsali gruntownie kocie ewolucje. Okazuje się, że kot spada początkowo z łapami do góry, potem obraca się i staje na łapy. Co spowodowało obrócenie się ciała? P. Marey utrzymuje, że obrócenie się to dokonaniem zostaje na przestrzeni pierwszego zaraz metra; p. Deprez stawia hipotezę, że główną rolę gra tu przemieszczenie się wnętrza; wielki uczony Berthelot domyśla się, że kot, gotując się do skoku instynktownie w taki sposób odrywa się od punktu oporu, aby, dotykając ziemi, stanąć na łapy. Na podstawie tej ostatecznej hipotezy dokonane zostaną nowe doświadczenia, a mianowicie: kot zostanie spuszczone z dachu na sznurku (zatem bez żadnego punktu oparcia pod nogami), sznurek przetrną i — jeżeli kot i tym razem stanie na łapy, hipoteza Berthelota pada. Tak dziś wobec nauki stoi sprawa spadania kota na łapy, spadania, będącego jednym z „cudów natury“...

Redaktor i wydawca

Erazm Piltz.